

# **Leonardo Padura**

**Gorączka w Hawanie**

## Uwaga autora

Wydarzenia opisane w tej powieści nie są rzeczywiste, chociaż mogłyby takie być, czego sama rzeczywistość dowiodła.

Wszelkie podobieństwo do autentycznych zdarzeń i osób jest więc czystym zbiegiem okoliczności i wynikiem uporu rzeczywistości.

Nikt zatem nie powinien uważać, że ta powieść dotyczy go osobiście. Nikt też nie powinien sądzić, że go nie dotyczy, jeśli w jakiś sposób powieść ta go dotknie.

Zima 1989

Obrócił się.

- Milczeć! - krzyknął.
- Niczego nie powiedziałyśmy - powiedziały góry.
- Niczego nie powiedziałyśmy - powiedziały niebiosy.
- Niczego nie powiedziałyśmy - powiedziały szczątki okrętu.
- No to dobrze - powiedział. - Macie zachować ciszę!

Wszystko wróciło do normy.

Ray Bradbury, *Asleep in Armageddon (Perchance to Dream)*

nie posiadając nic  
między niebem a ziemią prócz  
mojej pamięci, prócz tego czasu...

Elíseo Diego, *Testament*

Nie muszę się nad tym zastanawiać, bo od razu wiem, że najtrudniej będzie otworzyć oczy. Przyjąc na źrenice jasność poranka przenikającą przez szyby w oknach i oświetlającą uroczyście cały pokój, pojmując jednocześnie, że kluczowy akt uniesienia powiek oznacza zarazem przyznanie się do tego, że wewnątrz czaszki ma się jakąś śliską masę gotową przy najmniejszym ruchu rzucić się w bolesny taniec. Spać, może nawet śnić, pomyślał, powtarzając tę namolną frazę towarzyszącą mu od pięciu godzin, od kiedy padł na łóżko, wdychając głęboki i mroczny zapach samotności. W odległej mgielce ujrzał samego siebie jako skruszonego grzesznika, klęczącego nad muszlą klozetową i haustami wyrzucającego z żołądka żółtawe i gorzkie wymioty, które zdawały się nie mieć końca. Ale dzwonek telefonu rozbrzmiewał wciąż na podobieństwo serii z karabinu maszynowego, raniąc jego uszy i przenikając mózg, udręczony tą doskonałą, cykliczną i po prostu brutalną torturą. Zdecydował się. Ledwie uchylił powieki, a już musiał je zamknąć: ból uderzył go w źrenice i ogarnęła go oczywista pewność, że chce umrzeć, rozumiał zarazem, że życzenie to wcale się nie spełni. Poczul się bardzo słaby, bez sił, by podnieść rękę, złapać się za czoło i tak powstrzymać eksplozję przyśpieszaną przez każdy kolejny i zniechęcony sygnał telefonu, postanowił jednak stawić czoło bólowi, uniósł ramię, rozłożył palce i zdołał je

zaczynać na słuchawce, a następnie uniósł ją i odłożył, odzyskując w ten sposób łaskę ciszy.

Miał ochotę uczyć to zwycięstwo śmiechem, ale śmiać się też nie mógł. Chciał się przekonać, że nie śpi, choć pewien całkiem nie był. Jedna ręka zwisała mu z boku łóżka, jak odłamana gałąź, i doskonale wiedział, że dynamit tkwiący w jego głowie puszcza ulotne bąbelki, w każdej chwili grożąc eksplozją. Czuł strach, zbyt dobrze już znany, choć wciąż o nim zapominał. Miał też ochotę jęknąć, ale język zapadł mu się gdzieś w ustach, i właśnie wtedy telefon przypuścił kolejny szturm. Nie, nie, kurwa, nie, dlaczego? no, już, już, wymamrotał i sięgnął po słuchawkę, poruszając się jak przerdzewiały dźwig, po czym przytknął ją sobie do ucha.

Najpierw zapadła cisza: cisza to błogosławieństwo. Potem zabrzmiał głos, gęsty, wyraźny i chyba groźny.

- Halo, halo, jesteś tam? - zdawał się mówić. - Mario, hej, Mario, słyszysz mnie? - I zabrakło mu odwagi, by powiedzieć, że nie, nie, nie słyszy i nie zamierza słyszeć albo że to po prostu pomyłka.

- Tak, szefie - udało mu się wreszcie wydusić, ale wcześniej musiał zaczerpnąć powietrza, napełnić sobie płuca, zmusić obie ręce do pracy, wyciągnąć je na wysokość głowy i sprawić, by dłonie zacisnęły się na skroniach, powstrzymując karuzelę wirującą mu w mózgu.

- Ty, co się z tobą dzieje, co? Co ty właściwie wyrabiasz? - To był niemiłosierny ryk, nie głos.

Znów nabrał powietrza i zachciało mu się splunąć. Miał wrażenie, że język mu spuchł albo w ogóle to nie jest jego język.

- A nic, szefie, migrenę mam. Albo ciśnienie wysokie, sam nie wiem...

- Słuchaj, Mario, może bez takich, co? Ciśnienie to ja mam wysokie, a poza tym przestań już mówić do mnie „szefie”. Co ci jest?

- No, mówię przecież, szefie, głowa boli.

- Wstało się dzisiaj w upierdliwym nastroju, tak? No to posłuchaj tego: wolne ci się skończyło.

Nie osmielając się ogarnąć tego myślał, otworzył oczy. Tak jak sobie wyobrażał, słoneczne światło wpadało przez okna i wszystko

wokoło było jasne i ciepłe. Na zewnątrz chłód być może już ustąpił i ranek mógł wyglądać uroczo, ale on miał ochotę się rozplakać, a w każdym razie coś bardzo podobnego.

- Nie, Stary, na twoją matkę, nie rób mi tego. To mój wolny weekend. Sam tak powiedziałeś. Pamiętasz?

- To był twój wolny weekend, mój drogi, był. Kazał ci kto wstępować do policji?

- Ale dlaczego ja, Stary? Przecież masz tam ludzi od cholery - zaprotestował i próbował się podnieść. Ruchoma masa mózgu przemieściła się w stronę czoła i znów musiał zamknąć oczy. Powstrzymana fala mdłości podeszła mu z żołądka i poczuł, niczym ukłucie, przemożną potrzebę wysikania się. Zacisnął zęby i po omacku poszukał papierosów na stoliku nocnym.

- Słuchaj no, Mario, nie zamierzam poddawać tej kwestii pod głosowanie. Wiesz, dlaczego padło na ciebie? Bo tak mi się podoba. Więc rusz te swoje kości i wstawaj.

- To nie są zarty, co?

- Mario, skończ już... Ja pracuję, kapujesz? - ostrzegł go głos i Mario wiedział już, że owszem, że pracuje. - Teraz słuchaj: w czwartek, pierwszego, zgłoszono zaginięcie dyrektora firmy należącej do Ministerstwa Przemysłu, kapujesz?

- Robię, co mogę, przysięgam.

- To rób dalej i nie przysięgaj na próżno. Żona złożyła doniesienie o dziewiętej wieczorem, ale faceta nadal nie ma, choć rozesłaliśmy informację po całym kraju. Nieładnie mi to pachnie. Wiesz, że na Kubie szefowie firm w randze wiceministrów nie znikają ot, tak sobie - powiedział Stary, nadając swemu głosowi mocno zatroskane brzmienie. Ten drugi, siedząc wreszcie na krawędzi łóżka, próbował opanować ból.

- Przecież ja go nie mam w kieszeni, proszę.

- Mario, Mario, zmień ton - głos brzmiał inaczej. - To już jest nasza sprawa i oczekuję cię tu za godzinę. Jeśli masz podwyższone ciśnienie, zrób sobie zastrzyk i do mnie.

Na podłodze znalazł paczkę papierosów. Pierwsza dobra rzecz tego ranka. Paczka była zdeptana i wymięta, ale spojrzął na nią z optymizmem. Zsunął się z materaca i usiadł na podłodze. Wsadził

dwa palce do paczki i wyjął nagrodę za swój straszliwy wysiłek: jednego smutnego papierosa.

- Masz zapalki, Stary? - zapytał do telefonu.
- Co mówisz?
- Nie, nic. Co dzisiaj palisz?
- Nawet sobie nie wyobrażasz - głos był lepki i zadowolony. -

Davidoff, prezent od zięcia z okazji końca roku.

Resztę mógł sobie dopowiedzieć: Stary ogląda gładką powierzchnię cygara, wdycha delikatny dym i stara się utrzymać półtora centymetra popiołu, dzięki czemu tytoń pali się idealnie. I dobrze, pomyślał.

- Zachowaj jednego dla mnie, dobra?
- Ty, Mario, przecież ty nie palisz porządnego tytoniu. Kup sobie paczkę popularnych na rogu i chodź tu.
- Dobra, jasne. Słuchaj, a jak się nazywa ten zaginiony?
- Chwilę... A jest, Rafael Morín Rodríguez, dyrektor firmy Hurt, Ekspert i Import Ministerstwa Przemysłu.

- Zaraz, zaraz - Mario przyjrzał się swojemu wymęczonemu papierosowi. Drżał mu w palcach, ale być może nie z winy alkoholu. - Chyba źle usłyszałem. Rafael jaki, powiedziałaś?

- Rafael Morín Rodríguez. Złapałeś? No dobra, zostało ci jeszcze pięćdziesiąt pięć minut na dotarcie do centrali - powiedział Stary i odłożył słuchawkę.

Odbiło mu się mdło i znieca do ust Maria Conde, detektywa w stopniu porucznika, napłynął posmak palącego i przetrawionego alkoholu. Na podłodze, w pobliżu slipów dostrzegł koszulę. Powoli ukląkł i na czworakach zbliżył się na tyle, żeby złapać za rękaw. Uśmiechnął się. W kieszeni znalazł zapalki i wreszcie mógł zapalić papierosa, który już mu nawilgł w ustach. Wypełnił go dym i to, oprócz cudownego odkrycia zmaltretowanego papierosa, stało się drugim miłym wydarzeniem tego dnia, który zaczął się od serii z karabinu maszynowego, głosu Starego i niemal zapomnianego nazwiska. Rafael Morín Rodríguez, pomyślał. Oparł się o łóżko, wstał i jego spojrzenie padło na półkę, gdzie z poranną energią pływał Rufino, bojownik syjamski, przemierzający niekończący się owal swego akwarium. I jak tam, Rufino? mruknął i spojrzał na

otaczający go krajobraz po niedawnej katastrofie. Zawahał się, czy podnieść slipy, powiesić koszulę, wyprostować swoje stare dżinsy i wyłożyć na prawą stronę rękawy marynarki. Może później. Kopnął spodnie i ruszył w stronę łazienki, kiedy nagle przypomniało mu się, że od dłuższej chwili ledwie powstrzymuje mocz. Stojąc nad muszlą klozetową, kontemlował ciśnienie strumienia, od którego na wodzie robiła się piana jak na świeżym piwie, choć nie mogła nim być, bo strasznie śmierdziała i nawet do jego zapchanego nosa przedarła się gorzka woń szczyń. Wraz ze spadającymi ostatnimi kroplami ulgi poczuł w nogach i rękach słabość, jakby stał się beużyteczną marionetką marzącą o cichym kąciku. Spać, może nawet śnić, gdyby tylko mógł.

Otworzył szafkę i zaczął szukać aspiryny. Wczoraj w nocy nie zdołał sobie jej zaaplikować i teraz żałował tego niewybaczalnego błędu. Położył sobie na dłoni trzy pigułki i napełnił szklankę wodą. Wrzucił tabletki do podrażnionego wymiotnymi skurczami gardła i popił. Kiedy zamknął szafkę, lustro pokazało mu nagle twarz jakby skądś znaną i jednocześnie niemożliwą do pomylenia: diabeł, pomyślał i oparł dłonie na umywalce. Rafael Morín Rodríguez, powtórzył i przypomniało mu się, że aby myśleć, potrzebuje jeszcze dużej filiżanki kawy i papierosa, którego nie miał, toteż postanowił odpokutować za wszystkie znane mu winy pod przenikliwym chłodem prysznicza.

- Kurwa mać, ale burdel - stwierdził, siadając na łóżku, żeby nasmarować sobie czoło maścią chińską, ciepłą i zbawienną, która zawsze przywracała go do życia.

Conde, z nader u niego częstą melancholią, przyglądał się biegnącej przez dzielnicę alei: kontenery na śmieci o włos od erupcji, kartony po pizzy rozrzucone przez wiatr, kawał trawnika, na którym nauczył się grać w baseball, obecnie przekształcony w składowisko rzeczy beużytecznych produkowanych przez pobliski warsztat samochodowy. Gdzie teraz można nauczyć się gry w baseball? Rannek był piękny i ciepły, tak jak przeczuwał, i miło było przechadzać się z posmakiem kawy wciąż utrzymującym się w ustach, ale



potem zobaczył martwego psa, z głową rozjechaną przez auto, gnijącego obok kontenera, i pomyślał, że on zawsze widzi to, co najgorsze, nawet tak pięknego poranka jak ten. Przykro mu się zrobiło na myśl o losie tych nieszczęsnych zwierząt, bolała go niesprawiedliwość, której wcale nie próbował zaradzić. Już zbyt długo nie miał psa, od czasów agonicznej i długiej starości Robina, i dotrzymywał obietnicy, by nigdy więcej nie przyzwyczajając się do zwierzęcia, do momentu gdy zdecydował się na ciche towarzystwo bojownika syjamskiego - konsekwentnie nazywał swoje ryby imieniem Rufino, tak miał na imię jego dziadek zajmujący się hodowlą kogutów do walk, były to ryby bez żadnych obsesji czy wyraźnej osobowości, tak że kiedy tylko zdychały, mógł kupować następną, znów ochrzczonej imieniem Rufino i pływającą w tym samym akwarium, gdzie przez resztę życia będzie dumnie prężyć swoje niebieskawe płetwy bojowego zwierzęcia. Życzyłby sobie, żeby kobiety przechodziły przez jego życie równie lekko jak te ryby bez historii, tyle że kobiety i psy jakoś tak strasznie się różnią od rybek, nawet od tych bojowych, a do tego względem kobiet nie mógł podejmować takich abstynenckich postanowień jak w przypadku psów. Przeczował, że ostatecznie skończy w jakiejś organizacji opiekującej się zwierzętami oraz mężczyznami mającymi pecha w relacjach z płcią piękną.

Włożył ciemne okulary i ruszył w stronę przystanku autobusowego, rozmyślając o tym, że dzielnica wygląda pewnie tak jak on: coś w rodzaju krajobrazu po wyniszczającej bitwie; i poczuł, że coś go uwiera w najgłębszych wspomnieniach. Widoczna rzeczywistość otaczająca główną aleję zbyt ostro kontrastowała z błogim wspomnieniem tego samego miejsca, wspomnieniem, w którego prawdziwość zaczynał wątpić - czy przypadkiem nie jest to historyczna tęsknota odziedziczona po dziadku albo po prostu wymyślona, by upiększyć przeszłość. Nie warto marnować tego pieprzonego życia na rozmyślania, uznał i stwierdził, że delikatne ciepło poranka wspomaga środki uspokajające w dziele przywracania równowagi, stabilności i innych podstawowych funkcji tego, co miał w środku czaszki, podczas gdy on obiecywał sobie nigdy już nie powtarzać tych etylowych ekscesów. Oczy

wciąż piekły go z niewyspania, kiedy kupował paczkę papierosów, i poczuł, że dym dopełnia smak kawy, dzięki czemu znów stał się istotą zdolną do myślenia, a nawet pamiętania. Pożałował wówczas tego, że chciał umierać, i żeby to podkreślić, podbiegi do nieprawdopodobnie pustego autobusu, przez który pomyślał sobie, że ten rok zaczyna się absurdalnie, przy czym absurd nie zawsze jest tak miły, by objawiać się w postaci pustego autobusu o tej porze dnia.

Była trzynasta dwadzieścia, ale wszyscy stali już na miejscu, z pewnością nie brakowało nikogo. Porozdzielali się na grupki, było tu z dwieście osób, które dało się rozróżnić po wyglądzie: pod drzewem, w pobliżu kraty, stali ci z Varony, zajęli najlepsze miejsce, w porządnym cieniu. Ci mieli blisko do liceum: tylko jedna ulica dzieliła ich od szkoły: rozmawiali głośno, śmiali się, słuchali Eltona Johna na cały regulator na przenośnym radjku marki Meridian, które doskonale łąpało WQAM z Miami na Florydzie, i mieli ze sobą najładniejsze tego popołudnia dziewczyny. Bez dwóch zdań.

Ci z Párragi, ostentacyjni i nieokrzesani, znosili wrześnie słońce, stojąc pośrodku placu Czerwonego i, mogą się założyć, byli podenerwowani. Pozowali na twardzieli, więc musieli być czujni, to byli tego typu goście, że na wszelki wypadek zawsze nosili bokserki, faceci to faceci, a reszta to pedały, powtarzali i przyglądali się wszystkiemu dookoła, przecierając usta chustkami, prawie nie rozmawiali i większość obnosiła się ze swoimi czapeczkami z antenką, normalnymi fryzurami i srogimi minami, a dziewczyny naprawdę były niezłe, pewnie fajnie tańczyły i takie sprawy, i rozmawiały sobie cichutko, jakby trochę wystraszone, widząc, pierwszy raz w swoim życiu, takie tłumy ludzi. Natomiast ci z Santos Suárez to już nie, ci byli inni, wyglądali na delikatniejszych, takie blondaski, kujony, czysti i w ciuchach wyprasowanych na kant, sam nie wiem: tak na gębę wydawali się bardzo do przodu, widać, że mają wpływowych tatusiów i mamy. Natomiast ci z Lawtona byli prawie identyczni jak ludzie z Párragi: w większości twardziele,

na wszystko patrzyli tak jakoś z dystansem, też sobie usta chusteczkami przecierali, więc zaraz pomyślałem, że się tu zaczną chłopaki pojedynkować.

My, faceci z dzielnicy, byliśmy trudniejsi do zdefiniowania: paczka Wariatuñcia, Zupa, Strup i reszta wyglądali jak ci z Párragi, ze względu na fryzurę i zachowanie; inni z kolei bardziej pasowali do tych z Santos Suárez - Pietrek, Mandrake, Ernestico i Andrés, może przez to, jak się ubierali; jeszcze inni raczej do ludzi z Varony, bo palili i gadali z taką samą pewnością i luzem; natomiast ja wyglądałem przy takim Andresie czy Króliku jak skończony cienias, rozglądałem się ciągle wokoło i szukałem w tym obcym i nieznanym tłumie dziewczyny, która zostanie moją narzeczoną: chciałem, żeby była ciemna, długie włosy, ładne nogi, niezła laska, ale żadna tam postrzelona, żeby mi podczas praktyk prała ubranie i takie tam, i oczywiście, żeby nie była dziewicą, bo wtedy wpakowałbym się w te wszystkie historie, że nie chce i się boi, i tak dalej, w każdym razie nie chciałem się przecież żenić, najlepiej, żeby była z La Víbora albo z Santos Suárez, tam zawsze robili niezłe imprezy, więc nie zamierzałem zniżać się do poziomu Párragi czy Lawtona, a to, czym dysponowaliśmy w dzielnicy, nie bardzo mnie interesowało, to nie były fajne laski, ani puszczałskie nawet, na imprezy z mamusiami chadzały; ważne było, żeby moja dziewczyna dołączyła do naszej grupy, choć mieliśmy u nas więcej dziewczyn niż chłopaków, prawie dwa razy więcej, policzyłem i wyszło, że na jednego faceta przypada 1,8 kobiety, jedna cała i druga bez głowy albo jednego cycka, jak stwierdził Królik, może ta skośnooka, ale ona jest z Varony, a oni tam trzymają się razem; i wtedy zadzwieczał dzwonek i owego pierwszego września 1972 roku otworzyły się drzwi liceum La Víbora, w którym tyle rzeczy miało mnie spotkać.

Było tak, jakbyśmy się nie mogli doczekać, kiedy wreszcie wejdziemy do klatki, atmosfera pierwszego dnia szkoły: jakby było za mało miejsca, niektórzy nawet biegli - to znaczy raczej niektóre - na dziedziniec, gdzie znajdowały się takie drewniane kołki z numerem wskazującym, gdzie powinna stanąć każda klasa. Moja miała numer pięć i z dzielnicy trafił do niej tylko Królik, który chodził ze mną razem od piątej klasy. Dziedziniec się wypełnił, nigdy nie

widziałem tylu ludzi w jednej szkole, naprawdę nigdy, i zacząłem się przyglądać dziewczynom z naszej klasy, żeby zrobić wstępną selekcję kandydatek. Patrząc na nie, nawet nie czułem słońca, które dawało jak cholera, a potem odśpiewaliśmy hymn, dyrektor wszedł na podest stojący pod portykiem, w cieniu, i zaczął mówić do mikrofonu. Pierwsze, co powiedział, to były groźby: dziewczyny - spódnice poniżej kolan i tarcze jak należy, w końcu po to przy zapisach dano im talony na mundurki; chłopcy - włosy obcięte nad uszami, żadnych baczków czy wąsów; dziewczyny - bluzki wpuszczone w spódnice, z kołnierzykami, bez ozdóbek, w końcu po to przy zapisach...; chłopcy - normalne spodnie, żadne tam rurki czy dzwony, bo to jest szkoła, a nie pokaz mody; dziewczyny - porządnie naciągnięte pończochy, a nie zwinięte na łydkach (a przecież tak fajnie wtedy wyglądają, nawet chudzielcom dużo lepiej); chłopcy - przy pierwszym wybryku, nawet niezbyt poważnym, będą do dyspozycji Komitetu Wojskowego, bo to jest szkoła, a nie poprawczak jakis; dziewczyny, chłopcy - zakaz palenia w łazienkach na przerwie i kiedykolwiek indziej; i dalej dziewczyny i chłopcy, a słońce zaczynało piec na całym ciele, on sobie gadał w cieniu, a w końcu zapowiedział przewodniczącego Federacji Uczniów Szkół Średnich. Ten wszedł na podest i pokazał nam wszystkim swój olśniewający uśmiech. Spadaj na drzewo, pomyślał sobie pewnie Chudy, ale ja jeszcze nie znałem tego chudzielca stojącego za mną w szeregu. Żeby zostać przewodniczącym, musiał chodzić do dwunastej albo trzynastej klasy, potem się dowiedziałem, że do trzynastej; był wysoki, prawie blondyn, z bardzo jasnymi oczami - naiwny i bładawy błękit - i widać było, że świeżo po kąpieli, uczesany, ogolony, wyperfumowany, ledwie wstał z łóżka, i mimo odległości i gorąca taki pewny siebie, kiedy to rozpoczynając przemowę, przedstawił się jako Rafael Morín Rodríguez, przewodniczący Federacji Uczniów Szkół Średnich w Liceum imienia René O. Reiné, zwanego też La Víbora, i członek Miejskiego Komitetu Młodzieżowego. Pamiętam jego, słońce, od którego rozboleła mnie głowa, i jeszcze pewność, że facet urodził się, żeby być przywódcą: bardzo długo gadał.

Drzwi windy rozsunęły się z powolnością kurtyny w tanim teatrze i dopiero wtedy porucznik Mario Conde zrozumiał, że ta scena jest mocno prześwietlona. Ból głowy w zasadzie ustąpił, ale znana mu postać Rafaela Morina przywracała wspomnienia, które uważał za zagubione gdzieś w zapadłych kątach pamięci. Conde lubił wspominać, był cholernym melancholikiem, jak go nazywał Chudy, tyle że chciałby mieć jakiś inny powód do oddawania się wspomnieniom. Szedł korytarzem, czując, że znacznie bardziej wolałby się przespać niż pracować, a kiedy dotarł pod gabinet Starego, poprawił sobie pistolet, który niemal wypadł mu zza paska spodni.

Maruchi, kierowniczką gabinetu Starego, zniknęła z posterunku, a zważywszy na godzinę, wywnioskował, że pewnie je lunch. Zapukał w szybę w drzwiach, otworzył i zobaczył siedzącego za biurkiem majora Antonia Rangela. W skupieniu słuchał tego, co ktoś mówił mu przez telefon, jednocześnie przekładając nerwowo cygaro z jednego kącika ust do drugiego. Spojrzeniem wskazał Condemu leżącą na biurku otwartą teczkę. Porucznik zamknął drzwi i usiadł przed szefem, zamierzając czekać na koniec rozmowy. Major poruszył brwiami, wymamrotał suche: Jasne, jasne, tak, dziś wieczorem, i odłożył słuchawkę.

Wówczas spojrzał ze zdziwieniem na wymęczony ustnik swojego davidoffa. Uszkodził cygaro, a cygara są delikatne, jak mawiał, więc bez wątpienia smak nie będzie już taki sam. Palenie i udawanie młodszego niż był - to były jego dwie prawdziwe namiętności, którym oddawał się z godnym podziwu talentem. Z dumą oznajmiał wszystkim, że liczy pięćdziesiąt osiem lat, z uśmiechem promieniejącym na jego pozbawionej zmarszczek twarzy, gładząc się po godnym fakira brzuchu, nosił dobrze dopasowany mundur, siwizna na skroniach sprawiała wrażenie młodzieńczego kaprysu, a wolne od obowiązków wieczory spędzał na basenie albo korcie, grając w squasha, nie przestając przy tym palić. I Conde zazdrościł mu głęboko: wiedział, że w wieku sześćdziesięciu lat - o ile dożyje - będzie stetrycznym i maniakalnym starcem, dlatego też zazdrościł krzepy majorowi, który nawet od tytoniu nie kaszlał, a do tego znał te

wszystkie sztuczki, jak być dobrym szefem, bardzo miłym albo bardzo wymagającym, w zależności od potrzeb. Bez wątpienia jego najpotężniejszym atrybutem był głos. Głos to zwierciadło duszy, myślał zawsze Conde, wsłuchując się w odcienie brzmienia i tonu, którymi major manipulował w trakcie konwersacji. Tyle że teraz trzymał w dłoni uszkodzonego davidoffa i miał przed sobą niepokornego podwładnego, toteż przyjął jedną z najgorszych kombinacji brzmień swego głosu.

- Nie będę z tobą dyskutował o dzisiejszym poranku, ale następnym razem moja cierpliwość się skończy. Zanim cię po znałem, nie miałem jeszcze nadciśnienia, i nie pozwolę, żebyś mnie przyprowadził o zawał i wysłał do grobu, bo po coś w końcu pływam w tych basenach i zalewam się potem na korcie. Jestem twoim przełożonym, a ty jesteś policjantem, napisz to sobie w po koju na ścianie, żebyś pamiętał nawet we śnie. Bo następnym razem urwę ci jaja, jasne? I zapamiętaj sobie godzinę, dziesiąta pięć, tak?

Conde spuścił wzrok. Przyszło mu do głowy kilka niezłych dowcipów, ale wiedział, że to nie jest dobry moment. Prawdę mówiąc, ze Starym nigdy nie było dobrych momentów, a mimo to Mario dość często sobie pozwalał.

- Mówiłeś, że tego davidoffa podarował ci zięć, nie?

- Tak, pudełko, dwadzieścia pięć sztuk, z okazji końca roku. Ale nie zmieniaj mi tu tematu, bo cię znam. - I znów, nie bacząc na nic, zaczął kontemplować dymiącą agonię swojego cygara. - To już zmarnowałem... No nic, właśnie rozmawiałem z ministrem przemysłu. Bardzo się przejął tą sprawą, miałem wrażenie, że jest wręcz poruszony. Mówi, że Rafael Morin to ważna postać w ministerstwie i że współpracował z wieloma zagranicznymi biznesmenami, więc trzeba unikać skandalu. - Przerwał i zaciągnął się dymem. - Tu masz wszystko, czego się dotąd dowiedzieliśmy - dodał i pchnął teczkę w stronę podwładnego.

Conde wziął teczkę do rąk, ale do niej nie zajrzał. Przeczuiwał, że może to być replika koszarnej puszkii Pandory, i wolał nie być tym, który uwolni demony przeszłości.

- Dlaczego wybrałeś właśnie mnie do tej sprawy? - zapytał.

Stary znów possał cygaro. Wyglądało na to, że cygaro mimo wszystko okazało się nie takie złe, na jego czubku tworzył się błądy popiół, mocny, prawidłowy, a major pociągał pomalutku, dokładnie tyle, ile trzeba, żeby nie rozbuchać żaru i nie zmarnować delikatnych wnętrzości tytoniu.

- Nie powiem ci, jak kiedyś ci powiedziałem, że dlatego że jesteś najlepszy albo że masz cholerne szczęście i wszystko ci dobrze wychodzi. Nawet na to nie licz, dawne dzieje, kapujesz? Co ty na to, jeśli powiem, że cię wybrałem, bo tak mi się chciało, albo dlatego że wolę mieć cię pod ręką, niż żebyś sobie w domu snił o powieściach, których nigdy nie napiszesz, albo dlatego że to główniana sprawa i każdy da radę ją rozwiązać? Wybierz odpowiedź, która ci pasuje, i zaznacz krzyżykiem.

- Wybieram tę, której nie chcesz mi podać.

- To już twój problem. Wszystko jasne? Słuchaj, w każdej prowincji jest jeden oficer skierowany do poszukiwań Morina. Tutaj masz zgłoszenie zaginięcia, rozkazy wydane od wczoraj w tej sprawie oraz listę ludzi, którzy mogą z tobą współpracować. Przydzieliłem ci znów Manola... Są też dane zaginionego, zdjęcie i mała biografia, którą nam przygotowała jego żona.

- Gdzie mowa jest o tym, że to facet bez skazy.

- Wiem, że nie przepadasz za takimi bez skazy, ale masz przekichane. Tak, wygląda na typa bez żadnych cieni i nikt nie ma bladego pojęcia, gdzie może teraz być i co mu się stało, choć ja spodziewam się najgorszego... A ciebie to nic nie obchodzi? - ryknął, raptownie zmieniając ton głosu.

- Ucieczka z kraju?

- Bardzo mało prawdopodobne. Poza tym zanotowano tylko dwie próby, nieudane. Wiatr z północy ostro daje.

- Szpitale?

- Oczywiście nic, Mario.

- Hotele?

Stary pokręcił głową i oparł łokcie na biurku. Możliwe, że się nudził.

- Azyl polityczny w jakimś hotelu na godziny, burdele, wiele galni piloci?

Wreszcie się uśmiechnął. Ledwie widoczny ruch wargi nad cygarem.

- Spadaj, Mario, i pamiętaj, co ci powiedziałem: następnym razem urwę ci jaja, kara za niesubordynację i tak dalej.

Porucznik Mario Conde wstał. Lewą ręką złapał teczkę, poprawił sobie pistolet i od niechcienia zasalutował po wojskowemu. Obracał się już, kiedy major Rangel zaprezentował inny wariant swojego głosu, łącząc nieczęsty u niego ton równowagi sugerujący perswazję z ciekawością:

- Mario, pozwól, że zadam ci dwa pytania. - I oparł głowę na rękach. - Powiedz mi, dlaczego przyszedłeś do policji? No, przy znaj się, śmiało.

Conde spojrzał Staremu w oczy, jakby nie rozumiał. Wiedział, że udawało mu się go wytrącić z równowagi tą mieszaniną olewactwa i skuteczności, i lubił się cieszyć ową lekką przewagą.

- Nie wiem, szefie. Od dwunastu lat to badam i wciąż nie wiem dlaczego. A drugie pytanie?

Major wstał i obszedł biurko. Poprawił mundurową koszulę oraz marynarkę z pagonami i oznaczeniem stopnia, która wyglądała tak, jakby wyszła prosto z pralni. Popatrzył na buty, spodnie, koszulę i twarz porucznika.

- No, a skoro już jesteś tym policjantem, to kiedy zamierzasz zacząć się ubierać jak policjant? I dlaczego się porządnie nie ogolisz? Popatrz na siebie, wyglądasz, jakbyś był chory.

- To były trzy pytania, panie majorze. Mam udzielić trzech odpowiedzi?

Stary uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, chcę, żebyś znalazł Morina. W sumie niespecjalnie mnie obchodzi, dlaczego zapisałeś się do policji, a jeszcze mniej to, dla czego nie pozbędziesz się tych wyblakłych spodni. Obchodzi mnie tylko to, żebyś go znalazł szybko. Nie lubię, jak jacyś ministrowie na mnie naciskają - rzucił i niechętnie odpowiedział na wojskowy salut, po czym znów zasiadł za biurkiem i patrzył, jak porucznik Mario Conde znika za drzwiami.



## RODZAJ SPRAWY: ZAGINIĘCIE

Zgłoszone przez: Tamarę Valdemire Méndez

Adres prywatny: Santa Catalina, nr 1187, Santos Suárez, miasto Hawana

Dowód osobisty: 56071000623

Zawód wykonywany: Stomatolog

Opis sprawy: O godz. 21.35 w czwartek 1 stycznia 1989 roku na niniejszym komisariacie stawiała się ob. Méndez celem zgłoszenia zaginięcia ob. Rafaela Morína Rodríqueza, małżonka ob. Méndez, zamieszkałego pod wyżej podanym adresem i legitymującego się dowodem osobistym numer 52112300565, kolor skóry biały, włosy jasnokasztanowe, oczy niebieskie, wzrost ok. 180 cm. Ob. Méndez zeznała, że we wczesnych godzinach porannych dnia 1 stycznia, po zakończeniu zabawy, na której wraz ze znajomymi z pracy i przyjaciółmi świętowali Nowy Rok, wróciła wraz z wzmiankowanym Rafaelem Morínem Rodríquezem do domu, i upewniwszy się, że ich syn śpi w pokoju z matką ob. Méndez, małżonkowie udali się do sypialni i położyli spać, zaś zbudziwszy się o poranku, ob. Méndez odkryła, że Rafaela Morína nie ma już w domu, do czego jednak nie przywiązywała większej wagi, gdyż często wychodził, nie informując o swoich planach. Około południa, lekko zaniepokojona, ob. Méndez zadzwoniła do kilku znajomych i osób z pracy, jak i również do firmy, w której pracuje Rafael Morín Rodríquez, nie uzyskując jednak żadnych wiadomości na temat miejsca, w którym ów przebywa. W tym momencie zaczęła się niepokoić, ponieważ ob. Rafael Morín nie skorzystał ze swojego samochodu (Łada 2107, numer tablicy rejestracyjnej HA11934) ani ze służbowego, który znajdował się w warsztacie. Już pod wieczór w towarzystwie ob. Renegó Maciquesa Alby, kolegi z pracy zaginionego, obdzwoniła kilka szpitali, nie uzyskując jednak żadnych informacji, a następnie odwiedzili kilka kolejnych, do których nie mogli się dodzwonić, znowu bez rezultatów. O godzinie 21.00 ob. Méndez i ob. René Maciques Alba stawili się na posterunku, celem złożenia doniesienia o zaginięciu ob. Rafaela Morína Rodríqueza.

Oficer przyjmujący zgłoszenie: sierż. Lincoln Capote Numer zgłoszenia: 16-0101-89 Komendant posterunku: płk Jorge Samper Załącznik 1: zdjęcie zaginionego Załącznik 2: dane zawodowe i osobiste zaginionego Przystąpić do poszukiwań. Priorytet 1. Posterunek Policji, miasto Hawana

Wyobraził sobie Tamarę składającą zeznania i ponownie przyjrzał się fotografii zaginionego. Bez dwóch zdań: to magnes przyciągający dawne tęsknoty, dni, o których tyle razy chciał zapomnieć, pogrzebane melancholie. Zdjęcie musiało być nowe, karton błyszczał, ale nawet gdyby Rafael miał tu dwadzieścia lat, niczym by się nie różnił. Na pewno? Na pewno: wydawał się nieczuły na życiowe troski i radosny nawet na zdjęciach paszportowych, jakby takie rzeczy, jak pot, trądzik, tłuszcz, ciemna groźba zarostu, wydawały się go nie dotyczyć, zawsze miał w sobie coś z nieskazitelnego i idealnego anioła. Teraz jednak stał się zaginionym, niemal banalnym policyjnym przypadkiem, jeszcze jednym zadaniem, którego nikt nie ma ochoty się podjąć. Cóż, u diabła, się dzieje? zastanawiał się, wychodząc z biura bez specjalnej ochoty na wczytywanie się w osobiste i zawodowe szczegóły dotyczące nieskazitelnego Rafaela Morina. Przez okno swojej ciasnej klatki mógł podziwiać widok, który wydawał mu się po prostu impresjonistyczny, składała się nań ulica oflankowana starymi wawrzynami, niewyraźna zielona plama, w słonecznym świetle pozwalająca odpocząć zmęczonym oczom, błahy kawałek świata - znał każdy jego szczegół i dostrzegał każdą zmianę: nowe gniazdo wróbli, gałąź, która zaczynała usychać, zmiana liści sygnalizowana przez ciemniejszy ton tej wiecznej i chaotycznej zieleni. Za drzewami kościół z wysokim płotem, o gładkich ścianach, kilka ledwie widocznych budynków, a bardzo daleko w głębi morze, dostrzegalne wyłącznie jako odległa światłość i zapach. Ulica była pusta i rozgrzana, a jego głowa również pusta i trochę skołowana, i myślał sobie, z jaką to wielką ochotą usiadłby

pod tymi wawrzynami, znów miał szesnaście lat, psa, którego mógłby głaskać, i dziewczynę, na którą by czekał: wtedy, siedząc tam po prostu, wyobrażałby sobie, że jest bardzo szczęśliwy, tak bardzo, że już zapominał, że to możliwe, i może nawet udałoby mu się poukładać na nowo swoją przeszłość, która wówczas byłaby jeszcze jego przyszłością, wykalkulować logicznie, jakie będzie jego życie. Miałby na to wielką ochotę, bo postarałby się je odmienić: ten długi łańcuch błędów i zbiegów okoliczności, które ułożyły się w jego życie, nie mógł się powtórzyć, musiały istnieć jakiś sposób na naprawienie go albo przynajmniej przerwanie i wypróbowanie nowej formuły, takie naprawdę nowe życie. Jego żołądek najwyraźniej już się uspokoił i Conde chciał oczyścić sobie myśli, żeby móc zagłębić się w tę sprawę, która wypłynęła z jego przeszłości z zamiarem zakłócenia zapowiadającego się uroczo apatycznie weekendu. Nacisnął czerwony przycisk interkomu i poprosił, by wezwano sierżanta Manuela Palaciosą. Może mógłbym być jak ten Manolo, pomyślał i stwierdził, że to szczęście, że istnieją tacy jak on, ludzie potrafiący umilić codzienną rutynę pracy samą swoją obecnością i optymizmem. Manolo był dobrym kumplem, sprawdzonym, dyskretnym i spokojnie ambitnym, a Conde wołał go od wszystkich pozostałych sierżantów i innych funkcjonariuszy z centrali.

Zobaczył cień rosnący za szybą w drzwiach, a potem sierżant Manuel Palacios wszedł bez pukania.

- Myślałem, że jeszcze nie dotarłeś... - powiedział i rozsiadł się w jednym z foteli, naprzeciwko biurka Condego. - Nie dają żyć, bracie. Kurde, ale masz dziś zaspąną twarz, chłopie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak zabalowałem tej nocy. Ostro. - I poczuł, że ma dreszcze na samo wspomnienie. - Stara Josefina miała urodziny i zaczęliśmy od kilku piw, które skołowaliśmy, potem zjedliśmy, popijając czerwonym winem, rumuńskim, takie raczej siki, ale dobrze wchodziło, a skończyliśmy we dwóch z Chudym, obalając litr rumu, który on podarował swojej matce na te urodziny. Prawie mnie szlag trafił, kiedy Stary zadzwonił.

- Maruchi powiedziała, że szef się na ciebie wkurzył, bo mu rzuciłeś słuchawkę. - Uśmiechnął się Manolo, rozsiadając się wygodniej w fotelu. Miał ledwie dwadzieścia pięć lat i ewidentną

skoliozę: żadne siedzenie nie pasowało do jego chuderławych pośladek i nie potrafił ustać w miejscu bez chodzenia. Miał długie ręce i szczupłe ciało, poruszał się czasem jak jakiś bezkręgowiec: spośród znanych Condemu osób był jedynym człowiekiem potrafiącym ugryźć się w łokieć i polizać po nosie. Poruszał się, jakby pływał, a jego wygląd sugerował, że jest słaby, może nawet kruchy i z pewnością młodszy.

- A bo Stary się martwi. Do niego też dzwonił z góry.

- Grubsza sprawa, nie? Osobiście do mnie zadzwonił.

- Nie tyle gruba, ile ciężka. Masz, weź to - powiedział, zbierając na kupkę kartki z teczki - poczytaj sobie i za pół godziny wychodzimy. Daj mi pomyśleć, jak się do tego możemy zabrać.

- To ty wciąż o tym myślisz, Conde? - zapytał sierżant i wyszedł z pomieszczenia, poruszając się ze zwiewną lekkością.

Conde ponownie wyjrzał na ulicę i uśmiechnął się. Miał przecucie, że to będzie bomba. Podszedł do telefonu, wykręcił numer, a metaliczny sygnał w słuchawce przypomniał mu koszmarłą pobudkę.

- Halo - usłyszał.

- Josefino, to ja.

- I jak tam wstałeś, co? - zapytała kobieta, a on wyczuł, że jest wesola.

- Lepiej nie mówić, ale to była porządna impreza, nie? Jak tam bestia?

- Jeszcze śpi.

- Niektórym to dobrze.

- A co z tobą? Skąd dzwonisz?

Westchnął i jeszcze raz spojrzął na ulicę. Słońce wciąż przegrzewało z czystego nieba, sobota była taka, że nawet palcem się nie chce kiwnąć, dwa dni temu zamknął sprawę z handlem dewizami, która go wyczerpała przez te wszystkie niekończące się przesłuchania, więc zamierzał przesympać wszystkie ranki aż do poniedziałku. Ale oczywiście facet musiał się teraz zgubić.

- Z inkubatora, Josefino - poskarżył się, mając na myśli swój gabinet. - Zerwali mnie z łóżka wcześniej. Nie ma sprawiedliwości dla sprawiedliwych, kobieto, słowo daję.

Ona się uśmiechnęła. Zawsze umie się śmiać, co za baba.

- Nawet nie wiesz, co stracisz, chłopcze.

- *Something special?*

- Nie, *nothing special*, ale pycha. Słuchaj uważnie: *malangas*, które przyniosłeś, ugotowałam z sosem i dodałam sporo czosnku i gorzkich pomarańczy; befsztyczki z wieprzowiny, które zostały z wczoraj, wyobraź sobie, że są pięknie sprawione w marynacie i wyjdzie po dwa na łeb; czarna fasolka, mięciutka, tak jak lubicie, bo się pięknie gotuje i zaraz doleję kapinkę argentyńskiej oliwy, co ją kupiłam w sklepiku; ryż już zdjęłam z ognia, dodałam też czosnku, tak jak ci radził ten kolega z Nikaragui. I sałatka: sałata, pomidorki i rzodkiewki. A i jeszcze legumina z wiórkami kokosowymi i serkiem... Żyjesz tam jeszcze, Condziku?

- No, zaraz tu prasnę na ziemię, Josefino - odpowiedział, czując, że mu się przewraca w zmaltretowanym żołądku. Był fanatykiem suto zastawionych stołów, dałby się posiekać za takie menu i wiedział, że Josefina przygotowuje to jedzenie specjalnie dla niego i dla Chudego, a on tym razem będzie musiał obejść się smakiem. - Słuchaj, ja już nie chcę z tobą gadać. Daj mi Chudego, zbudź go, niech już wstanie, pijak jeden...

- Z kim przestajesz... - Zaśmiała się i odłożyła słuchawkę na bok. Znał ją już od dwudziestu lat i nawet w najgorszych momentach nie dostrzegł w niej fatalizmu czy przygnębienia. Conde podziwiał ją i kochał, czasami nawet bardziej namacalnie niż własną matkę, z którą nigdy się tak nie identyfikował i której nie ufał jak matce Chudego Cariosa, teraz już wcale niechudego.

- No co? - odezwał się Chudy, a jego głos brzmiał głęboko i lekko, równie okropnie, jak musiał brzmieć Conde, kiedy obudził go Stary.

- Zaraz wytrzeźwiejesz - ostrzegł go Mario i uśmiechnął się.

- Kurde, to dobrze, bo jestem kompletnie wypompowany. Słuchaj no, kolego, już nigdy więcej tak się nie urządzimy jak wczoraj, na własną matkę przysięgam.

- Co, główka napierdala?

- Właśnie tylko ona mnie nie boli - odpowiedział Chudy. Jego głowa nigdy nie bolała i Mario o tym wiedział: mógł wypić każdą

ilość alkoholu, o każdej porze, wymieszać słodkie wino, rum i piwo i paść pijany jak bela, ale nigdy nie bolała go głowa.

- Zaraz, ale o czym to ja... A, zadzwonili do mnie dziś rano...

- Z pracy?

- Zadzwonili z pracy - ciągnął Conde - i dostałem pilną sprawę. Zaginięcie.

- Pieprzysz, znów się Baby Jane zgubiła, co?

- Igraj sobie dalej, kolego, to zobaczysz. Zaginiony jest nikim innym jak dyrektorem firmy w randze wiceministra i do tego twoim kolegą. Nazywa się Rafael Morín Rodríguez. - Dłuższa cisza. Trafiony zatopiony, pomyślał. Nawet nie powiedział „ożeż kurna”. - Chudy, jesteś tam?

- Ożeż kurna! Co się stało?

- No, jak mówię, zniknął, przepadł bez śladu, jak kamień w wodę, nikt nie wie, gdzie jest. Tamara zgłosiła to pierwszego wieczorem i typa nadal nie ma.

- I nic nie wiadomo? - Z każdym pytaniem robił się coraz bardziej niecierpliwy i Conde wyobrażał sobie jego minę; przy akompaniamencie zdziwień Chudego udało mu się w końcu opowiedzieć o szczegółach sprawy Rafaela Morina. - I co teraz zamierzasz zrobić? - zapytał Carlos, kiedy już oswoił się z nowiną.

- Rutyna. Nic specjalnego nie przyszło mi jeszcze do głowy. Przesłuchać parę osób i takie tam, jak zawsze, wiesz.

- Słuchaj, i to przez tego Rafaela nie będzie cię dziś na obiedzie?

- No właśnie, skoro o tym mowa. Powiedz Josefynie, żeby mi zachowała moją porcję, żeby nie dawała jej żadnemu głodomorowi, który się nawinie. Jak skończę tutaj, przyjdę do was.

- I wszystko opowiesz, tak?

- Opowiem. Jak się domyślasz, zobaczę się z Tamarą. Przekazać jej pozdrowienia od ciebie?

- I gratulacje, bo wraz z Nowym Rokiem zaczyna nowe życie. Ty, i masz mi powiedzieć, czy panna wciąż taka boska jak kiedyś. Czekaamy wieczorem, he?

- Słuchaj no - dodał szybko Conde. - Jak ci minie kac, to pomyśl trochę o tej aferze i pogadamy.

- A jak sądzisz, co zrobisz? Niby o czym miałbym myśleć? Potem pogadamy.
- Trzymaj się, bracie.
- Przekażę twoją prośbę starej, bracie - odpowiedział i się rozłączył, a Mario Conde pomyślał, że życie to jedno wielkie gówno.

Chudy Carlos nie jest już chudy, waży ponad dwieście funtów, rozsiewa kwaskowaty zapach jak wszyscy otyli i los się na niego uwziął, ale kiedy go poznałem, był tak chudy, że wydawało się, że się zaraz złamie. Usiadł przede mną, obok Królika, nie przewidując, że będziemy zajmować te trzy ławki koło okna przez cały nasz pobyt w liceum. Miał przy sobie bardzo ostry scyzoryk do strugania ołówków i powiedziałem mu: „Ty, chudy, pożyczysz mi na chwilę nożyka?“, i od tego dnia zwracałem się do niego per Chudy, choć nie wyobrażałem sobie, że zostanie moim najlepszym kumplem i że kiedyś nie będzie chudy.

Tamara siedziała dwa rzędy przed Królikiem i nikt nie wiedział, dlaczego jej siostrę bliźniaczkę przydzielono do innej klasy, skoro skończyły tę samą szkołę, miały tyle samo lat, takie samo nazwisko i takie same śliczne twarze, oj tak. Ale ostatecznie cieszyliśmy się z tego powodu, bo Aymara i Tamara były do siebie tak podobne, że moglibyśmy się nie połapać, która jest która. Kiedy Chudy i ja zakochaliśmy się w Tamarze, o mały włos nie postanowiliśmy przestać być kolegami już na zawsze i dopiero Rafael rozwiązał tę sprawę: dziewczyna nie będzie ani moja, ani Chudego. Oświadczył się Tamarze i po dwóch miesiącach od rozpoczęcia szkoły byli już parą, z tych, co to się ciągle do siebie lepią i szukają się na przerwach, i gadają po dwadzieścia minut, trzymając się za rączki, nieustannie się w siebie wpatrują, dalecy od przyziemnego zamieszania, tylko czyhają na okazję, żeby się pomigdalić. Ja to bym ich zabił.

Ale Chudy i ja wciąż byliśmy przyjaciółmi i wciąż się w niej kochaliśmy, i mogliśmy dzielić naszą frustrację, wymyślając różne złe rzeczy, które chcieliśmy, żeby się przydarzyły Rafaelowi: od złamanej nogi w górę. A kiedy byliśmy bardzo wkurzeni, wyobrażaliśmy sobie, że zostajemy chłopakami Tamary i Aymary - nie

przejmowaliśmy się tym, kto bierze którą, choć obaj woleliśmy Tamarę, sam nie wiem dlaczego, w końcu obie były śliczne - że-nimy się z nimi i mieszkamy w domkach tak bliźniaczych jak siostry: wszystko identyko, jeden obok drugiego. A ponieważ obaj bywamy roztrzepani, czasami nam się mylą domy i siostry, więc mąż Aymary sypia z Tamarą i *vice versa*, żeby sobie powetować i dobrze się bawić, a potem mamy po parze bliźniąt, chłopców, którzy rodzą się tego samego dnia - od razu czwóreczka - a lekarze, którzy też bywają roztargnieni, mylą matki i dzieci i stwierdzają: dwa tu, dwa tam, a chłopaki dorastają razem i ssą mleko raz jednej, raz drugiej matki, a poza tym też im się co chwilę mylą domy, a my godzinami zajadamy się byle czym, aż wreszcie synowie nam dorastają i żenią się z dziewczynami czworaczkami, i robi się jedno wielkie zamieszanie; wtedy przychodziła z pracy Josefina, ściszała nam radio, nie wiem, jak wy możecie wytrzymać ten jazgot przez cały boży dzień, protestowała, słuch potracicie, kurde balans, ale robiła nam potem koktajl - czasami z mango, czasami z papai, a jak nie, to z czekolady.

Chudy był wciąż chudy, kiedy ostatni raz wyobrażaliśmy sobie, że się żenimy z bliźniaczkami. Byliśmy w trzeciej klasie liceum, on chodził z Dulcità, a Cuqui już się ze mną pokłóciła, gdy pewnego dnia Tamara ogłosiła w klasie, że biorą ślub z Rafaelem i zapraszają wszystkich, wesele miało być u niej w domu - i choć imprezy u niej zawsze były super, obiecaliśmy sobie, że nie pójdziemy. Tego wieczora zaliczyliśmy pierwsze niezapomniane pijaństwo: wtedy jeszcze litr rumu to było dla nas za dużo i Josefina musiała nas wykapać, dać nam po łyżce belladony, żeby zahamować wymioty i takie tam, a nawet położyła nam po worku z lodem na jaja.

Sierżant Manuel Palacios wrzucił wsteczny, nacisnął gaz i gumy aż zajęczały, kiedy auto wyjechało tyłem z miejsca parkingowego. Za kierownicą nie wydawał się już taki kruchy. Przed drzwiami centrali ujrzał obojętną twarz porucznika Maria Conde: możliwe, że jednak nie udało mu się zrobić wrażenia tym manewrem, którego nie powstydzilby się nawet Gene Hackman we *Francuskim łączniku*.



Miody sierżant Palacios, choć niektórzy twierdzili, że za kilka lat będzie najlepszym śledczym w centrali, wykazywał się znaczną niedojrzałością, kiedy w jego ręce dostawała się jakaś kobieta albo kierownica. Niechęć Condego do wykonywania nazbyt dla niego skomplikowanej czynności obejmującej ruszanie rękami, śledzenie wzrokiem tego, co przed i za autem, a do tego przyspieszanie, zmiany prędkości oraz hamowanie stopą, pozwalała Manuelowi zachować posadę stałego kierowcy, kiedy tylko Stary zlecał im wspólną robotę. Conde zawsze uważał, że ten motoryzacyjny konkubin, dzięki któremu można było zaoszczędzić na kierowcy, był zasadniczym powodem tego, że major Rangel często łączył ich w jeden zespół. W centrali niektórzy twierdzili, że Conde jest najlepszym detektywem, a sierżant Palacios rychło go prześcignie, ale niewielu pojmowało tak naprawdę, na czym polega ich dopasowanie zrodzone na styku przytłaczającego spokoju porucznika i nachalnej witalności tego wychudzonego sierżanta o dziecięcej twarzy, który na pewno musiał coś pokantować, żeby go przyjęto do Akademii Policyjnej. Tylko Stary zdawał sobie sprawę, że tych dwóch może się porozumieć. I ostatecznie zaczynało im się to udawać. Conde podszedł do samochodu. Szedł z papierosem w ustach, w rozpiętej kurtce, a ciemne szkła zasłaniały mu sińce pod oczami. Zajmując miejsce pilota, sprawiał wrażenie zmartwionego.

- No, wreszcie, jedziemy do żony? - zapytał Manuel gotów odpalić silnik.

Conde milczał jeszcze chwilę. Schował okulary do kieszeni kurtki. Wyjął zdjęcie Rafaela Morina, które trzymał w teczce, i położył je sobie na kolanach.

- Co myślisz o tym facecie? - zapytał.

- Sądząc po twarzy? A bo ja wiem, to ty się tu znasz na psychologii, ja to bym go musiał usłyszeć, żeby coś powiedzieć.

- A jak na razie, to co sądzisz o sprawie?

- Jeszcze nie wiem, Conde, to trochę nietypowe. To znaczy - poprawił się, patrząc na porucznika - kurewsko to dziwne, nie?

- Mów dalej - zachęcił go Conde.

- Więc tak, jak dotąd wypadek odpada i nie ma śladów ucieczki z kraju, w każdym razie tak wynika z ostatnich raportów, które

przed chwilą przeglądałem, choć z drugiej strony za bardzo bym im nie ufał. Na porwanie raczej mi to nie wygląda, bo nie widać w tym żadnej logiki.

- Daruj sobie logikę i mów dalej.

- Na logikę nie widzę tu porwania, bo nie wiem, czego można za niego zażądać, a że dał nogę z jakąś kobitką, to mi też nie pasuje, nie? bo przecież domyśliłby się, że będzie afera, a nie wygląda na faceta, co to by miał skłonność do wariactw. Przecież to by go mogło kosztować stanowisko, nie? Ja tu widzę dwie możliwości: albo go zabili przypadkowo, może chcieli okraść, albo z kimś pomylili, albo został zabity dlatego, że wpakował się w jakieś przekręty, nie mam pojęcia jakie. Natomiast drugie rozwiązanie, które mi przychodzi do głowy, jest absurdalne: że się z jakiegoś powodu ukrywa, ale jeśli tak rzeczywiście jest, to nie kapuję, dlaczego nie wymyślił czegoś, żeby opóźnić reakcję żony. Mógł symulować jakąś delegację na prowincję czy coś... Ale facet załatuje mi psim ścierwem na ulicy. Na razie nie mamy innej możliwości, niż szukać go wszędzie: w domu, w pracy, w dzielnicy, nie wiem, trzeba znaleźć w tym jakiś sens.

- Szlag by to wszystko trafił. - Conde wpatrywał się w szosę. - Jedziemy do niego do domu. Kieruj się na Santa Catalina przez Rancho Boyeros, dalej.

Manolo włączył stacyjkę. Ulice oświetlone intensywnym światłem słonecznym, które zachęcało do wypoczynkowego spędzenia zbliżającego się południa, nadal pozostawały puste. Na niebie niewyraźnie majaczyły wysokie i brudne chmury gromadzące się nad horyzontem. Conde starał się myśleć o obiedzie u Josefiny, o meczu, który go czekał wieczorem, o tym, jak bardzo szkodzi mu palenie takiej ilości papierosów. Chciał przepłoszyć tę mieszanekę melancholii i podniecenia, która z wolna go opanowywała, w miarę jak samochód zbliżał się do domu Tamary.

- A ty co, wakacje masz? Co ty myślisz, Conde? - zapytał Manolo, kiedy minęli Teatr Narodowy.

- Rozumuję z grubsza jak ty, dlatego się nie odzywałem. Nie sądzę, żeby się ukrywał ani by próbował nielegalnie wyjechać, to bez dwóch zdań. - I znów przyjrzał się zdjęciu.

- Dlaczego tak sądzisz? Ze względu na stanowisko?  
- Tak, dokładnie. Przecież on co roku wyjeżdżał z dziesięć razy za granicę... A poza tym znałem go jakieś dwadzieścia lat temu.

Manolo pomylił się przy wrzucaniu biegów, aż silnik prawie zgasił. Docisnął gaz i mocnym szarpnięciem przerzucił bieg. Z uśmiechem pokiwał głową i spojrzał na swojego towarzysza.

- Chyba mi nie powiesz, że to jakiś twój kumpel.  
- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że go znam.  
- Od dwudziestu lat?

- Siedemnastu, jeśli mam być ściśły. W 1972 usłyszałem go pierwszy raz, kiedy wygłaszał przemowę w liceum La Víbora. Był tam przewodniczącym Federacji Uczniów Szkół Średnich.

- I co dalej?

- A nic, nie chcę cię w żaden sposób nastawiać, Manolo. Prawda jest taka, że facet zawsze mocno mnie wkurzał, ale teraz mniejsza o to. Jedyne, czego chcę, to żeby się szybko znalazł, bo wtedy będę się mógł zaraz położyć spać.

- Naprawdę uważasz, że to bez znaczenia?

- Szybciej, jedź, bo masz zielone - zawołał, wskazując światła na rogu Boyeros i Calzada del Cerro.

Conde zapalił papierosa, zakaszłał parę razy i schował zdjęcie Rafaela Morina do teczki. Wspomnienie Tamary oznajmiającej, że wychodzi za Rafaela, odżyło z nieoczekiwaną gwałtownością. Wyobrażał sobie trzy białe kreski na jej szkolnej spódnicy, pończochy zrolowane na kostkach i grzywkę przyciętą w symetryczny owal. Po ukończeniu liceum widzieli się może cztery czy pięć razy i wówczas już na sam jej widok czuł w piersi oszałamiającą zmysłowość tej kobiety. Jechali przez Calzada de Santa Catalina, ale Conde nie patrzył na domy, w których wciąż mieszkali niektórzy z jego dawnych szkolnych kolegów, ani na ładnie utrzymane ogródki, ani ciszę tej zawsze spokojnej dzielnicy, gdzie był na tyłu imprezach razem z Królikiem i Chudym. Przypomniała mu się jedna impreza u nich, piętnaste urodziny Tamary i Aymary, prawie na samym początku pierwszego roku w liceum, drugiego listopada, uściślił, i to, jakie wrażenie zrobił na nim dom bliźniaczek, patio

wyglądało jak bardzo zadbane angielski ogród, pod drzewami mieściło się sporo stolików, na trawniku i obok fontanny, na której stary, ocalały z jakiejś kolonialnej rezydencji amerek siusiał na kwitnące lilie. Było tam tyle miejsca, że mogli zagrać Los Gnomos, najlepsza, najszlachetniejsza i najdroższa kapela z La Víbora, i mogło tam tańczyć ponad sto par; i dla każdej dziewczyny były kwiaty, tace pełne smażonych krokietów, o których nawet nie było co marzyć w tych czasach niekończących się kolejek. Rodzice bliźniaczek, wtedy ambasadorostwo w Londynie, wcześniej w Brukseli i Pradze, a później w Madrycie, wiedzieli, jak się robi przyjęcia, i Chudy, Królik i Andrés zaklinali się, że nigdy nie byli na lepszej imprezie. Na każdym stole stała butelka rumu. Wygląda jak jakaś zagraniczna feta, zawyrokował Królik, a oni też byli tego zdania, a potem pomyślał sobie, że nawet Wielkiemu Gatsby'emu spodobałaby się taka balanga. Rafael Morin, ewidentnie w celach podrywczych, całą noc przetańczył z Tamarą, Conde wciąż pamiętał, jak wirowała jej sukienka z białymi koronkami, w rytm nieuniknionego *Błękitnego Dunaju*, który jemu wydawał się czarny, z szarymi wykończeniami.

- Zaparkuj tam - polecił sierzantowi, kiedy minęli ulicę Mayia Rodríguez, i rzucił niedopałek na chodnik. Po drugiej stronie, dokładnie na rogu, stał dwupiętrowy budynek, w którym mieszkały bliźniaczki, niesamowita kamienica, z błyszczącymi płaszczyznami ciemnych szyb, ściany z czerwonej cegły, a od frontu ogród profesjonalnie zadbane, z rpurem odpowiedniej wysokości, by nie zasłaniać rzędu betonowych figur naśladowujących kształty z obrazów Lama.

- No proszę, to tutaj - wykrzyknął Manolo. - Za każdym razem, jak tędy przechodziłem, zwracałem uwagę na ten dom i myślałem sobie, jak fajnie byłoby taki mieć. Myślałem sobie nawet, że w domu takim jak ten na pewno nigdy nie ma żadnych kryminalnych afer i nawet nie będę miał okazji zobaczyć go od środka.

- Nie, to nie jest dom dla policjanta.

- Facet dostał tę chatę z przydziału, co?

- Nie, akurat nie. Należała do rodziców jego żony.

- Kurczę, jak to jest mieszkać w takim domu, co, Conde?

- Inaczej... Ty, Manolo, teraz posłuchaj uważnie. Mam pewną koncepcję, nad którą chciałbym popracować: impreza z dnia trzydziestego pierwszego grudnia. Rafael Morin zniknął bezpośrednio po niej. Coś tam się mogło stać, co ma związek z tą całą aferą, bo w zbiegi okoliczności to ja, wybacz, nie wierzę. I teraz chcę cię prosić o przysługę.

Manolo uśmiechnął się i poklepał kierownicę.

- Conde prosi o przysługę? Służbową czy osobistą? No to dawaj, chłopie, dla ciebie wszystko.

- Więc słuchaj, teraz trzymaj język za zębami i daj mi przeprowadzić tę rozmowę z Tamarą. Ją też znam od dawna i sądzę, że to mi pozwoli lepiej nią pokierować. To jest ta prośba. Czy to dużo? Cokolwiek przyjdzie ci do głowy, powiesz mi później. Zgoda?

- W porządku, Conde, nic nie namieszam - odpowiedział sierżant, gotów na takie poświęcenie, byle tylko stać się świadkiem czegoś, co, jak przewidywał, stanie się rozliczeniem z przeszłością. Zamykając auto, Manolo widział, jak Conde przechodzi przez ulicę i znika gdzieś między żywopłotem z krotonów i głową wystraszonego betonowego konia, który bardziej wyglądał na dzieło Picassa niż Lama. Tak czy inaczej ten dom wydawał się zdecydowanie niedostępny dla policjanta.

Oczy są jak dwa gładkie migdały, klasyczne, lekko wilgotne. Dokładnie tyle ile trzeba, by było widać, że to prawdziwe oczy i że mogą nawet płakać. Włosy, sztucznie kręcone, opadają zakręconym łokiem na czoło, niemal zasłaniając ciemne i wysokie brwi. Usta próbują wygiąć się w uśmiech, w sumie nawet im się udaje, zęby jak u zdrowego zwierzęcia, białe i błyszczące, zasługują na nagrodę pełnego uśmiechu. Nie wygląda na te trzydzieści trzy lata, myśli, stojąc przed swoją dawną koleżanką ze szkoły. Nikt by nie powiedział, że rodziła, wciąż pewnie może zrobić ileś baletowych figur, acz teraz widać, że bardziej panuje nad swoją niezwykłą urodą: jest pełna, jędrna, w szczytowej formie wdzieków i kształtów. Mogłaby znów ubrać się w szkolną spódniczkę i obcisłą bluzkę, myśli i poprawia sobie rewolwer za paskiem, przedstawia sierżanta

Manuela Palacios, który wytrzeszcza oczy, a Conde ma wielką ochotę wyjść, ale siada na sofie obok Tamary, a ona zaprasza Manola na fotel.

Ona ubrana jest w luźną i delikatną sukienkę, jaskrawożółtą, a on się upewnia, że z nią wszystko w porządku: nawet w tak agresywnym kolorze jest najpiękniejszą kobietą, jaką widział, i wtedy nie chce już wychodzić, tylko sięgnąć ręką, gdy nagle ona wstaje.

- Życie piata figle, co? - mówi. - Proszę poczekać, przyniosę kawę.

Idzie w stronę korytarza, a on przygląda się ruchowi jej zniewalających pośladków pod cieniutką żółcią materiału. Na udzie dostrzega krawędź majteczek i wymienia spojrzenia z Manolem, który wstrzymał oddech, i przypomina sobie, że ten godny pomnika tyłeczek był przyczyną wielu łez, kiedy nauczycielka baletu doradziła jej zmianę artystycznego kierunku: tektoniczne ruchy jej bioder, ładunek ciała na jej pośladkach i krągłość ud nie pasowały do nimfy czy łabędzia, tylko raczej do gąski nioski, toteż nauczycielka zasugerowała zainteresowanie się rumbą, skropioną potem i wódką.

- Smutny los, nie? - mówi, a Manolo wznosi ręce do góry, chce zapytać o ten niewytłumaczalny smutek, ale ona wraca i skupia na sobie jego spojrzenie.

- Mima właśnie zaparzyła, jeszcze gorąca - zapewnia i podaje filiżankę Manolowi, a potem Condemu. - Niesamowite, Conde we własnej osobie. Pewnie już jesteś majorem albo kapitanem, co, Mario?

- Porucznikiem i czasami się zastanawiam, jakim cudem - odpowiada i próbuje kawy, ale nie ośmiela się dodać: „Doskonała kawa, niech to szlag, specjalnie dla przyjaciół, naprawdę najlepsza kawa, jaką piję od wielu lat”.

- Kto by pomyślał, że wstąpisz do policji.

- Nikt, chyba nikt.

- Przecież ten facet to był niezły numer - ona zwraca się do Manola, a potem znów patrzy na Condego. - Nigdy nie byłeś specjalnie dobrym uczniem, bo nie pojawiałeś się na czynach

społecznych i uciekałeś z ostatnich lekcji, żeby posłuchać nowego odcinka przygód Guaytabó w radiu. Pamiętam jak dziś.

- Ale oceny miałem dobre.

Ona się uśmiecha, nie może się oprzeć. Strumień wspomnień płynący między nimi przeskakiwał nad złymi chwilami, oszlifowanymi przez czas, zahaczając wyłącznie o przyjemne dni, pamiętne zdarzenia i momenty ulepszone przez dystans lat. A ona nawet wydaje się jeszcze piękniejsza, wierzyć się nie chce.

- I nie piszesz już, Mario?

- Nie, już nie. Może kiedyś. - Słyszysz własne słowa i czuje się niezręcznie. - A twoja siostra?

- Aymara jest w Mediolanie. Wyjechała z mężem na pięć lat, on jest przedstawicielem handlowym Ministerstwa Metalurgii. Drugim mężem, wiesz?

- Nie, nie wiedziałem, ale cieszę się.

- Mario, a co się dzieje z Królikiem? Nigdy więcej go nie widziałam.

- A nic, skończył studium pedagogiczne, ale jakoś udało mu się uciec z edukacji. Teraz jest w Instytucie Historycznym i wciąż rozmyśla, co by było, gdyby nie zabito Maceo albo gdyby Anglicy nie wycofali się z Hawany i nad tego rodzaju narodowymi tragediami, które go dręczą\*.

- A co u Cariosa?

Ona pyta o Cariosa, a on chciałby zatopić się w jej dekolcie. Chudy Carlos twierdził, że Tamara i Aymara miały duże i ciemne sutki, popatrz na ich usta, mówił, mają w sobie coś murzyńskiego, a zgodnie z jego teorią usta i sutki są względem siebie proporcjonalne barwą i rozmiarami. Zawsze chcieli sprawdzić, czy ta teoria działa w przypadku Tamary, czekali, żeby się schyliła po ołówkę,

\* Antonio de la Caridad Maceo y Grajales (1845-1896) - kubański bohater narodowy, jeden z przywódców niepodległościowych walk w XIX wieku, zwany „Tytanem z Brązu” (co stanowi aluzję do koloru jego skóry - był Mulatem). Zginął w trakcie działań wojennych, zastrzelony przez Hiszpanów.

Anglicy zajęli Hawanę w 1762 roku w trakcie zbrojnego konfliktu hiszpańsko--brytyjskiego. Miasto wróciło do hiszpańskiej Korony po niespełna roku w wyniku negocjacji (przyp. tłum.).

podglądali ją w trakcie wuefu, ale ona była jedną z tych, co to zawsze noszą staniki. Może dziś nie ma?

- W porządku - kłamie. - A u ciebie?

Ona odbiera mu filiżankę z rąk i stawia na szklanym stoliku, obok efektownego zdjęcia ślubnego, na którym Tamara i Rafael, uśmiechnięci, przebrani w uroczyste stroje, przytuleni i szczęśliwi, patrzą na swoje odbicie w owalnym lustrze. Conde myśli, że powinna powiedzieć: dobrze, ale nie odważy się, przecież jej mąż zaginał, może nawet nie żyje, a ona czeka przestraszona, choć naprawdę świetnie wygląda, i mówi wreszcie:

- Bardzo się martwię, Mario. Mam przecucie, sama nie wiem...

- Jakie przecucie?

Ona kręci przecząco głową, a niepokorny kosmyk włosów tańczy jej na czole. Jest podenerwowana, pociera dłonie, w jej zawsze nęcących oczach kryje się niepokój.

- Czegoś złego - mówi i patrzy w głąb cichego domu. - To zbyt dziwne, żeby nie oznaczało niczego złego, wiesz? Słuchaj, Mario, jak chcesz, to możesz zapalić - i z półeczki pod blatem wyciąga nieskazitelną popielniczkę. Kryształ Murano, błękit z przebłyskami fioleto i srebrzystymi kropeczkami. On zapala papierosa, ale brudzenie takiej popielniczki zakrawa na herezję. - A pan nie pali? - ona pyta Manola i sierżant się uśmiecha.

- Nie, dziękuję.

- To niewiarygodne, Tamaro - mówi Conde z uśmiechem. - Od piętnastu lat nie byłem w tym domu i wszystko jest identyczne. Pamiętasz, jak stłukłem tamten wazon? Z porcelany chyba, nie?

- Ceramika z Sargadelos - ona opiera się plecami o sofę i próbuje poprawić kosmyk włosów opadający na czoło. Ciebie też dręczą wspomnienia, koleżanko, myśli on i chciałby się poczuć tak, jak czuł się wtedy, kiedy cała klasa przychodziła do tego domu jak z filmu, wszyscy zbierali się w bibliotece pod pretekstem nauki, zawsze były chłodne napoje, a czasem nawet cukierki, klimatyzacja i wspólne marzenia, Chudy, Królik, Cuqui, Dulcita i Conde, wszyscy będą kiedyś mieli takie domy, jak już zostaną lekarzami, inżynierami, historykami, ekonomistami, pisarzami



i wszystkim tym, czym mieli być, ale nie wszystkim się udało. On już nie wytrzymuje wspomnień, więc mówi:

- Czytałem twoje zeznania z policji. Powiedz mi coś więcej.

- Nie wiem co, tak to wyglądało - stwierdza ona po chwili namysłu, zakładając nogę na nogę, a potem krzyżuje ręce na piersi, wciąż jest bardzo rozciągnięta, myśli on. - Wróciliśmy z imprezy, ja się położyłam pierwsza i już prawie zasnęłam, kiedy usłyszałam, że on też się kładzie, i zapytałam go, czy dobrze się czuje. Sporo wypił. Kiedy wstałam, po Rafaelu nie było już nawet śladu. Do wieczora właściwie się tym nie przejmowałam, bo czasami tak wychodzi, nic nie mówiąc, ale tego dnia miał nie iść do pracy.

- A gdzie była ta impreza?

- W domu wiceministra, który zajmuje się firmą Rafaela. W Miramar, obok sklepu dyplomatycznego przy Piątej i Czterdziestej Drugiej.

- Kto był?

- Zaraz, daj mi pomyśleć - prosi o czas i znów poprawia niestrudzony kosmyk. - Oczywiście gospodarze, Alberto i jego żona. Alberto Fernández - dodaje, widząc, że Conde wydobywa swój mały notes z tylnej kieszeni spodni. - Wciąż go tak samo nosisz?

- Stare nawyki. - Kręci głową, bo nie wpadłby na to, że ktoś może pamiętać ten jego stary zwyczaj, nawet on sam. Ile jeszcze rzeczy będą musiał sobie przypomnieć, zastanawia się, Tamara się uśmiecha, a on kolejny raz powtarza sobie, że wspomnienia to balast i że być może nie powinien tu być; gdyby coś więcej powiedział Staremu, może ten zleciłby sprawę komuś innemu, i myśli, że może jednak trzeba było poprosić o zastępstwo, nie powinien szukać kogoś, kogo tak naprawdę nie chce znaleźć, i rozmawiać sobie z jego żoną, kobietą, która rozbudza w nim pragnienia z przeszłości. Ale odpowiada: - Nigdy nie lubiłem chodzić z teczką.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy się białeś na boisku z tym Isidritem z Managua?

- Jeszcze mi się sińce nie zagoiły. Jak ten facet bił, Boże jedyny - i uśmiecha się do Manola, doskonale spełniającego się w roli pobocznego słuchacza.

- A o co wam wtedy poszło, Mario?

- No, wyobraź sobie, że zaczęliśmy od sprzeczek o baseball, kto jest lepszy, czy Andrés, Biajaca i chłopaki z mojej dzielnicy, czy ci z Managuy, aż w którymś momencie się wkurzyłem i powiedziałem mu, że poza moją dzielnicą mieszkają same dupki i sukinsyny. No i facet się wściekł.

- Wiesz co, Mario, wydaje mi się, że jakby się Carlos nie wmieszał, Isidrito by cię zatłukł.

- Przepadłby jeden dobry policjant - uśmiecha się i przyjmuje postawę obronną. - Słuchaj, może lepiej później zrobisz mi listę gości z komentarzem, kto się czym zajmuje i czy wiesz, jak ich namierzyć. Wszystkich, których pamiętasz. A oprócz wiceministra byli jeszcze jacyś ważni ludzie?

- Zaraz, był minister, ale wyszedł wcześniej, tak gdzieś koło jedenastej, bo musiał być gdzie indziej.

- I rozmawiał o czymś z Rafaelem?

- Przywitani się i takie tam, ale za wiele nie rozmawiali. To znaczy ze sobą.

- Aha. A rozmawiał z kimś na osobności?

Ona się zastanawia. Przymyka oczy, a on woli popatrzeć w inną stronę. Bawi się popiołem ze swojego papierosa, a w końcu gasi niedopałek. Potem nie wie, co zrobić z popielniczką, a obawia się, że historia z wazonem z Sargadelos może się powtórzyć. Nie może jednak przestać czuć zapachu Tamary: pachnie czystością, higieną, drogą lawendą, wilgotną ziemią, a przede wszystkim kobietą.

- Wydaje mi się, że z Maciquesem, swoim kierownikiem biura. Tylko że ci dwaj połowę życia przegadują, i to o pracy; a na imprezach muszą jakoś znosić żonę Maciquesa; gdybyś ją zobaczył, Boże mój, puszy się jak jakiś paw... I powinieneś ją usłyszeć. Właśnie odkryła, że bawełna jest lepsza niż poliester, a potem mówi, że uwielbia jedwab...

- Wyobrażam sobie. Rozmawiał z kimś jeszcze?

- Zaraz, Rafael przez chwilę był na balkonie, a kiedy tam wyszedł, właśnie pojawił się Dapena, Galicyjczyk, który ciągle przylatuje na Kubę w interesach.

- Poczekaj chwilę. - Znów zaczyna szperać w notesie. - Galicyjczyk?

- Tak, z hiszpańskiej Galicji. José Manuel Dapena, tak brzmi jego pełne nazwisko. Robi jakieś interesy związane z firmą Rafaela, ale przede wszystkim współpracuje z Handlem Zagranicznym.

- I mówisz, że rozmawiali?

- No, wiesz, Mario, widziałam, jak wracali razem z tego balkonu, nie wiem, czy tam był ktoś jeszcze.

- Tamaro - zaczyna się bawić długopisem, cykając monotonicznie guziczkiem - jak wyglądają takie imprezy?

- Jakie? - Ona się dziwi, sprawia wrażenie, że nie rozumie.

- No, te imprezy, na które chadzacie, z ministrami, wiceministrami i zagranicznymi handlowcami, jak to wygląda?

- Nie rozumiem, Mario, są normalne jak wszystkie inne imprezy. Rozmawia się, tańczy, pije, nie wiem, o co ci chodzi. Czy mógłbyś zostawić w spokoju ten długopis - prosi, a on wie, że jest zdenerwowana.

- I nikt się nie upija, nie wyzywa innych ani nie sika z balkonu?

- Nie mam ochoty na takie gierki, Mario, naprawdę. - Naciska palcami powieki, ale nie wygląda na zmęczoną. Kiedy cofa dłoń, jej oczy błyszczą jeszcze bardziej.

- Wybacz - odpowiada on i chowa długopis do kieszeni kieszonki. - Opowiedz mi o Rafaelu.

Teraz ona wzdycha po tej prośbie. Kręci głową, jakby przecząc czemuś, o czym wie tylko ona, i kieruje spojrzenie w stronę okna wychodzącego na wewnętrzny ogród. Teatralne zachowanie, myśli on i podąża za jej wzrokiem, widzi fałszywy, lekko przyciemniony kolor paproci rosnących bujnie za szybą.

- Chybabym woląла rozmawiać z jakimś innym policjantem, wiesz? Z tobą, sama nie wiem, jakoś trudno mi to przychodzi.

- Mnie też, bo w grę wchodzi ty i Rafael. Poza tym gdyby twój mąż nie przepadł, siedziałbym sobie teraz w domu i czytał, żadnej pracy aż do poniedziałku. Dobrze by było, żeby się szybko odnalazł. I ty mi musisz w tym pomóc, zgoda?

Robi gest, jakby chciała wstać, ale zaraz siada z powrotem na sofie. Jej usta układają się w prostą kreskę, w minę kogoś niezadowolonego, ale łagodnie, patrząc na sierżanta Manuela Palaciosą.

- Cóż ci mogę powiedzieć o Rafaelu? Przecież też go znasz... Żyje dla pracy, nie dla zabawy doszedł do tego stanowiska, a naj lepsze jest to, że lubi harować jak wół. Sądzę, że jest dobrym dyrektorem, naprawdę, poza tym wszyscy tak mówią. Ciagle go do czegoś chcą i wszystko robi dobrze. Sam przyznaje, że jest człowiekiem sukcesu. Wciąż podróżuje za granicę, głównie do Hiszpanii i Panamy, żeby podpisywać kontrakty i robić zakupy, i wygląda na to, że jest dobry w interesach. Wyobrażasz sobie Rafaela jako zwykłego handlowca?

Nie wyobraża sobie, tylko przygląda się sprzętowi muzycznemu, który stoi w rogu pomieszczenia: deck, adapter, dwie kieszenie na kasyety, CD, equalizer, wzmacniacz i dwie kolumny o diabli wiedzą jakiej sile, i myśli sobie, że muzyka puszczona na czymś takim to naprawdę jest muzyka.

- Nie, nie wyobrażam sobie - odpowiada, a potem pyta: - A skąd macie taką wieżę? To musi kosztować ponad tysiąc dolców...

Ona znów rzuca spojrzenie Manolowi, a następnie przygląda się swojemu koledze ze szkoły.

- O co chodzi, Mario? Co to za pytania? Przecież chyba wiesz, że nikt nie pracuje jak wariat tylko dla frajdy. Każdy do czegoś dąży i... jak ktoś może jeść filet, to nie będzie się zadowalał ryżem z jajkiem.

- No tak, komu Bóg daje...

- Co cię tak denerwuje, Mario?

On szuka długopisu, ale zaraz go odkłada.

- Nie, nic, nie przejmuj się, dobra?

- Ale właśnie się przejmuję. Gdybyś musiał służbowo podróżować, tobyś nie podróżował i nie kupował rzeczy twojej żonie i dziecku, co? - pyta, szuka poparcia u Manola. Sierżant niemal niepostrzeżenie wzrusza ramionami, wciąż z filiżanką kawy w dłoniach.

- Niestety poniosłem klępkę na obu frontach: ani nie jeżdżę, ani nie mam żony i dziecka.

- Ale zawiść to czujesz, co? - odpowiada delikatnie i znów patrzy na paprocie. On wie, że poruszył jej czułą strunę. Przez te wszystkie lata starała się upodobnić do reszty, ale rodzina robi swoje i zawsze czuła się inna: jej perfumy pachniały inaczej niż tanie wody kolońskie, miała alergię i tolerowała tylko niektóre męskie zapachy, jej ubrania, w których pojawiała się na imprezach, przypominały ciuchy koleżanek, ale były indyjskiej produkcji, umiała kaszleć, kichać i ziewać przy ludziach, ale tylko ona rozumiała dokładnie teksty piosenek Led Zeppelin czy Rare Earth. On kładzie sobie popielniczkę na sofie i sięga po następnego papierosa. To ostatni w paczce, więc jak zwykle z przerażeniem stwierdza, że strasznie dużo wypalił, ale myśli sobie, że nie, że nie czuje ani odrobiny zawiści.

- Może i tak - zgadza się jednak, zapalając papierosa, i zdaje sobie sprawę, że brak mu sił, by z nią dyskutować. - Ale tego akurat najmniej zazdrościsz Rafaelowi, słowo - uśmiecha się i patrzy na Manolę. - Niech święty Piotr błogosławi temu domowi.

Ona zamknęła oczy, a on się zastanawia, czy złapała tę aluzję z zazdrością. Teraz siedzi jeszcze bliżej Tamary i może wciągać jej zapach do woli, podczas gdy ona bierze go za rękę.

- Przepraszam, Mario, ale jestem bardzo spięta. Nie ma się co dziwić, to przez tę aferę - wyjaśnia i cofa dłoń. - Więc chciałeś ode mnie listę?

- Towarzyszko - odzywa się wtedy sierżant Manuel Palacios, podnosząc rękę, jakby prosił o głos z głębi pomieszczenia, nie odważając się spojrzeć na Condego. - Ja wiem, jak pani się czuje, ale musi nam pani pomóc.

- Wydawało mi się, że właśnie to robię.

-Jasne, jasne. Ale ja nie znam pani małżonka... Czy przed pierwszym styczniawydawał się pani jakiś dziwny, robił coś nietypowego?

Ona sięga ręką do szyi, przez chwilę dotyka jej palcami, jakby z miłością.

- Rafael sam z siebie był trochę dziwny. Taki miał charakter, bardzo zmienny, byle co potrafiło go zestresować. Jeśli miałabym wskazać na coś dziwnego, to może na to, że trzydziestego grudnia był jakiś taki poirytowany, mówił, że ma dość tych wszystkich rocznych podsumowań, ale następnego dnia było już zupełnie inaczej, mam wrażenie, że się dobrze bawił na imprezie. Ale pracą zawsze się przejmował, całe życie.

- I niczego nie powiedział, nie zrobił czegoś, co by przykuło pani uwagę? - ciągnął Manolo, wciąż unikając wzroku porucznika.

- Nie, z tego, co wiem, to nie. Poza tym trzydziestego pierwszego był na obiedzie u swojej mamy i prawie cały dzień mu tam zszedł.

- Przepraszam, Manolo - wtrącił się Conde, przyglądając się, jak sierżant zaciera ręce, rozkręcił się i mógłby tak maglować dobrą godzinę. - Tamaro, chciałbym, żebyś przemyślała, czy w ciągu ostatnich dni robił coś, co może mieć związek z tym, co się stało. Każda rzecz jest ważna. Coś, czego normalnie nie robił czy nie mówił, może rozmawiał z kimś, kogo nie znasz, nie wiem... I zależy mi też na tej liście. Zamierzasz gdzieś dziś wychodzić?

- Nie, a co?

- Nic, to żeby wiedzieć, gdzie będziesz. Kiedy skończę robotę w centrali, mógłbym wpaść do ciebie po tę listę i jeszcze porozmawiamy. Dla mnie to nie problem, mam po drodze.

- Dobrze, będę na ciebie czekać i zrobię listę, nie martw się. - Ponownie walczy z niepokornym kosmykiem na czole.

- Weź to - wrywa z notesu jedną kartkę. - W razie jakiegokolwiek potrzeby złapięz mnie pod tymi numerami.

- Dobrze, dzięki - odpowiada i bierze kartkę, a jej uśmiech jest jak prezent. - Ty, Mario, włosy ci zaczynają rzednieć na czole. Nie mów, że będziesz łysy!

On się uśmiecha, wstaje i rusza w stronę drzwi. Naciska klamkę i puszcza przodem Manola. Teraz stoi przed Tamarą i patrzy jej w oczy.

- Cóż, pewnie faktycznie wyłysięję - mówi i dodaje: - Tamaro, nie złość się na mnie. Muszę wykonać swoją pracę i ty to rozumiesz, prawda?

- Rozumiem, Mario.

- W takim razie powiedz mi coś: kto oprócz ciebie skorzystałby na śmierci Rafaela?

Ona w pierwszej chwili wygląda na zaskoczoną, ale zaraz się uśmiecha. Zapomina o nieokiełznanym kosmyku i mówi:

- Cóż z ciebie za psycholog, Mario? Skorzystać? Wieża stereo i łada zaparkowana pod domem?

- Nie wiem, nie wiem - tłumaczy się i unosi rękę w geście pożegnania. - Zawsze mówię coś nie tak - i wychodzi z domu, w którym nie był od piętnastu lat, i wie, że został ugodzony. Nie chce patrzeć na nią w drzwiach w pożegnalnej pozie. Przechodzi na drugą stronę ulicy, nie oglądając się na samochody. - No to ruchy, ruchy - pogania Manola, siadając w aucie, i nie może tego uniknąć: patrzy w stronę domu i zauważa pożegnalny gest kobiety, która przygląda mu się, stojąc w drzwiach, obok agresywnego krzewu z betonu.

- Tu się chyba coś święci.

- Co mówisz?

- Żebyś uważał, Conde, po prostu uważał.

- A co to ma być, Manolo, połajanki jakież?

- Ja miałbym cię łajać? Nie, Conde, ty za stary jesteś i już dobrą chwilę robisz w policji, więc sam wiesz, co możesz, a czego nie. Ale ona mnie nie przekonuje.

- A to dlaczego, co? Co ci się nie podoba?

- Wiesz co, sam nie wiem, ale prawdę mówiąc, coś mi nie pasuje. Jakaś taka zbyt subtelną jak na mnie. Nawet jak na ciebie... No i taka delikatna i tak dalej, i teraz weź się postaw na jej miejscu, mąż zginął, może nie żyje albo wpakował się w Bóg wie jakie problemy...

-Ico?

- I nie masz wrażenia, że zachowuje się trochę tak: co mnie to w sumie obchodzi?

- I to ma znaczyć, że jest jakoś zamieszana czy co?

- Nie no, kurde, jak muł się uprze, to nawet batem...

- Człowieku, jak ja mam cię zrozumieć, skoro gadasz tak enigmatycznie?!

- Enigmatycznie? Mam mówić jasno? Słuchaj, Conde, nie trzeba być orłem, żeby zauważyć, że się ślinisz na sam widok tej kobiety, i widać od razu, że ona też o tym wie. No i dobrze, nie byłoby problemu, gdyby w sprawę nie był zamieszany mąż, nie? A ja ci mówię, że coś mi tu brzydko pachnie.

- Sądzisz, że ona coś wie?

- Możliwe... Nie wiem, ale uważaj na siebie, kolego. W porządku?

- W porządku, sierzancie.

Zakończył, a potem gestem ręki kazał mu zatrzymać auto.

- Hamuj, hamuj - powiedział na widok wozu policyjnego zaparkowanego na chodniku i dwóch policjantów niosących człowieka. Domyślał się, o co chodzi, i przez szybę pokazał funkcjonariuszom swoją odznakę. - Co się stało?

- Pijany, tam leżał - wyjaśnił jeden z mundurowych, wskazując na portal kościoła świętego Jana Bosko. - Zabierzemy go na komisariat, żeby przetrzeźwiał - dodał, a pijak o mały włos nie wyslizgnął mu się z rąk.

- Dobrze, trzeba mu pomóc - Conde zsalutował i poprosił Manola, żeby jechał dalej. O tej porze nie było zimno, ale Mario czuł, że ma gęsią skórkę. Zaginieni pijacy przejmowali go tak samo jak bezdomne psy, jednocześnie odruchowo pogładził się po głowie, żeby sprawdzić, czy Tamara miała rację. Naprawdę zaczynam łysieć? Wykorzystał moment, w którym auto zatrzymało się przed światłami pod coca-colą, żeby rzucić na siebie okiem w lusterku wstecznym. Może rzeczywiście. - Manolo - odezwał się, nie patrząc na towarzysza - pchniemy trochę robotę do przodu. Podrzuc mnie pod budynek Handlu Zagranicznego, sprawdzę, kim jest ten Galicyjczyk Dapena i gdzie go możemy w razie potrzeby znaleźć, a ty jedź do tego Maciquesa i pogadaj z nim. Nagraj tę rozmowę, bądź łagodny, bardzo proszę, bo ostatnio narowisty się zrobiłeś. Potem się spotkamy w centrali... No, ale chyba mi nie powiesz, że nie miałbyś ochoty iść do łóżka z taką babką jak ta, co?



„... zapytać, czy mogę nagrać naszą rozmowę / nie ma problemu, towarzyszu, jeśli tylko tak będzie panu wygodnie... / dobrze, więc nazywa się pan René Maciques Alba i pracuje jako kierownik biura Rafaela Morína Rodrígueza, który zaginał dnia pierwszego stycznia / tak jest, towarzyszu, pierwszego... / a od kiedy pan u niego pracuje? / ... cóż, właściwie to jest na odwrót, wyjaśnię panu, byłem kierownikiem biura poprzedniego dyrektora firmy i kiedy mianowano towarzysza Rafaela, dalej pełniłem te same obowiązki, rozumie pan? to było dwa lata temu, w czerwcu osiemdziesiątego siódmego, nawet dokładnie pamiętam ten dzień... / jak się układały panów stosunki? / znaczy z Rafaelem? ... dobrze, oczywiście, no bo, choć może nie wypada tak mówić, traktowaliśmy się po koleżeńsku, właściwie od początku, więc jak tu mówić o koledze, świetny był z niego kierownik, bardzo zaangażowany w pracę i przejmował się podwładnymi, taki facet, którego trudno nie lubić, odpowiedzialny... / ma pan jakiś pogląd na jego zniknięcie? / pogląd? hmm... nie, naprawdę nie wiem, byliśmy razem na tej imprezie sylwestrowej u przyjaciela, Alberta, tego wiceministra / jak brzmi jego pełne nazwisko? wiceminister czego? / a, Alberto Fernández-Lorea, wiceminister przemysłu, zajmuje się wszystkim, co ma związek ze sprawami handlowymi w ministerstwie, więc, jak mówię, poszliśmy do jego domu, na Miramar, oczywiście z żonami, i byliśmy tam mniej więcej od dziesiątej do drugiej z hakiem czy trzeciej, strasznie czas leci przy takich okazjach, na imprezach znaczy, gadaliśmy przez chwilę z Rafaelem i umówiliśmy się, że w poniedziałek przygotujemy umowy, które trzeba wysłać do Japonii, dość pilna sprawa / jakiego rodzaju sprawa? / jakiego? No, zakup, wie pan, zakup łożysk i innych przedmiotów potrzebnych do plastiku, i sprzętu informatycznego, tak, Japończycy dają świetne ceny, naprawdę / i mówi pan, że nie zauważył niczego dziwnego tego dnia? / wie pan co... im dłużej nad tym myślę, wydaje mi się, że nie, on tańczył, jadł sporo, pił, nawet mówił, że najlepszego pieczonego prosiaka na świecie robi właśnie wiceminister / a w firmie nie ma żadnych kłopotów? / nie, nie, skąd... zamknięcie roku wyszło świetnie, może trochę stresu, bo strasznie dużo pracy mieliśmy

przez ostatnie dni, to owszem, on się bardzo tym przejmował, ale to normalne, w końcu to jego odpowiedzialność, nie? a poza tym z tymi wszystkimi problemami, jakie mają kraje socjalistyczne, będzie coraz trudniej z dnia na dzień... / ma pan jakiś pomysł, gdzie on może przebywać? / wie pan, panie... porucznik, mówił pan? / sierżant / tak, sierżancie, ja nie mam pojęcia, co się dzieje, miał poukładane życie / więc jakie problemy mógł mieć w firmie? / w firmie...? w firmie żadnych, sierżancie, tak jak mówiłem, Rafael miał wszystko pod kontrolą, tip-top / a spotykał się z wieloma kobietami? / jak to z wieloma? kto to panu powiedział, sierżancie? / nikt, po prostu chcę ustalić, gdzie jest Rafael Morin, spotykał się z różnymi kobietami? / nie, nie wiem wiele o jego prywatnym życiu... / ale byliście przyjaciółmi, tak? / tak, owszem, ale raczej w pracy, rozumie pan? czasami tylko odwiedzałem go w domu albo on mnie, i tyle / czy ktoś w firmie miał coś przeciwko niemu? / w jakim sensie? że chciał mu zaszkodzić? / tak, o to mi chodzi / ... nie, nie sędzę, zawsze znajdzie się jakiś zazdrośnik czy inny z pretensjami, bo takich to jest więcej niż wróbli w Hawanie, tak, na pewno, ale to nie był człowiek, który by sobie robił wrogów, w każdym razie nie w pracy, w tym sensie najlepiej go znam / kto to jest José Manuel Dapena? / a, Da-pena, hiszpański biznesmen / jakie miał relacje z Rafaelem? / już tłumaczę, Dapena prowadzi interes związany ze stoczną w Vigo, dzięki niemu zrobiliśmy kilka transakcji eksportowych, bo choć zajmuje się innymi sprawami niż my, to miał interesujące dla nas kontakty w rybołówstwie / a co robił na imprezie? / na imprezie? no, zaproszony był chyba, nie? / przez kogo? / pewnie przez gospodarza, tak, na pewno / i jakie relacje mieli Dapena z Rafaelem? / cóż, jeśli mam być szczerzy, to były czysto biznesowe, i nie wiem, czy powinienem o tym mówić, ale... / proszę, proszę, niech pan nie przerywa / chodzi o to, że Dapena któregoś dnia narzucił się trochę żonie Rafaela... / i były jakieś problemy? / nie, nie, proszę sobie nie wyobrażać takich rzeczy, to było nieporozumienie, ale Rafael po tym niespecjalnie za nim przepadał / a pan się koleguje z tym Hiszpanem? / nie, żadne tam koleguje, a poza tym też za nim nie przepadałem po tej historii z Tamarą, znaczy

z żoną towarzysza Rafaela, ten Galicyjczyk jest z tych, którym się wydaje, że jak mają kasę, to są Bogu równi / a co się stało z poprzednim dyrektorem firmy? / ale co to ma wspólnego... pan wybacz, sierżancie... no nic, trochę sobie poluzował, jak to się mówi, za dużo sobie pozwalał i sam pan wie, jak to jest... / a Rafael był inny? / Rafael? oczywiście, on był zupełnie inny, zupełnie, z tego, co wiem... / a co pan wie? / chcę przez to powiedzieć, że był inny / a o której wyszliście panowie z imprezy? / o... zaraz, chyba o trzeciej / i wyszliście razem? / nie... znaczy tak... prawie razem, ja wyszedłem, jak on się żegnał z towarzyszem wiceministrem i... / i co? / nie, nic, wyszedłem... / i mówi pan, że nie ma pojęcia, co się mogło stać z obywatelem Rafaelem Morinem? / nie, panie sierżancie, nie mam..."

René Maciques na oko miał jakieś pięćdziesiąt lat, lekko łysiał i nosił okrągłe okulary, jak jakiś modelowy bibliotekarz, pomyślał Conde, wpatrując się w dyktafon. Nagranie Manola wyraźnie obnażało biurokratyczną retorykę tego człowieka i jego rygorystyczną etykę polegającą na konsekwentnej obronie przełożonego, tak długo jak nie zostanie udowodnione coś niewłaściwego, gdziekolwiek by był, zwłaszcza teraz, kiedy za cholere nie wiadomo, gdzie przebywa, pomyślał. Jednak rodzaj znajomości i kontaktów Rafaela, nagranie rozmowy z Maciquesem i konwersacja z Tamarą uzmysłowiły mu jedną ważną rzecz: Rafael Morin wciąż był nieskazitelny, jak zawsze, i należało się w żaden sposób do niego nie uprzedzać. Wspomnienia Condego były bliźniami po ranach, które uważał za dawno już zaleczone, ale ta sprawa to inna historia; w takich sprawach jest miejsce na okoliczności, dowody, tropy, podejrzenia, przeczucia, objawienia, pewność, dane statystyczne i porównywalne, ślady, dokumenty i wiele zbiegów okoliczności, ale nie na coś tak złudnego i błędnego jak uprzedzenia.

Wstał i podszedł do okna swojej klitki. Od ciągłego przyglądania się mu ten fragmentek pejzażu stał się jego ulubionym widokiem. Liście wawrzynu poruszały się teraz lekko, potrząsane bryzą wiejącą z północy, która ścigała plamę czarnych chmur

nadchodzących znad horyzontu. Z kościoła wyszły dwie zakonnice w swoich ciemnych, zimowych strojach i wsiadły do masywnego volkswagena ze swobodą niemal postmodernistyczną. Pusty brzuch Condego miotał się jak te liście, ale policjant wolał nie myśleć o jedzeniu. Myślał o Tamarze, o Rafaelu, o Chudym Carlosie, o Aymarze mieszkającej w Mediolanie i o Dulcicie, Bóg wie, gdzie ona teraz jest, o spektakularnej imprezie urodzinowej bliźniaczek, i myślał o sobie samym, w tym gabinecie tak zimnym zimą i tak gorącym latem, jak patrzy na wawrzyny i zajmuje się poszukiwaniem kogoś, kogo nigdy nie chciałby znaleźć. Po prostu doskonale.

Oparł opuszki palców o lodowatą szybę i zaczął się zastanawiać, co właściwie zrobił ze swoim życiem: za każdym razem, kiedy wracała do niego przeszłość, czuł, że jest nikim i nie ma niczego, trzydzieści cztery lata i dwa rozwalone małżeństwa, zostawił Maritzę dla Haydée, a Haydée zostawiła go dla Rodolfa, a on nie zdecydował się za nią pójść, choć wciąż był zakochany i potrafiłby jej niemal wszystko wybaczyć: bał się i wolał się upijać co noc przez tydzień, choć i tak nie zapomniiał tej kobiety ani koszmarnego faktu, że okazał się wielkim rogaczem, a jego policyjny instynkt wcale nie pomógł w odkryciu tej zbrodni, która trwała już wiele miesięcy, zanim wyszła na jaw. Często chryplł kompletnie na kilka dni, z powodu dwóch paczek wypalanych w ciągu każdej doby, i wiedział, że oprócz łysiny dorobi się jeszcze dziury w gardle i z chustką na szyi, jak jakiś kowboj w trakcie lunchu, będzie mówił za pomocą takiego aparaciku, i to głosem robota z nierdzewnej stali. I prawie nie miał czasu na czytanie, zapomniiał nawet o tych dniach, kiedy patrząc na zdjęcie Hemingwaya, największego idola, jakiego miał w życiu, przysięgał, że zostanie pisarzem i tylko pisarzem, a cała reszta to tylko doświadczenia. Życiowe doświadczenia. Zmarli, samobójcy, mordercy, przemytnicy, alfonsi, dziwki, gwałciciele i zgwałceni, złodzieje, sadyści i zbrońcy wszystkich gatunków i kategorii, płci, wieku, koloru skóry, pochodzenia społecznego i geograficznego. Bardzo wielu skurwieli. I ślady, autopsje, oględziny zwłok, wystrzelone kule, nożycki, noże, druty, wyrwane włosy i zęby, zmasakrowane twarze.

Jego doświadczenia życiowe. I poczucie szczęścia po każdej rozwiązanej sprawie, i straszna frustracja, obrzydzenie i świadomość nieskończonej niemocy po każdej sprawie zamkniętej bez rozwiązania. Dziesięć lat taplania się w kloace społeczeństwa nacechowało jego reakcje i punkt widzenia, nauczyło dostrzegać tylko najbardziej gorzką i najtrudniejszą stronę życia, a nawet nasyciło jego skórę wonią zgnilizny, od której już nigdy się nie uwolni i którą, co gorsza, czuł tylko wtedy, kiedy robiła się wyjątkowo agresywna, bo węch stepił mu się już na dobre. Wszystko jest doskonałe, tak doskonałe, jak celny kopniak w jaja.

Co zrobiłeś ze swoim życiem, Mario Conde? pytał sam siebie każdego dnia i jak każdego dnia chciałby cofnąć się wehikułem czasu i po kolei naprawić swoje potknięcia, błędy i szaleństwa, złość i nienawiść, zrzucić z siebie to pomyłone życie i odnaleźć dokładny punkt, od którego będzie można zacząć od nowa. Tylko czy to ma sens? pytał się dalej, teraz, kiedy do tego wszystkiego jeszcze łysieję, i udzielił sobie takiej samej odpowiedzi, jak zawsze: Na czym to stanąłem? A, że nie powinienem kierować się uprzedzeniami, no, tyle że ja przepadam za uprzedzeniami, stwierdził i zadzwonił do Manola.

Opowiadanie nazywało się *Niedziela* i była to prawdziwa, niemal autobiograficzna historia. Zaczynała się od niedzielnego poranka, kiedy to mama bohatera (czyli moja) budzi go: „Wstawaj, mały, jest wpół do ósmej”, a on zdaje sobie sprawę, że dziś rano nie będzie śniadania ani wylegiwania się w łóżku, ani baseballu, tylko trzeba będzie iść do kościoła, podczas gdy jego koledzy („Spalą się w piekle”, mawiała jego/moja mama) spędzają ten jedyny poranek bez lekcji na włóczeniu się po dzielnicy i graniu w baseball na ulicy za rogiem albo na terenie kamieniołomu. Wydawało mi się, że to opowiadanie jest bardzo antyklerykalne, czytałem Boccaccia, gdzie w prologu było wyjaśnione, co to znaczy, a ponieważ obowiązek chodzenia do kościoła zrobił ze mnie takiego właśnie antyklerykała, bo wolałbym zająć się sportem, to wpadłem na pomysł, żeby napisać taką opowieść, ale nie jawnie antyklerykalną,

tylko w sposób sugerowany, to znaczy zamaskowany, jak lodowiec, o którym pisze Hemingway. Ten właśnie tekst zabrałem ze sobą na warsztaty.

To zupełnie niesamowite wrażenie, jak się człowiek czuje pisarzem. Choć prawdę mówiąc, ten warsztat wyglądał jak jarmark dziwów. Było tam wszystko: od jedynych jawnych gejów w liceum, Miliana i czarnego Pancho, aż po Quijá, kapitana drużyny koszykarskiej, który komponował niesamowicie długie sonety; od Adity Vélez, tak delikatnej i tak ślicznej, że nie sposób wyobrazić jej sobie w trakcie tak wulgarnej czynności jak na przykład robienie kupy, aż po Mikiego Śliczną Bużkę, szkolnego piękniśa, który jeszcze nigdy w życiu nie napisał nawet jednej linijki i tak naprawdę chodziło mu o nowe panienki do wyrwania; od czarnoskórego Afóna, który prawie w ogóle nie pojawiał się na lekcjach, po profesorkę Olguitę, nauczycielkę literatury, która to wszystko prowadziła, a do tego ja i Kulawy, który był mózgiem i duszą warsztatów. Ludzie powtarzali: „Ten to faktycznie jest poetą”, bo opublikował kilka wierszy w „Brodatym Kajmanie” i nosił białe koszule ze sztywnym kołnierzykiem i długimi rękawami podkasanymi po łokcie, choć wcale nie dlatego że był jakimś tam lirykiem, tylko po prostu nie miał innych koszul nadających się do szkoły, toteż donaszał ubrania swojego ojca, co to pracował jako handlowiec w Wenezueli w roku pięćdziesiątym którymś, dokładnie wtedy, kiedy urodził się Kulawy, dlatego zresztą był naszym szkolnym Wenezuelczykiem, i to jemu właśnie przyszedł do głowy pomysł założenia pisma, naszego warsztatu literackiego, i to on stał się mimowolnym sprawcą rozpadu tego wszystkiego.

Spotykaliśmy się w piątki popołudniami w cieniu jadalniny rosnących na boisku szkolnym, profesorka Olguita przynosiła wielki termos z zimną herbatą, a noc zastawała nas w trakcie pastwienia się nad wierszami i opowiadaniem, byliśmy dla siebie superkrytyczni, szukając we wszystkim dziury, kontekstu historycznego, czy jest idealistyczny, czy realistyczny, jaki jest temat tekstu i jaką porusza kwestię i inne takie głupoty, których nas uczono na lekcjach, tak jakby nas chcieli zniechęcić do czytania, choć profesorka Olguita nigdy nam nie opowiadała takich rzeczy

i co tydzień czytała nam rozdział z *Gry w klasy*; widać było, że się jej bardzo podoba, bo niemal z płaczem powtarzała nam: To dopiero jest literatura, a sama tak bardzo się upodabniała do Magi, że o mało się nie zakochałem, chociaż chodziłem z Cuqui i podkochiwałem się w Tamarze, no a Olguita miała całą twarz pokrytą takimi malutkimi dołeczkami i była ode mnie starsza o jakieś dziesięć lat, i powiedziała też, że owszem, że wydawanie co miesiąc czasopisma z najlepszymi tekstami z warsztatów to rzeczywiście dobry pomysł.

O to była kolejna afera: najlepsze teksty. Bo wszyscy pisaliśmy fantastyczne kawałki i potrzebna nam była książka, żeby się to wszystko zmieściło, i wtedy Kulawy powiedział, że w numerze zero - zaskoczył mnie, przecież to był numer pierwszy, a zero to zero, i nie mogłem pozbyć się myśli o czasopiśmie z pustymi stronami, albo nawet, co bardziej pasuje, piśmie, którego w ogóle nie ma - musimy dokonać bardzo rygorystycznego wyboru, i zajęli się tym razem z Olguitą, ten jeden raz im zaufaliśmy. I wybrali *Niedziele*, i naprawdę byłem podniecony jak jasna cholera, że zostaję pisarzem, a Chudy i Josefina byli bardzo dumni, natomiast Królika zżerała zazdrość, w końcu miałem coś opublikować. W numerze zerowym miały się także pojawić dwa wiersze Kulawego (ma się te wpływy) oraz dziewczyny Kulawego (jak wyżej), opowiadanie Pancha, czarnoskórego geja, recenzja Adity z przedstawienia licealnej grupy teatralnej, opowiadanie Carmity i wstępniak profesorki Olguity przedstawiający zerowy numer „La Viboreña”, literackiego pisma warsztatów pisarskich imienia José Martíego, ze szkoły imienia René O. Reiné. Ale radocha.

Pisemko miało liczyć dziesięć stron, a Kulawy skombinował tysiąc kartek, wychodziło sto egzemplarzy, natomiast profesorka rozmawiała z dyrekcją, żeby pomogli to zszyć i kolportować, a ja co noc śniłem o „La Viboreña” i o tym, że jestem prawdziwym pisarzem. W końcu pismo było gotowe, całą noc spędziliśmy na segregowaniu i zszywaniu stron, a następnego dnia rano stanęliśmy przy wejściu do szkoły i rozdawaliśmy egzemplarze wchodzącym, Kulawy nie podkasał sobie rękawów i wyglądał jak kelner, a profesorka Olguita przyglądała się nam

ze schodów, była dumna i zadowolona, ostatni raz widziałem wtedy, jak się śmieje.

Następnego dnia zostaliśmy wezwani przez sekretarza, chodził od klasy do klasy, na zebranie o czternastej w gabinecie dyrekcji. Tacy z nas pisarze i tacy naiwniacy, żeśmy się spodziewali dyplomów, gratulacji i moralnych zachęt do dalszych prac nad tym nowoczesnym pismem, gdy tymczasem dyrektor nakazał nam usiąść, a byli tam już szefowa od języka hiszpańskiego, która nigdy nie przyszła na te nasze warsztaty, przewodnicząca Młodzieżówki i Rafael Morin, który dyszał, jakby miał jakąś astmę.

Dyrektor, który w następnym roku stracił funkcję po aferze z egzaminami, przemawiał stanowczo ponad miarę: Co ma oznaczać to hasło pisma „Komunizm będzie aspiryną wielkości słońca”, czyżby socjalizm miał być bólem głowy? Jaki był cel krytycznej recenzji towarzyski Ady Vélez wymierzonej w sztukę o więźniach politycznych w Chile, może próba storpedowania wysiłków kolegów z zespołu oraz przesłania dzieła? Dlaczego wszystkie wiersze w piśmie mówią o miłości, a nie ma nawet jednego poświęconego Rewolucji, życiu jakiegoś bohatera, ojczyźnie po prostu? Dlaczego opowiadanie towarzysza Condego porusza temat religijny, pomijając jednak stanowisko Partii wobec Kościoła oraz jego scholastycznego i zacofanego nauczania? A przede wszystkim, powiedział, a myśmy się czuli jak pijani, i stanął obok chudej Carmity, widać było, że biedaczka dygocze, a oni wszyscy kręcili głowami, popierając go, dlaczego opublikowano tu opowiadanie podpisane przez towarzyszkę Carmen Sendán poruszające temat dziewczyny, która popełnia samobójstwo z miłości (i powiedział „poruszające temat”, a nie jakoś zwyczajnie)? Czy taki obraz rzeczywistości mamy przekazywać dzisiejszej młodzieży na Kubie? Taką będziemy propagować postawę, zamiast podkreślać walory czystości, zaangażowania, ducha poświęcenia, które powinny inspirować nowe pokolenia...? i tak wszystko się kompletnie rozwaliło.

Profesorka Olguita wstała, czerwona jak burak, pozwolicie, że wejdę w słowo, towarzyszu dyrektorze, powiedziała i popatrzyła na szefową języka, która tego nie zdzierżyła i uciekła wzrokiem, zabierając się do czyszczenia paznokci, oraz na dyrektora, ale ten'



to owszem, wytrzymał jej spojrzenie, ale muszę coś powiedzieć -i powiedziała mu wiele różnych rzeczy, czy to jest w porządku, że ona dowiaduje się o sprawie w trakcie tego zebrania (o sprawie, tak powiedziała), że stanowczo się sprzeciwia takim metodom, które za bardzo przypominają praktyki inkwizycji, że nie pojmuję, jak można wykazać się takim brakiem zrozumienia dla wysiłków i inicjatywy uczniów, że tylko jacyś polityczni troglodyci mogą w ten sposób interpretować prace zamieszczone w piśmie, a ponieważ widzę, że nie ma tu szansy na dialog, tylko oskarżenia i stalinowskie praktyki narzucane przez pana, ewidentnie aprobowane przez obecną tu moją koleżankę, uprzejmie proszę o przyjęcie mojej rezygnacji, bo ja nie mogę pracować dłużej w takiej szkole, choć są tu tak wrażliwi, dobrzy i wartościowi uczniowie jak ci tu obecni - i wskazała na nas, i wyszła z gabinetu, i nigdy nie zapomnę, jaka wciąż była czerwona, i płakała, wyglądała, jakby jej zniknęły te dziurki na twarzy, bo stała się najpiękniejszą kobietą na świecie.

My siedzieliśmy tam jak skamieniali, aż w końcu Carmita się rozplakała, a Kulawy spojrział na osądzający nas trybunał, i nagle Rafael wstał, uśmiechnął się i w ogóle, stanął przed dyrektorem, towarzyszu dyrektorze, powiedział, po tym przykrym incydencie dobrze będzie, jak sądzę, porozmawiać z uczniami, bo to naprawdę znakomici towarzysze i sądzę, że rozumieją, o co tutaj chodzi. Przecież ty, Carmito, powiedział i położył dłoń na jej szczupłym ramieniu, z pewnością nie pomyślałaś o tym, jakie konsekwencje może mieć to idealistyczne opowiadanie, a przecież zawsze trzeba być ostrożnym, prawda? I sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pokażecie, że potraficie zrobić pismo na poziomie naszych czasów, w którym położy się akcent na czystość, zaangażowanie i ducha poświęcenia, które powinny inspirować nowe pokolenia *{sic!}*, prawda, Carmita? I biedna dziewczyna powiedziała, że tak, nie wiedząc, że to jest takie „tak” już na zawsze, że Rafael ma rację, ja w sumie zważyłem, czy jednak rzeczywiście nie ma, ale nie mogłem zapomnieć o profesorce Olguicie i o tym, co powiedzieli o moim opowiadaniu, i wtedy Kulawy wstał, za pozwoleniem, powiedział, jeśli macie państwo jakieś skargi na mnie, to proszę je skierować

do mojego komitetu osiedlowego, i też wyszedł, kosztowało go to rok zawieszenia w prawach ucznia i cholernie złą sławę, zawsze był konfliktowy i bezczelny, poza tym niezależny, ma się za niewiadomo kogo, bo wydał kilka wierszyków, powiedziała szefowa języka, widząc, że wychodzi, ja chciałem umrzeć tak bardzo jak nigdy później przez całe życie, bałem się, nie mogłem wydobyć z siebie głosu, ale nie rozumiałem swojej winy, przecież napisałem tylko to, co czuję i co mi się zdarzyło, kiedy byłem mały, że wolałem grać w baseball za rogiem, niż iść na mszę, i na szczęście zachowałem pięć egzemplarzy „La Viboreña”, która nigdy nie doczekała się numeru pierwszego, a miał on być bardzo demokratyczny, bo profesorka Olguita, taka dobra i taka ładna, uznała, że powinniśmy wybrać teksty naszego autorstwa przez głosowanie.

- Jadłeś już? - Manolo przytaknął, pogłaskał się delikatnie po brzuchu i Conde uznał, że to jednak kiepski pomysł dłużej nic nie jeść. - Dobra, potrzebowałbym teraz, żebyś poszedł do komputera i poprosił o wszystkie sprawy, ale wszystkie, otwarte w Hawanie w ciągu ostatnich pięciu dni, i...

- Ale wszystkie-wszystkie? - zapytał Manolo i usiadł przed Condem, żeby polemizować z rozkazem. Patrzył mu w twarz, źrenica jego lewego oka zaczęła przesuwac się w stronę nosa, aż niemal zupełnie zniknęła za przegrodą.

- Ty, co ty się tak na mnie patrzysz? Dajże mi skończyć. Dobrze? - powiedział porucznik i oparł brodę na dłoniach, przyglądając się z rezygnacją swojemu podwładnemu i kolejny raz zadając sobie pytanie, czy Manolo ma zeza.

- No dobra - przystał ów, przejmując część rezygnacji szefa. Przeniósł spojrzenie w stronę okna, a jego lewa źrenica powoli wróciła na normalną pozycję.

- Słuchaj, kolego, żeby zacząć tę sprawę, musimy dowiedzieć się, czy nie ma tu jakichś powiązań, sam nie wiem z czym. Dlatego chciałbym, żebyś wyciągnął z komputera dane i posługując się twoim błyskotliwym umysłem, dokonał selekcji tego, co może jakoś wiązać się z Rafaelem Morfnem. Może coś wyjdzie, nie?

- Tak, walenie na ślepo.
- Manolo, nie wkurzaj mnie, wiesz, jak jest. No, zobaczymy się za godzinę.
- Będę tu za godzinę. Za godzinę? Słuchaj, ty mnie tu maglujesz i dysponujesz, a nawet nie piśniesz, czy sam coś wywahałeś.
- Nic. Rozmawiałem z szefem bezpieczeństwa w Handlu Zagranicznym i wygląda na to, że Galicyjczyk jest czystszy niż Przenajświętsza Panienka. Trochę dziwkarz i skapiradło wobec dziewczyn, ale usłyszałem litanie, jaki to przyjaciel Kuby, że robi z nami dobre interesy, wszystko w normie.
- Pójdiesz z nim pogadać?
- Wiesz dobrze, że miałbym ochotę. Ale obawiam się, że Stary nie da nam samolotu do Cayo Largo. Facet tam siedzi od pierwszego stycznia, od rana. Wygląda na to, że pierwszego o poranku wszyscy się gdzieś wynieśli.
- Uważam, że po tym, co powiedział Maciques, powinniśmy z nim porozmawiać...
- Wraca dopiero w poniedziałek, więc trzeba będzie poczekać. No to za godzinę tutaj, współniku.

Manolo wstał i ziewnął z delikatnym jęknięciem, otwierając szeroko usta.

- Ale mi się chce spać po jedzeniu.
- Ty, czy ty sobie zdajesz sprawę, co mnie teraz czeka, co? - Conde na chwilę przerwał, żeby podejść do sierżanta. - Muszę, proszę cię, porozmawiać teraz ze Starym i powiedzieć mu, że nie mam, kurde, żadnego pomysłu... Może chcesz się zamienić?

Manolo z uśmiechem przystąpił do manewru odwrotu.

- Nie, gdzieżby, w końcu dlatego zarabiasz te pięćdziesiąt pesos więcej niż ja. Za godzinę, powiedziałaś, tak? - Przystał na układ i wyszedł z pomieszczenia, nie czekając na pożegnalne „aha” porucznika.

Conde patrzył, jak drzwi się zamykają, po czym ziewnął. Pomyślał, że o tej porze mógłby być w trakcie długiej sjesty, zwinięty w kłębek i dobrze przykryty, po spałaszowaniu obiadu sporządzonego przez Josefinę, albo mógłby właśnie wchodzić do kina, uwielbiał ciemność w środku dnia, i oglądać skromne filmy w rodzaju

*Kochanicy Francuza, Zwykłych ludzi czy Tacy byliśmy zakochani.* Nie ma sprawiedliwości, pomyślał, wziął teczkę i swój zmaltretowany notes. Gdyby wierzył w Boga, poleciłby się opiece boskiej, idąc do Starego z pustymi rękoma.

Wyszedł ze swojej klitki i ruszył korytarzem prowadzącym do schodów. W ostatnim gabinecie, najprzestronniejszym i najlepiej wentylowanym na całym piętrze, paliło się światło, toteż zdecydował się wkroczyć do środka. Zapukał w szybę, otworzył i zobaczył przygarbione plecy kapitana Jorrina, który patrzył przez okno na ulicę, opierając się łokciami o parapet. Stary wilk z centrali nieznacznie się odwrócił i powiedział, wchodź, Conde, wchodź, nie zmieniając pozycji.

- Pewnie sądzisz, że powinienem już przejść na emeryturę, co Conde? - zapytał kapitan, a porucznik zrozumiał, że trafił na zły moment. Ja tu nie jestem od porad, pomyślał.

Jorrin był najstarszym śledczym w centrali, kimś w rodzaju instytucji, do której Conde i wielu jego kolegów zwracało się jak do wyroczni w poszukiwaniu rady, prognozy i przewidywań o sprawdzonej skuteczności. Rozmowa z Jorrim stanowiła rytuał w każdym skomplikowanym śledztwie, ale Jorrin się starzał, a zadane właśnie pytanie było niepokojącym objawem.

- Co z tobą, mistrzu?

- Przekonuję sam siebie, że czas się wycofać, ale ciekaw jestem, co myśli taki ktoś jak ty.

Kapitan Jorrin odwrócił się, ale dalej tkwił przy oknie. Wyglądał na zmęczonego i smutnego, a może przygnębionego czymś, co go wciąż dręczy.

- Nie, nie było żadnego problemu z Rangelem, to nie to. Od paru dni jesteśmy wręcz przyjaciółmi. Problem jest, ale ze mną, poruczniku. Ta praca mnie zabija. To już prawie trzydzieści lat w boju i chyba już nie mogę, nie mogę już - powtórzył i spuścił głowę. - Wiesz, jaką mam teraz sprawę? Śmierć trzynastolatka, porucznika. Bardzo zdolny chłopak, wiesz? Przygotowywał się do latynoamerykańskiej olimpiady matematycznej. Wyobrazasz sobie? Zabili go wczoraj rano na rogu ulicy, żeby mu ukraść rower. Zatlukli go, kilka osób. Do szpitala trafił już martwy, złamali mu czaszkę, ręce,

kilka żeber i sam nie wiem co jeszcze. Jakby go pociąg przejechał, ale to nie był pociąg, to byli ludzie, którzy chcieli rower. Co to ma być, Conde? Jak to możliwe, że jest tyle przemocy? Powinniśmy się już byli przyzwyczaić, co? Otóż mnie się nie udało przyzwyczaić, poruczniku, nigdy, i coraz bardziej mnie to rusza, coraz mocniej boli. Przejebana jest ta nasza robota, co?

- To prawda - zgodził się Conde i wstał. Podeszedł i zatrzymał się za plecami kolegi. - A co człowiek ma, do cholery, poradzić, kapitanie? Takie rzeczy się zdarzają...

- Ale niektórzy ludzie sobie chodzą i nawet nie potrafią sobie tego wyobrazić, poruczniku - przerwał Condemu w połowie pocieszającego wywodu i znów spojrzał w okno. - Poszedłem dziś rano na pogrzeb tego chłopaka i zrozumiałem, że jestem na to za stary. Kurwa, ja nie wiem, zabić dzieciaka, żeby zabrać jego rower. Nie wiem, sam nie wiem.

- Mogę dać panu jedną radę, mistrzu?

Jorin milczał, co można było odczytać jako zgodę. Conde wiedział, że w dniu, w którym stary oficer odwiesi mundur, rozpocznie nieodwracalny proces konania, który doprowadzi go do śmierci, ale wiedział też, że stary ma absolutną rację, i wyobraził sobie siebie za dwadzieścia lat, szukającego zabójców dziecka, i pomyślał, że to za wiele.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz i sądzę, że to samo powiedziałby mi pan, gdybym znalazł się w takiej sytuacji. Proszę najpierw znaleźć tych, którzy zabili chłopaka, a potem pan pomyśli o emeryturze. - Podeszedł do drzwi, nacisnął klamkę i dodał: - Kto nam kazał iść do policji, przecież nikt, prawda? - I wyszedł na korytarz, w stronę windy, dręczony lękiem, którym zaraził go mistrz. Spojrzał na zegarek i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że było dopiero w pół do trzeciej, i poczuł, że ma za sobą strasznie długi poranek, składający się z leniwie płynących minut i miałych godzin, trudnych do przeżycia, i w głowie pojawił mu się obraz zegara Dalego. Wszedł do gabinetu szefa i zapytał Maruchi, czy może zobaczyć się ze Starym, kiedy nagle zabrzmiał dzwonek interkomu. Dziewczyna gestem kazała mu poczekać i nacisnęła czerwony przycisk. Głos jak z zardzewiałej rury, zacinając się

przez zakłócenia, zapytał, czy porucznik Mario Conde gdzieś się tam kręci, a jeśli nie, to gdzie, do diabła, przepadł, bo nigdzie go nie ma. Maruchi spojrzała na niego, nacisnęła drugi przycisk i powiedziała:

- Stoi tu przede mną. - I znów przełączyła.

- To mu powiedz, że do niego dzwonią, niejaka Tamara Valdemira, przełączyć?

- Powiedz mu, że tak, nie pogryzie mnie przecież - podpowiedział Conde i podszedł do szarego aparatu telefonicznego.

- Przełącz ją, Anita - poprosiła Maruchi i odłożyła słuchawkę, dodając: - Condego chyba sprawa interesuje.

Porucznik położył dłoń na słuchawce i telefon zadzwonił. Popatrzył na kierowniczkę biura Starego, aparat zahłasował po raz drugi, a on wciąż nie odbierał.

- Denerwuję się - przyznał dziewczynie, a potem wzruszył ramionami. - I co mam teraz zrobić? - zapytał, po czym odczekał do końca trzeciego sygnału. Wtedy odebrał: - Tak, słucham? - i Maruchi zaczęła mu się uważnie przyglądać.

- Mario? Mario? To ja, Tamara.

- No, cześć, coś się dzieje?

- Nie wiem, w sumie drobiazg, ale może cię zainteresuje.

- Już myślałem, że się Rafael zjawił... No, mów, mów.

- A bo kiedy robiłam porządek w bibliotece, znalazłam notes z telefonami Rafaela, leżał tam, obok telefonu, no i nie wiem, może to bez sensu...

- No ale co, Tamaro - dopytywał i kolejny raz rzucił okiem na Maruchi: wszystkie są takie same, westchnął znacząco.

- No więc ten notes leżał otwarty na literze Z.

- Chyba mi nie powiesz, że Rafael to Zorro i dlatego się nie zjawia, nie?

Ona zamilkła na chwilę.

- Nie możesz się opanować, co?

Uśmiechnął się i powiedział:

- Czasami nie... No i co z tym Z.

- Są tam tylko dwa imiona: Zaida i Zoila, przy każdym numer telefonu.

- A co to za jedne? - zapytał z niekłamanym zainteresowaniem.

- Zaida to sekretarka Rafaela. Druga - nie mam pojęcia.

- Jesteś zazdrosna?

- A jak sądzisz? Wydaje mi się, że jestem już trochę za stara na takie sceny.

- Nigdy nie jest na to za późno... Zostawiał tam zazwyczaj ten notes?

- Nie, dlatego dzwonię. Zawsze nosił go w teczce, a teczka jest na miejscu, obok biblioteczki.

- Dobra, to podaj mi te numery - poprosił i oczami dał znak Maruchi, żeby notowała. - Zaida: 327304, czyli gdzieś w El Vedado. I Zoila 223171, czyli Playa. Aha - skwitował, zerkając na zapiski Maruchi. - Czyli nie masz żadnego pomysłu, kim może być Zoila?

- Nie, kompletnie.

- Słuchaj, a co z listą?

- Jestem w trakcie. Dlatego właśnie przyszedłam do biblioteki... Wiesz co, Mario, coraz bardziej się martwię.

- Słuchaj, Tamaro, sprawdzę te numery i potem wpadnę do ciebie. Zgoda?

- Dobrze, Mario, będę czekać.

- W porządku, na razie.

Wziął kartkę, którą podała mu sekretarka, i przyglądał się jej przez chwilę. Zaida i Zoila - to brzmiało jak nazwa jakiegoś meksykańskiego duo śpiewającego melancholijne *rancheras*. Powinien był zapytać Tamarę o relacje Rafaela i Zaidy, ale nie zdobył się na to. Zapisał imiona i numery w swoim notesie i z uśmiechem poprosił Maruchi:

- Kochana, zadzwoń, proszę, do tych na dole i poproś ich o adresy odpowiadające tym numerom, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała dziewczyna, przytakując głową, nie mając zresztą innego wyjścia.

- Uwielbiam pomocne kobiety. Jak dostanę wypłatę, to się zrewanżuję... Mogę do szefa?

- Wchodź, czeka na ciebie, jak zwykle... - Nacisnęła czarny guzik w interkombie.

Zapukał delikatnie i otworzył drzwi gabinetu. Za swoim biurkiem major Antonio Rangel przeprowadzał ceremonię zapalania cygara. Przechylając delikatnie płomień gazowej zapalniczki, obracał cygaro, a każdemu ruchowi jego palców towarzyszyło błogie wypuszczenie niebieskawego dymu, który zawisał na wysokości jego oczu w formie zwartej i wonnego obłoczka. Palenie stanowiło kluczową część jego egzystencji i nikt, kto wiedział o jego fetyszystycznym przywiązaniu do dobrych cygar, nie ośmielał się przerwać mu owej procedury zapalania. Wszyscy przy każdej okazji starali mu się podarować markowe cygara: na urodziny i rocznice ślubu, Dzień Ojca i koniec roku, z okazji urodzin wnuka albo matury dziecka; i major Rangel dorobił się w ten sposób imponującej kolekcji tytoniu, wybierając marki w zależności od pory dnia, nastroju oraz rozmiaru, w zależności od tego, ile czasu mógł poświęcić na palenie. Dopiero kiedy zapalił już cygaro i z profesjonalnym zadowoleniem podziwiał idealną koronkę żaru na czubku, poprawił się na krześle i spojrzał na podwładnego.

- Chciałeś ze mną rozmawiać?
- No, nie mam innego wyboru, siadaj.

Kiedy człowiek tak się czuje, sztywno tak, i ma wrażenie, że nie może dużo myśleć, najlepiej zapalić sobie cygaro, ale nie po to żeby nakopcić i połykać ten dym, ale żeby palić naprawdę, bo tylko wtedy tytoń odsłania wszystkie swoje uroki. Ja na przykład, paląc tak sobie i robiąc przy okazji różne rzeczy, marnuję tego davidoffa 5000 gran corona, 14,2 centymetra, zasługującego, by go wypalić refleksyjnie albo po prostu spokojnie, wypalić i pogadać z godzinę, bo na tyle powinno starczyć cygaro. To, które zapaliłem rano, okazało się katastrofą: po pierwsze dlatego, że rano nigdy nie jest zbyt dobrym momentem na tytoń tej jakości, a po drugie, nie zająłem się nim tak jak należy, zmarnowałem go, i choć bardzo się potem starałem, już się nie udało go naprawić, więc miałem wrażenie, że palę jakiegoś amatorskiego skrećta, serio. Naprawdę nie rozumiem, jak możesz wypalać dwie paczki papierosów dziennie zamiast jednego porządnego cygara. To cię wybija z równowagi. I nie twierdzę,



że to musi być davidoff 5000 czy jakieś inne dobre: corona, romeo i Julia cedros nr 2, na przykład, albo montecristo numer 3, albo rey del mundo, którekolwiek, wystarczy porządne cygaro ciemnej barwy, które dobrze ciągnie i równo się spala: to jest życie, Mario, a w każdym razie to, co w nim najważniejsze. Kipling mawiał, że kobieta to po prostu kobieta, ale dobre cygaro to coś więcej. I ja ci powiem, że facet się nie mylił, bo choć może o kobietach nie wiem za wiele, na tym to się znam. To ucza zmysłów i rozkoszy, kolego - pozwala odpocząć oczom, pobudza węch, doskonali dotyk i zapewnia doskonały smak wzmożony poobiednią filiżanką kawy. I nawet ma w sobie coś muzycznego dla ucha. Posłuchaj, poruszam nim palcami i jęczy, jakby miał ruję. Słyszysz? To są uzupełniające się przyjemności: patrzeć na pięknie ułożony, dwucentymetrowy popiół albo usunąć banderolkę po wypaleniu jednej trzeciej. Czy to nie cudne? Nie patrz tak na mnie, mówię najzupełniej poważnie, bardziej niż ci się zdaje. Palenie to prawdziwa przyjemność, szczególnie jeśli umiesz. To, co ty robisz, to nałóg, rzecz wulgarna, dlatego stajesz się gwałtowny i porywczy. Zrozum jedno, Mario: to sprawa jak każda inna i rozwiążesz ją. Tylko nie pozwól, żeby przeszłość ci zaszkodziła, okej? Słuchaj, żebyś się z tego wykaraskał, zrobię wyjątek, dobra? ty wiesz, że nikomu nigdy nie daję cygar, a tobie jedno sprezentuję, davidoffa 5000. Teraz powiem Maruchi, żeby ci przyniosła kawy, i zapalisz je sobie tak, jak ci mówiłem, że trzeba, a potem mi opowiesz. Byłby z ciebie ostatni palant, gdyby to ci nie ulżyło. Maruchi!

„Sobota 30.12.1988

Kradzież z użyciem siły, Firma Handlowa w dzielnicy Guanabacoa. Jedna ciężko ranna ofiara. Sprawcy zatrzymani. Sprawa zamknięta.

Próba zabójstwa, dzielnica La Lisa. Zatrzymany sprawca: José Antonio Evora. Ofiara: żona sprawcy. Stan ciężki. Motyw: zazdrość. Sprawa zamknięta.

Napad rabunkowy, park de los Chivos, La Víbora, dzielnica 10 de Octubre. Poszkodowani: José María Fleites i Ohilda Rodríguez.

Sprawca: Arsenio Cicero Sancristóbal. Zatrzymany 1.1.89. Sprawa zamknięta.

Zabójstwo. Ofiara: Aureliana Martínez Martínez. Zamieszkała na ulicy 21, nr 1056, e/A i B, Vedado, dzielnica Plaza. Motyw: nieznanym. Sprawa w toku.

Zaginienie. Zaginiony: Wilfredo Cancio Isla. Sprawa otwarta: możliwy przemyt narkotyków. Zaginionego znaleziono w zamkniętym budynku. Oskarżony o naruszenie własności prywatnej. Zatrzymany w związku ze śledztwem w sprawie możliwych powiązań narkotykowych.

Kradzież z użyciem siły..."

Zamknął oczy i nacisnął sobie palcami powieki. Rozmowa z Jorri-  
nem poruszyła jego nadwrażliwą naturę, której nie zdołał zmienić  
mimo tych wszystkich lat w zawodzie i przez którą wyobrażał so-  
bie teraz wszystkie te sprawy. A lista bezsensownych przestępstw  
ciągnęła się przez trzy strony wydruku komputerowego i pomy-  
ślał, że z Hawany robi się naprawdę wielkie miasto. Delikatnie  
zaciągnął się dymem z cygara podarowanego mu przez Starego.  
W ostatnim czasie, pomyślał, ilość kradzieży i napadów stale  
rośnie, malwersacja własności państwowej wydaje się niemożliwa  
do powstrzymania, a handel dolarami i dziełami sztuki to coś  
znacznie poważniejszego niż przejściowa moda. Rzeczywiście  
dobry tytoń, ale to wszystko nie ma nic wspólnego z Rafaellem.  
Dziesiątki doniesień dziennie, sprawy otwierane i zamykane  
albo wciąż prowadzone, niepojęte powiązania między zwykłą  
nielegalną piwiarnią a bankiem zarządzającym podziemną lo-  
terią, bankiem a fałszywymi kartkami na benzynę, fałszerzami a  
transportem marihuany, narkotykami a wielkim magazynem  
sprzętu AGD, marki do wyboru, wszystko za dolary, brane nie  
wiadomo skąd, i mam nadzieję, że to cygare pomoże mi pozbierać  
myśli, bo muszę to przemyśleć, Stary wysłuchał historii o Rafaelu  
Morinie i Tamarze Valdemirze, kochałem się w tej kobiecie jak  
wariat, Stary, ale to było z dwadzieścia lat temu, tak? zapytał  
major i powiedział:

- Zapomnij o jakimkolwiek zastępstwie. Musisz wziąć tę sprawę, Mario, nie zadzwoniłem do ciebie dziś rano dla kaprysu. Wiesz, że nie lubię zawracać ludziom głowy głupotami i nie mam skłonności do wymyślania tragedii tam, gdzie ich nie ma. Ale ta sprawa z zaginionym brzydko mi pachnie. Nie zawieźdź mnie teraz. - I do dał: - Tylko uważaj, Mario, uważaj... Myśl, myśl, bo w tym jest jakiś haczyk i właśnie ty możesz go znaleźć, tak?

- O czym myślisz, Conde? - zapytał nagle sierżant Manuel Palacios, a Conde zobaczył świetliste punkciki latające mu przed oczami pod wpływem nacisku na powieki.

Wstał i podszedł do okna, w które wpatrywał się w trakcie swych medytacji i melancholii. Brakowało trzech godzin do zmroku i niebo się zasnulo, zapowiadając być może nawrót deszczu i zimna. Zawsze wolał pracować w chłodzie, ale ten przedwczesny zmrok deprymował go i odbierał resztki zapału do pracy. Nigdy dotąd nie chciał tak bardzo zamknąć sprawy, naciski z góry przekazywane przez Starego doprowadzały go do rozpacz, a obraz poślaków Tamary poruszających się pod żółtą spódnicą stał się udręką i ostrzeżeniem: uważaj. Wszyscy zdawali się wyczuwać jakieś niebezpieczeństwo. Najgorsze było jednak ogarniające go poczucie dezorientacji: był tak samo zagubiony jak Rafael, a nie lubił w ten sposób pracować. Major zaakceptował jego pierwsze działania i udzielił zgody na rozmowę z hiszpańskim handlowcem oraz prześwietlenie firmy - tak, w ten sposób możemy coś znaleźć, powiedział - miał pogadać z ludźmi, przejrzeć papiery z ekspertami od księgowości i finansów z centrali, tylko że musiał poczekać do poniedziałku, a major nie chciał, żeby sprawa wlekleła się tak długo. Jednak paląc to cygaro o jedwabistym smaku, nabrał przekonania, że zniknięcie Rafaela Morina nie ma w sobie nic przypadkowego i że trzeba rozważyć wszystkie logiczne możliwości, które mogą prowadzić od początku do końca tej historii: impreza i firma, firma i impreza wyglądały na dwie spotykające się ścieżki.

- Tamara zadzwoniła i wspomniała o czymś, co może stanowić jakiś trop - odezwał się w końcu do Manola i opowiedział mu

o notesie z telefonami. Sierżant odczytał imiona, numery i adresy obu kobiet, a potem zapytał porucznika:

- Naprawdę uważasz, że coś z tego może wyniknąć?

- Ciekaw jestem tej Zaidy, sekretarki, i trzeba się też dowiedzieć, kim jest Zoila. Słuchaj, wiesz, ile imion na „zet” masz w swoim kajecie?

Manolo wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Nie, nie wiedział.

- W słowniku „zet” ma tylko jakieś osiem, dziesięć stron i pewnie nie ma imienia na tę literę - wyjaśnił Mario, otwierając swój notes. - Ja mam tylko Zenaidę, pamiętasz ją?

- Ty, Conde, daruj to sobie, ta kobita to inna sprawa.

Porucznik zamknął notes i odłożył do szuflady biurka.

- Tak, zawsze są inną historią. Dobra, zbieramy się, przyjrzymy się tym zetkom, idź po auto.

Sobotnia noc nie okazała się specjalnie spektakularna. Zaczął już siąpić zimny deszczyk, który miał się utrzymać do świtu, chłód odczuwało się nawet w środku zamkniętego auta, więc Conde zamarzył o potężnym słońcu, które towarzyszyło dzisiejszej porannej pobudce. Przez deszcz ulice opustoszały, a szara nuda zapanowała nad miastem, które ożywa w ciepłe i kurczy się przy takim wstydlwym zimnie i odrobinie wilgoci. Łagodna tropikalna zima cofała się i wracała, nawet w ciągu jednego dnia, więc ciężko było określić, jaka właściwie jest pora roku: gówniana zima, mruknął, przyglądając się ulicy Paseo, ocienionej przez drzewa, omiatanej powiewami morskiej bryzy, która rzucała papierami i suchymi liśćmi. Nikt nie odważył się zasiać na ławkach ustawionych na pasie zieleni pośrodku alei, którą Conde uważał za najpiękniejszą w Hawanie i która stała się teraz wyłączną własnością jakiegoś uparciucha w kurtce przeciwdeszczowej praktykującego wieczorny jogging. Co za siła woli! W taki wieczór on to by się rozwalił na łóżku z książką i pewnie zasnął po trzeciej stronie. W taki wieczór też, wiedział o tym, chłód i deszcz wprawiały w irytację ludzi zmuszonych do siedzenia

w zamknięciu i najłagodniejsze żony robiły z mężowskiego szturchnięcia śmiertelnie poważne zajście, określając je mianem maltretowania kobiet i rewanżując się ciosem tasakiem w czoło, między jednym befsztykiem a drugim, i to bez poczucia winy. Na szczęście tego wieczora wznawiano po przerwie noworocznej rozgrywki baseballowe, ale pomyślał, że deszcz może przeszkodzić w rozegraniu meczu. Jego drużyna, Industriales, źródło obaw i niepokojów, miała grać dziś na Stadionie Latinoamerykańskim przeciwko Vegueros o wejście do finału mistrzostw, bo klub Habana już miał zagwarantowaną pozycję. Chętnie poszedłby na stadion, potrzebował takiej terapii grupowej, która tak bardzo przypominała wolność, bo można tam było mówić, co się chciało, nawet wyzywać matkę sędziego i tytułować menedżera własnej drużyny palantem, i wyjść stamtąd przygnębionym porażką albo w euforii po zwycięstwie, ale odprężonym, ochryplym i pełnym życia. Ostatnio Conde zmienił się we wcielenie sceptycyzmu: starał się nawet nie oglądać meczów, bo chłopaki z Industriales grały coraz gorzej, a do tego szczęście ich opuściło, i oprócz Vargasa i Javiera Méndeza reszta wyglądała jak wzięta z drugiej ligi, jakby mieli za miękkie nogi, żeby zacząć grać porządnie i wygrać rozgrywki. Kiedy przejechali przez Malecón, zapomniał już o Zaidzie i Zoili, deszcz zlał się w jedno ze słońcą mżawką od morza, a Manolo kłął jak szewc, bo będzie musiał umyć auto przed odstawieniem do garażu.

- Dawno już nie byłeś na stadionie, Manolo?

- Jaki stadion, co ty chrzanisz, Mario? O co ci chodzi? Patrz, jak wygląda ten samochód, kretyn ze mnie, trzeba było pojechać przez Línea - narzekał, kiedy skręcili z G w Piątą. Zatrzymali się przed wieżowcem mieszkalnym i wysiedli z auta.

- Stadion by cię wyleczył z tych narowów.

Zaida Lima Ramos mieszkała na szóstym piętrze, lokal 6D, jak wyczytał porucznik Mario Conde ze swoich zapisków, przyglądając się przy okazji z klatki schodowej, jak Manolo moknie na deszczu, próbując zdemontować antenę radiową, i uśmiechnął się na wspomnienie słów kolegi:

- Prewencja, poruczniku. W poprzednim miesiącu buchnęli mi antenę przed domem - odpowiedział Manolo i ruszyli w stronę windy, gdzie powitała ich kartka z napisem „zepsute”.

- Dobry początek, co? - stwierdził Conde i skierował się do schodów ledwie oświetlonych przez rachityczne żarówki wiszące na niektórych tylko piętrach. Wchodził, dysząc ciężko przez otwarte usta, i czuł, że tętno przyśpiesza z braku powietrza, a mięśnie nóg drętwieją od wysiłku. Przez chwilę pomyślał, że ten biegacz na ulicy Paseo miał jednak rację, zaś na piątym piętrze oparł się o poręcz, popatrzył na Manola, a potem na dwa odcinki schodów pozostałe do szóstego piętra i gestem ręki poprosił: czekaj, czekaj, musiał złapać oddech, nikt nie będzie traktował poważnie policjanta, który zapuka do drzwi z językiem na wierzchu, zażawionymi oczami i będzie błagał o szklanek wody, na litość boską. Chciał usiąść i machinalnie wyjął paczkę papierosów z kurtki, ale ostatecznie zachował się rozsądnie. Wsunął sobie papierosa między zaschnięte wargi, nie zapalając, i zaatakował ostatni odcinek niekończących się schodów.

W pograżonym w mroku przeciwległym końcu korytarza od szukali numer 6D. Zanim zapukali, Conde postanowi! zapalić.

- Co robimy? - zapytał Manolo, żeby ustalić plan działania.

- Interesuje mnie ten człowiek w kontekście pracy, tego się będziemy trzymać. Bardzo łagodnie, jakby mimochodem, tak? Ale jeśli trzeba będzie, to ty się zrobisz wnikliwy i kapkę nieufny.

- Nagrywamy?

Zastanowił się chwilę, nacisnął dzwonek i powiedział:

- Jeszcze nie.

Kobieta zdziwiła się na ich widok. Wyraźnie na kogoś czekała, a dwaj nieznajomi w deszczowy i zimny sobotni wieczór nie pasowali do jej planów. Dobry wieczór, powiedzieli policjanci, przedstawili się, a ona odpowiedziała, że tak, głos jej trochę drżał, jest Zaidą Limą Ramos. Zaprosiła ich do środka, jeszcze bardziej zmieszana, próbując poprawić sobie uczesanie, może właśnie wstała, miała zaspną twarz, a oni wyjaśnili powód wizyty: zaginął jej szef, towarzysz Rafael Morin.

- Słyszałam już. - Usiadła w fotelu. Trzymała nogi zaciśnięte i starała się możliwie daleko naciągnąć sukienkę, sięgającą ledwie do kolan.

Conde zauważył, że uda ma porośnięte włoskami, lekko wirującymi ku górze, i starał się powstrzymać wir we własnej głowie. Miała jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, wielkie czarne oczy i mięsiste wargi, jak na dobrze zbudowaną Mulatkę przystało, do tego stopnia, że nawet rozczochna i bez makijażu wydała się Condemu zdecydowanie urodziwa. Salon był niewielki, ale zadbane i wszystko w nim błyszczało. Na meblościance ustawionej naprzeciwko balkonowi Conde zauważył kolorowy telewizor Sony, magnetofon Beta, wieżę stereo i typowe pamiątki z różnych stron świata: mozaikę z Toledo, meksykańską figurkę, miniaturowe repliki Big Bena i wieży w Pizie, a Zaida wyjaśniała, że Maciques zadzwonił do niej pierwszego dnia wieczorem, szukali Rafaela, nie miała pojęcia, gdzie może się podziewać, dzwoniła potem do niego kilka razy, nawet jeszcze dziś rano, martwiła się, nie ma żadnych nowych wieści o Rafaelu.

- Ładne mieszkanie - skomentował porucznik, rozglądając się za popielniczką.

- No, powoli zbiera się różne rzeczy - powiedziała z uśmiechem. Wyglądała na zdenerwowaną. - I stara się człowiek urządzić sobie przytulne gniazdko. Problem w tym, że mój syn i jego koledzy ciągle mi wszystko demolują.

- Masz syna?

- Tak, dwunastoletniego.

- Dwunasto- czy dwu-? - Conde nie krył zaskoczenia.

- Dwunasto-, dwunasto- - powtórzyła. - Właśnie wyszedł z kolegami. Proszę sobie wyobrazić, taki ziąb, a tym się zachciało lodów w Coppelii.

- Mawiają Chińczycy, to znaczy nie wiem, czy wszyscy, ale przynajmniej jeden, którego znam, ojciec naszej koleżanki z pracy, że lody powinno się jeść, jak jest zimno. - Uśmiechnęła się, podczas gdy Manolo, zgodnie z wytycznymi, siedział cicho. Gdyby zawsze tak potrafił.

- Podać panom kawy? - zapytała Zaida, było jej zimno, a może się bała, i nie mogła się zdecydować, czy objąć się rękoma, czy walczyć z przykrótką sukienką.

- Nie, dziękujemy. Nie chcemy zabierać ci dużo czasu, spodziewasz się odwiedzin, prawda? Chcieliśmy tylko, żebyś nam trochę opowiedziała o swoim szefie, co o nim wiesz, teraz wszystko może nam pomóc go znaleźć.

Sama nie wiem, to się wydaje takie nieprawdopodobne, takie niemożliwe, że Rafael zaginął, oby nic się nie stało, ale czuję jakiś taki lęk... Nie chcę nawet myśleć. No bo przecież się nie ukrywa, nie? Bo po co, dlaczego miałby się ukrywać? Prawda? To nie ma sensu, wszystko takie dziwne. Trzy dni nad tym rozmyślałam i nie rozumiem. Panowie pozwolą, że zamknę okno balkonowe, zimno się zrobiło, a to mieszkanie jest jak lodówka, morze jest tak blisko, trochę mnie głowa boli, pewnie od snu... Tak, wydaje mi się, że znam dobrze Rafaela, proszę sobie wyobrazić, że pracuję z nim od dziewięciu lat, tak, to prawda, zaczęłam w centralnych magazynach ministerstwa, zatrudnił mnie jako maszynistkę i bardzo mi pomógł, nie miałam żadnego doświadczenia, a było to wtedy, kiedy ojciec małego uciekł do Stanów, dowiedziałam się o wszystkim, jak już tam się znalazł, to było wariactwo, nic mi nie powiedział, fru i wylądował w Miami, uciekł tam z jakimś krewnym, wszystko przygotował potajemnie, nie zwierzył mi się ani się z dzieckiem nie pożegnał, no nic, to było okropne, nie będę panom głowy zawracać, a ponieważ miałam jakieś pojęcie o pisaniu na maszynie, miałam maturę, ale też małe dziecko na głowie i tak dalej, i jeszcze kłopoty rodzinne, wiadomo, mama wciąż była na mnie zła za ciążę przed ślubem, i taki pan, co tu obok mieszka, powiedział mi, że u niego w pracy, w magazynach, brakuje maszynistek i że to nie jest trudne, że jakieś tam formularze, pisma i takie tam. Ojej, ciągle gubię wątek. No, w każdym razie podjęłam tę pracę, a ponieważ stosunki z mamą się poprawiły, zapisałam się na wieczorowy kurs sekretarski, a Rafael bardzo mi pomagał, dawał mi wszystkie soboty wolne, żebym mogła się zająć moimi sprawami i spędzała czas z dzieckiem, no bo tak z pracą i szkołą przez cały boży dzień, dwa lata zeszyły, i jak skończyłam wieczórówkę, to dostałam stanowisko sekretarki, które było wolne i on je dla mnie trzymał, no bo w sumie już od jakiegoś



czasu zajmowałam się tymi sprawami. Rafael. Proszę sobie wyobrazić, zawsze uważałam go za prawdziwego przyjaciela, nie wiem, do czego by się to mogło panom przydać, ale to naprawdę dobry przyjaciel, naprawdę, a jako przełożony też jest bardzo dobry, ludzki, odpowiedzialny, troszczy się o wszystkich, wtedy taki był i teraz też jest w firmie, no bo rzecz była taka, że mnie poprosił, żebym z nim przeszła do firmy, bo to bardziej skomplikowane i potrzebował zaufanych ludzi, bo to straszna odpowiedzialność, tu wszystko prawie w dolarach jest i podpisy z góry, wiecie, panowie... Wielka odpowiedzialność, ale on wszystko miał obcykane, jak to się mówi, zawsze, naprawdę, i wiecie, panowie, z tego, co pamiętam, nigdy nie miał problemów z żadnym pracownikiem, możecie, panowie, zapytać Garcję, to gość ze związku, przekonacie się, panowie. Nie, nie potrafie zrozumieć, co się mogło stać, wszystko było jak zawsze, mieliśmy ostatnio mnóstwo pracy z planowaniem następnego roku, a ponieważ kończyliśmy bardzo późno, kazał szoferowi mnie odwozić, a nawet sam mnie czasem podrzucił, nie chce mi się wierzyć, że Rafael gdzieś przepadł, po prostu nie wierzę... pewnie coś mu się stało, prawda? Ale proszę posłuchać, żebyście, panowie, wiedzieli, kiedy Alfredito miał sześć lat, Alfredito, mój syn, zachorował, wysoka gorączka, ja już myślałam, że mi umrze, i wtedy Rafael zachował się wobec mnie lepiej, niż jakby był ojcem dziecka, tu mięso, tam samochód do szpitala, pensja bez żadnych odliczeń, zresztą mniejsza z tym, ważne jest to, jak się zachował, i to nie tylko w stosunku do mnie. Zawsze tak się zachowywał wobec innych, proszę popytać, zapytajcie, panowie, Garcję, tego ze związku. Biedak. .. Telefon? Że dzwonił pierwszego stycznia? Nie, nie, ostatni raz widziałam go trzydziestego, bo w sylwestra nie szliśmy do pracy, odprowadził mnie do domu i wstąpił na kawę, i powiedział, że jest przemęczony, wyczerpany powiedział, bo chwilę rozmawialiśmy, i podarował mi... taki drobiazg, sympatyczny gest na koniec roku, wiecie, panowie, tak długo razem pracujemy razem, obok siebie, to ktoś więcej niż szef, od ciągłego kontaktu ludzie się zbliżają, prawda? I co, panowie, o tym wszystkim myślicie?

- Nie, nie mów mi, co myślisz, jeszcze nie - poprosił Manola, kiedy wyszli na ulicę. Wciąż siąpił drobny i monotony deszczyk, a nad miastem zapanowała noc. - Jedźmy na skrzyżowanie Siedemdziesiątej i Siedemnastej, przekonamy się, czym zaskoczy nas Zoila.

- Nie chcesz się nastawiać? - zapytał Manolo, przykręcając z powrotem antenę.

- Ty, odpuść sobie, co? Zostaw, zaraz znowu będziemy wysiadać.

Manolo dalej przykręcał, jakby w ogóle nie usłyszał, i podczas gdy Conde wsiadał do samochodu, zakończył operację montowania anteny. Wiedział, że porucznik zaczyna się robić nerwowy, a w takim wypadku lepiej go ignorować. Nie chcesz wiedzieć, co o tym myślę? No to ci nie powiem i kropka. Ale myślę o bardzo wielu rzeczach, powiedział głośno, zapalił silnik i ruszył Línea w stronę tunelu, podczas gdy Conde gryzmolił coś w swoim pogniecionym notesie. Znów się bawi! długopisem i nie prosząc o pozwolenie, wyłączył radio. Mimo to sierżant Manuel Palacios musiał przyznać, że wolał pracować z tym na wpół neurotycznym porucznikiem i przekonał się do tego, jeszcze kiedy był świeżo upieczonym podoficerem i przydzielono go do grupy prowadzącej śledztwo w sprawie kradzieży obrazów z Muzeum Narodowego, i jeden z ekspertów powiedział mu: Patrz, ten, co tam idzie, to Conde. Jest szefem grupy. Nie przestrasz się tego, co będzie mówił, bo jest trochę stuknięty, ale to porządny facet, a poza tym chyba najlepszy, o czym miał się Manolo nieraz przekonać.

- A ja mogę wiedzieć, co się tobie wydaje? - Sierżant wpatrywał się w szosę.

- Też nie.

- Jakiś kryzys, współniku?

- Uhm, na progu ataku nerwowego. Słuchaj, ja znam Rafaela Morína i zaczynam czuć, w którą stronę to zmierza, ale sporo wątków nie umiem powiązać i nie chcę się nastawiać.

Samochód jechał Dziewiętnastą i Manolo postanowił zapalić pierwszego tego dnia papierosa. Tego to mu zazdrosczę, pomyślał Conde, żeby tak sobie palić tylko wtedy, jak się ma ochotę.

- Jeśli zaczynasz nawijać o nastawianiu się, to znaczy, że naprawdę masz kryzys - stwierdził Manolo i skreślił w Siedemdziesiątą, szukając Siedemnastej.

- O tam, tam - powiedział Conde na widok domu z numerem 568. - Zatrzymaj się tutaj, a jeśli jeszcze raz będziesz odkręcać antenę, to cię wpiszę do raportu, jasne?

- Zrozumiano. Ale przynajmniej zamknij porządnie szybę, dobrze? - odpowiedział Manolo, dokręcając jednocześnie swoją do samego końca.

Wejście do domu było oświetlone, ale drzwi i frontowe okno pozostawały zamknięte. Conde zapukał dwa, trzy razy i odczekał chwilę. Manolo poprawiał swoją kurtkę przeciwdeszczową, szamocząc się z suwakiem. Porucznik ponownie zapukał i rzucił okiem na kolegę wciąż nieradzącego sobie z zamkiem.

- Te suwaki są beznadziejne, mówię ci. Ale możesz sobie odpuszczać, bo tu nikogo nie ma - stwierdził i ponownie zastukał mocno w drzwi.

Uderzenia niosły się echem, jakby dom był pusty.

- Chodźmy do komitetu - zaproponował porucznik.

Ruszyli chodnikiem w poszukiwaniu tabliczki z napisem „CDR”\*, która w końcu pojawiła się na rogu, niemal schowana za dżunglą krotonów i palm betelowych rosnących w ogródku.

- Na tym polega problem z chłodem. Jestem coraz bardziej głodny, Conde - żalił się Manolo, błagając przełożonego, żeby się streszczał.

- A ty myślisz, że co ja mam w żołądku? Przez to, co wypilem wczoraj, dzisiejszy post i cygaro, które dostałem od Starego, mam w brzuchu zdechłą żabę. Już mi się w głowie kręci.

Zapukał w szybę w drzwiach i natychmiast dało się słyszeć szczekanie, od którego Manolo aż podskoczył.

\* CDR, czyli Comité de Defensa de la Revolución (Komitet Obrony Rewolucji) - formalnie pozarządowa organizacja kubańska zrzeszająca ochotników, której celem jest obrona ideałów rewolucji kubańskiej. Nieformalnie służy głównie do inwigilacji obywateli. Jej przedstawicielstwa mieszczą się niemal przy każdej ulicy, (przyp. tłum.).

- O nie, nigdy w życiu, ja wracam do auta - zaklinał się, powołując się na swoje imponujące statystyki pogryzień w trakcie wykonywania obowiązków służbowych.

- Wyluzuj, chłopie, stój spokojnie. - I drzwi się otwały.

Czarno-biały pies wybiegł na próg, obojętny na wołanie właściciela. Lewek, tak na niego wołano (też pomyśl, żeby nazywać Lwem takiego kundla nieokreślonej maści - zakręcony ogon, koślawe nóżki) obecność Maria Conde zupełnie zlekceważył, natomiast oddał się z zapalem obwąchiwaniu nogawek i butów Manola, jakby kiedyś do niego należały.

- Nic nie robi - uspokajał właściciel z dumą pana ułożonego psa. - Ale dobrze pilnuje. Dobry wieczór panom.

Conde się przedstawił i zapytał o przewodniczącego komitetu.

- Ja nim jestem, towarzyszu. Wejdziecie, panowie?

- Nie, nie, proszę się nie kłopotać, chcieliśmy tylko zapytać, czy widział pan Zoile Amarán, szukamy jej, bo potrzebujemy zeznań...

- Jest jakiś problem?

- Nie, nie, chodzi o potwierdzenie pewnych faktów.

- No, towarzyszu, marnie to wygląda. Żeby zatrzymać naszą Zoile, trzeba by jej pętlę zarzucić, ta to na tyłku chwili nie usiedzi - skomentował przewodniczący. - Lewek, chodź tu, zostaw w spokoju towarzysza, bo cię aresztuje - dodał z uśmiechem.

- Mieszka sama?

- I tak, i nie. Mieszka z nią też brat i jego żona, ale oni są lekarzami i przenieśli ich teraz do Pinar del Río, więc przyjeżdżają raz na dwa, trzy miesiące. Dlatego teraz jest sama i słyszałem, choć sam nie wiem, rozumie pan, jak to jest, nawet niechcący się człowiek dowiaduje, chyba nawet tutaj stałem, po chleb wyszedłem, i ona komuś mówiła, że wyjeżdża, nie wiem gdzie, i nie będzie jej jakieś trzy dni.

- Trzy dni? - zapytał Conde i prawie się uśmiechnął, widząc minę Manola, kiedy Lewek przestał się wreszcie interesować jego butami oraz spodniami i ruszył w stronę ogrodu.

- Tak, na jakieś trzy dni. Ale wie pan, będę szczerzy, bo tak to już jest. Od małego, bo ja widziałem ją, jak tu dorastała, Zoila

była żywa jak dynamit i nawet jej matka, świętej pamięci nieboszczka Zoila, nie potrafiła jej okiełznać. Myślałem wręcz, że jakiś babochłop z niej wyrośnie, ale nie. No nic, ale naprawdę nie zrobiła niczego złego? Bo może i jest szurnięta, jednak to dobra dziewczyna, zupełnie szczerze mówię.

Conde wysłuchał komentarzy mężczyzny i sięgnął do kieszeni marynarki po papierosa. Jego umysł starał się ocenić informację, że Zoili nie było w domu dokładnie od trzech dni, lecz nagle poczuł znużenie tym wszystkim, Zaidą i Maciquesem broniącymi Rafaela, Zoila i Galicyjczykiem Dapeną, który też wyparował pierwszego stycznia, Tamarą i Rafaelem. Mimo to zapewnił przewodniczącego:

- Nie, proszę się nie martwić, wszystko jest dobrze. Chcielibyśmy jeszcze tylko zapytać o dwie rzeczy: ile Zoila ma lat i gdzie pracuje?

Przewodniczący oparł się ręką o framugę, popatrzył na Lewka robiącego spokojnie sporą kupę w ogrodzie i uśmiechnął się:

- Dokładnie wieku to nie powiem. Musiałbym sprawdzić w rejestrze...

- Nie, chodzi o to, ile mniej więcej - ocknął się Manolo.

- Jakies dwadzieścia trzy lata. Jak się człowiek starzeje, to się wydaje, że wszystko jedno, czy ktoś ma dwudziestkę, czy trzydziestkę, nie? No, a druga rzecz, o jaką pan pyta: ona pracuje tu na miejscu, w domu, robi jakieś tam rzeczy, rękodzieło, z nasion, muszelek i takie tam, a ponieważ nieźle zarabia, to pracuje tylko, jak musi, ale wiecie, panowie, jak to jest, na koniec roku trzeba się rozejrzeć za towarem, bo teraz ciężko cokolwiek zdobyć, nie?

- No nic, towarzyszu, wielkie dzięki - odezwał się Conde, zatrzymując zalew słów, który mógł ich pochłoniąć. - Mamy tylko prośbę o małą przysługę. Kiedy ona wróci, proszę do nas przedzwonić na ten numer i zostawić wiadomość dla porucznika Condego albo sierżanta Palaciososa. W porządku?

- Oczywiście, towarzysze, z przyjemnością, zawsze do usług. Ale panie poruczniku, może panowie jednak zajdą do mnie, usiądziecie, a ja podam kawusię, właśnie zaparzyłem, co? Wydawało mi się, że jak dwóch policjantów zachodzi do CDR, to zawsze tak powinno być, nie?

- Też tak sędzę, ale proszę się nie martwić. Zdarzają się nawet policjanci, którzy boją się psów. - Conde uściśnął dłoń przewodniczącego.

- Jaki sympatyczny, nie? - odezwał się Manolo, kiedy zbliżali się do samochodu. Kurtkę miał rozpiętą mimo chłodnego wiatru. - Strasznie dziś dowcipny jesteś. Jakby to było grzechem, że się za psami nie przepada.

- Pewnie dlatego właśnie cię gryzą. Cały się spociłeś, chłopie.

- Tak, wiem, że to tak działa, adrenalina, węch i takie tam pierdoły, ale prawda jest taka, że zawsze się na mnie rzucają.

Wsiedli do auta i Manolo westchnął ciężko, kładąc obie dłonie na kierownicy.

- Dobrze, wiemy zatem mniej więcej, kim jest ta Zoila. Trochę się to komplikuje, nie?

- Komplikuje, ale do przodu nie idzie. Słuchaj, zrobimy tak. Pojadę po listę gości z imprezy u wiceministra, a ty w tym czasie załatwisz dwóch ludzi, którzy przyjrzą się Zaidzie i Zoili. Przede wszystkim Zoili. Chcę wiedzieć, gdzie jest i co w tym wszystkim robi.

- A może byśmy się zamienili, co? Ja pojadę po listę, dobra?

- Słuchaj, Manolo, takie gierki to nie ze mną, tak? Opuść już sobie - powiedział i wyrzwał na ulicę. Fascynowały go te białe kreski połykane przez auto i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przestało padać. Do bólu wygłodzonego i zmaltretowanego żołądka dołączyło ciśnienie w pęcherzu. - Masz jeszcze jakieś pomysły?

Manolo prowadził ze spojrzeniem utkwionym w szosie.

- Mówię do ciebie, Manolo - upomniał go Conde.

- Myślałem sobie o tym, że sporo tu zbiegów okoliczności, ale ten z Zoila to już chyba przesada, nie uważasz? I sędzę, że powinieneś pogadać z Maciquesem. Ten facet wie znacznie więcej.

- Zobaczymy się z nim w poniedziałek w firmie.

- Ja bym to zrobił wcześniej.

- Jutro, jeśli się wyrobimy, okej?

- W porządku.

- Puściłbyś jakąś muzykę, strasznie mi się łać chce.

- Możesz się nawet złać, ale nie puszczyć.
- O co chodzi, jeszcze ci cykor nie przeszedł po spotkaniu z tym kundlem?
- Nie, to z twojej winy nie posłuchamy muzyki. Przed domem Zoili ukradli nam antenę.

Jego ulubioną piosenką zawsze była *Strawberry Fields Forever*. Odkrył ją nieoczekiwanie pewnego dnia w 1967 albo 1968 roku w domu swojego kuzyna Juana Antonia; było przeraźliwie gorąco, ale Juan Antonio i jego trzech koledzy, podrośnięci już byli, pewnie gdzieś tam ósma klasa, wpakowali się do pokoju kuzyna, pamiętał to dobrze, jakby się mieli modlić do proroka: siedzieli na podłodze dookoła antycznego, zżeranego nawet przez termity adaptera RCA Victor, który obracał matową płytę bez żadnych napisów. „Przecież to kopia, człowieku, dlatego nie ma żadnych naklejek”, wyjaśnił mu Juan Antonio, zgryźliwie jak zwykle, więc on też usiadł na podłodze, bo nikt tam nie miał ochoty na pogawędkę, nawet o dziewczynach. Wtedy Tomy chwycił ramię gramofonu, delikatnie opuścił na płytę i zabrzmiała piosenka; niczego nie zrozumiał, Beatlesi nie śpiewali tak dobrze jak na prawdziwych płytach, ale starsi koledzy mamrotali słowa, jakby je znali, a on zorientował się tylko, że *field* to ogród, a *center-field* to ogród centralny, do takiego doszedł wniosku, ale to już później. W tej chwili czuł, że uczestniczy w niepowtarzalnym magicznym akcie, a kiedy piosenka się skończyła, poprosił, no, Tomy, puść jeszcze raz. I znowu ją śpiewał, nie wiedząc dlaczego: nie chciał przyznać, że ta melodia wyciąga jego tęsknotę za przeszłością, kiedy wszystko było proste i doskonałe, i choć w końcu dowiedział się, o czym jest tekst, wołał powtarzać go bezmyślnie i wyobrażać sobie, że spaceruje po tym truskawkowym polu, nigdy niewidzianym, ale doskonale znanym jego umysłowi, tylko on i ta muzyka. *Strawberry Fields Forever* pojawiała się zawsze tak, bez uprzedzenia, i odsuwała wszystkie inne rzeczy na bok. Śpiewał sobie, wracał do dowolnego kawałka i od razu czuł się

lepiej, nie widział już ciemnego ani zasnutego nieba, ani twarzy Rafaela Morina, przemawiającego w liceum z podestu, nie chciało mu się palić i nie słuchał opowieści Manola o jego najświeższym miłosnym podboju, kiedy tak jechali w stronę domu Tamary, *Strawberry Fields, forever, ta, ta, ta...*

- Tutaj jest ten notes.

Czas to oszustwo; w bibliotece nic się nie zmieniło: kompletna kolekcja encyklopedii Espasa-Calpe, tej najmądrzejszej, z grzbieciami w ciemnogrnatowym odcieniu i złożonymi literami, które błyszczą mimo upływu lat; dyplom doktora prawa należący do ojca Tamary wisi dumnie na tym honorowym miejscu co zawsze, spychając na bok nawet szkic autorstwa Víctora Manuela, który zawsze tak się podobał Condemu. Ciemny tom opowiadań o księdzu Brownie, w skórzanych okładkach, które pieściły opuszki palców, uderza w melancholijną strunę, stary doktor Valdemira polecił mu tę książkę już tyle lat temu, kiedy porucznikowi do głowy by jeszcze nie przyszło, że zostanie kolegą po fachu owego księżulka wymyślonego przez Chestertona. A mahoniowe biurko jest nieśmiertelne, szerokie jak pustynia i piękne jak kobieta. Porządne biurko do pisania. Tylko skórzane obicie obrotowego fotela wydaje się nieco sfatygowane, ma ponad trzydzieści lat, a jest to prawdziwa skóra bizona, było to miejsce należne osobie, która dozorowała powtórkę materiału w noc przed egzaminem, przywilej dla najlepiej przygotowanego. W dniu, w którym Mario Conde pierwszy raz wszedł do tego pokoju, poczuł się mały i bezbronny, i strasznie niedokształcony, i jego pamięć wciąż potrafiła przywrócić to przejmujące uczucie małości intelektualnej, z której nie zdołał się wyleczyć.

- Wiele razy śniłem o tym miejscu. Ale nawet w snach nie pamiętałem, że twój ojciec miał telefon, był tu wcześniej?

- Nie, nigdy nie miał. Tato nienawidził wręcz do granic obsesji dwóch rzeczy, jedną z nich był telefon. Drugą telewizja, co dowodzi, że był to bardzo wrażliwy człowiek - wspomina ona i opada na jeden z foteli stojący przed biurkiem.



- A jak się łączą te dwie fobie z kominkiem z czerwonej cegły w hawańskiej bibliotece? - pyta on, pochylając się nad wnąką kominka i bawiąc się pogrzebaczem.

- Miał swoje gusta i już. Ładny, co?

- Owszem, ładny, co nie zmienia faktu, że bez sensu... Jak długo na Kubie nie zacznie padać śnieg, nie wiem, do czego to się może przydać.

Ona uśmiecha się smutno.

- To była fasada sejfu. Dowiedziałam się dopiero, jak miałam dwadzieścia lat. Tato to była osobowość. Bardzo dobra osobowość.

On odkłada pogrzebacz i siada w drugim fotelu, obok Tamary. Bibliotekę oświetla tylko mała lampka w stylu *art nouveau* na nóżce z brązu, z drobnymi, intensywnie fioletowymi kiściami winogron, a na nią pada bursztynowe światło nadające jej twarzy ton ciepła i witalności. Ma na sobie sportowy kombinezon, równie granatowy jak grzbiety encyklopedii, i jej ciało kształtnej baletnicy wydaje się cieszyć z tego stroju, który je pieści i formuje.

- To Rafael zamontował tu aparat, jakieś siedem czy osiem lat temu. Nie potrafi żyć bez telefonu.

Conde przyswaja tę wiadomość i czuje na ramionach ciężar zbyt długiego dnia, w ciągu którego w kółko słuchał o Rafaelu Morinie. Tyle osób opowiadało mu o nim, że zaczyna się zastanawiać, czy naprawdę go zna, czy to jakieś cyrkowe dziwadło o tysiącu twarzy, wykazujących rodzinne podobieństwo, ale zdecydowanie odmiennych. Chciałby porozmawiać o czymś innym, choćby o tym, że przez całą drogę podśpiewywał *Strawberry Fields Forever*, ma ochotę na tego typu wyznania, albo powiedzieć, że wygląda coraz lepiej, coraz apetyczniej, ale w końcu dochodzi do wniosku, że wydałoby jej się to banalne i pospolite.

- Nie dotarła do mnie wiadomość o śmierci twojego ojca. Przyszłoby na pogrzeb - mówi w końcu, czując wręcz namacalną obecność starego dyplomaty w pomieszczeniu.

- Nie przejmuj się. - Ona kręci głową i to wystarcza, by kosmyk jej włosów ponownie zrobił się niespokojny i wrócił na czoło. - Było straszne zamieszanie, niewiarygodne. Ciężko było przyjąć do wiadomości, że tata umarł, wiesz?

On przytakuje i znów ogarnia go ochota na papierosa. Tematy pogrzebowe zawsze pobudzają go do palenia. Zauważa na biurku glinianą popielniczkę i cieszy się, że to nie kryształ Murano, Moser czy Sargadelos, ręcznie malowane, z kolekcji doktora Valdemiry. Tymczasem ona wstaje i podchodzi do małego baru usytuowanego z boku regałów z książkami.

- Napiję się z tobą. Myślę, że obojgu nam się przyda - powtarza klasyczny slogan i z niemal kwadratowej butelki nalewa płyn do dwóch wysokich szklanek. - Nie wiem jak ty, ale ja lubię czystą, bez lodu. Dobrej szkockiej lód podcina skrzydła.

- Ballantine's, nie?

- Ze specjalnej rezerwy Rafaela. - Podaje mu szklankę. - Na zdrowie.

- Zdrowia i dużo pieniędzy, bo urody nie brakuje - odpowiada, próbuje whisky i ciepły żar ogarnia jego język, gardło, pusty żołądek, i zaczyna czuć się lepiej.

- Kim jest Zoila, Mario?

Conde rozpina kurtkę i pociąga drugi łyk.

- Miewał przygody z kobietami?

- Nie jestem pewna, ale, prawdę mówiąc, coraz mniej interesowało mnie śledzenie Rafaela i nie mam pojęcia, co właściwie robił ze swoim życiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że Rafael prawie nie był w domu, ciągle na jakichś zebraniach i wyjazdach, więc dlatego właśnie przestałam się przejmować kontrolowaniem jego życia, ale teraz chcę wiedzieć. Kim jest Zoila?

- Tego jeszcze nie wiemy. Od kilku dni nie ma jej w domu. Badamy sprawę.

- Naprawdę sądzisz, że Rafael... - Jej zdziwienie jest szczere.

On nie do końca rozumie i czuje się niezręcznie. Ona patrzy na niego, oczekując odpowiedzi.

- Nie wiem, Tamaro, dlatego zapytałam cię o kobiety. To ty powinnaś móc mi to wyjaśnić.

Ona pije, po czym próbuje się uśmiechnąć, ale bez skutku.

- Nie wiem, co mam o tym myśleć. To wszystko wydaje mi się jakimś kiepskim żartem i czasami mam wrażenie, że nie, że to tylko

zły sen, że Rafael jest na jakiejś delegacji i to się nie dzieje, i nie zdarzy, i że nagle po prostu wejdzie przez te drzwi. - Pokazuje jej ruchem głowy, a on nie może się oprzeć i spogląda na nie. - Potrzebuję stabilności, Mario, nie umiem żyć bez oparcia, rozumiesz? Ona mówi, a on ją rozumie, łatwo wyobrazić sobie jej stabilizację, myśli i patrzy, jak ona upija kolejny łyk, jak przepelnia ją nowa fala alkoholowego ciepła, rozpina zamek bluzy do naprawdę niebezpiecznego poziomu: on chce patrzeć, próbuje skupić się na drinku, ale nie może i patrzy dalej, czując, że ma erekcję. Co jest grane? zastanawia się, przecież ludzie nie mdleją na ulicy na sam widok Tamary, a on traci dech, nie może przegnać z umysłu pragnień, które wzbudza w nim ta kobieta, i krzyżuje nogi, żeby pohamować swoje żądze, uciekając się do brutalnego zastosowania uniwersalnego prawa ciężenia. Padnij, mały.

- Nie sądzę, żeby Rafael był do tego zdolny, naprawdę. Czy zdarzyło mu się przespać z inną kobietą? Wiesz, jak mam być szczerą, to nie żebym o czymś takim wiedziała, ale jestem przekonana, że tak, wy uwielbiacie takie rzeczy, nie? Ale nie wierzę, że odważyłby się ukrywać gdzieś z jakąś kobietą, wydaje mi się, że za dobrze go znam, żeby coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy.

- Ja też w to nie wierzę. Nie wierzę. - Podkreśla z przekonaniem, nie zostawiłby wszystkiego ot, tak sobie, a Zoila nie jest żadną księżną Windsoru. Co do innych rzeczy - nie wiem, ale tego jestem pewien, myśli.

- Ustaliłeś coś jeszcze?

- Że Galicyjczyk Dapena oszalał, jak cię zobaczył.

Jej oczy otwierają się szeroko, jak ona to robi, zastanawia się on, a ona podnosi głos, zezłoszczona, poirytowana, prawie zapominając o elegancji:

- Kto ci o tym powiedział?

- Maciques.

- Papla... A mówi się, że to kobiety plotkują.

- Jak to wyglądało z tym Galicyjczykiem, Tamaro?

- To było nieporozumienie, do niczego nie doszło. Czyli tyle udało ci się dowiedzieć. - Znów pociąga łyk.

On opiera brodę na dłoni i ponownie wciąga jej zapach. Zaczyna czuć się tak dobrze, że ogarnia go strach.

- Tak, niewiele. Mam wrażenie, żeśmy się przez cały dzień kręcili w kółko. Ta praca jest znacznie bardziej upierdliwa, niż możesz to sobie wyobrazić.

- Tak, wyobrażam sobie, zwłaszcza od kiedy mam status podejrzaney.

- Ja tego nie powiedziałem, Tamaro, wiesz przecież. Technicznie ujmując, jesteś podejrzana jako osoba najbliższa, ostatnia, która go widziała, i z powodu Bóg wie jakich motywów, które miałaś albo mogłaś mieć, żeby się pozbyć Rafaela. Mówiłem ci, że to śledztwo i że może być trochę nieprzyjemne.

Ona dopija do końca i odstawia szklanekę obok lampki.

- Mario, nie uważasz, że opowiadanie mi takich rzeczy jest bez sensu?

- A dlaczego zawsze mówiłaś do mnie „Mario”, a nie „Conde” jak wszyscy w klasie?

- A ty dlaczego zmieniasz temat? Naprawdę przeszkadza mi to, że możesz tak o mnie myśleć.

- No ale jak mam ci to powiedzieć? Czy ty sobie myślisz, że to przyjemnie zajmować się takimi rzeczami dzień w dzień? Że praca z mordercami, złodziejami, oszustami i gwałcicielami to czysta rozrywka, więc człowiek jest zawsze ufny wobec innych i super-uprzejmy?

Udaje się jej ułożyć usta w lekki uśmiech, podczas gdy dłonią stara się poprawić sobie niepokorny i zakręcony kosmyk, który próbuje zawładnąć jej czołem.

- Conde, tak? Powiedz mi, po co poszedłeś do policji? Żeby narzekać i użalać się przez cały boży dzień?

On się uśmiecha, nie umie się powstrzymać, to pytanie, które najczęściej słyszy przez te wszystkie lata w dochodzeniówce, a tego dnia to już drugi raz, i uznaje, że ona zasługuje na odpowiedź.

- To bardzo proste. Jestem policjantem z dwóch powodów: jednego nie znam, ma to jakiś związek z przeznaczeniem, które mnie pchnęło w to wszystko.

- A ten, który znasz? - Ona nie odpuszcza, on wyczuwa zainteresowanie kobiety i żałuje, że będzie musiał ją rozczarować.

- Drugi jest bardzo prosty, Tamaro, może nawet cię rozśmieszy, ale taka jest prawda: bo nie lubię, jak jakieś skurwysyny robią sobie bezkarnie, co chcą.

- Istny kodeks etyczny - odpowiada ona, asymilując wszystkie możliwe aspekty odpowiedzi, i chwytając ponownie szklanekę. - Czyli jesteś rozżalonym policjantem, co nie znaczy żalonym... Jeszcze po jednym?

On bada dno swojej szklanki i się waha. Lubi bezpośredni smak szkockiej whisky i zawsze jest gotów bić się na śmierć i życie o butelkę Ballantine's, i czuje się tak dobrze, blisko niej, w pełnym mądrości półcieniu biblioteki, i ona wygląda tak pięknie. I mówi:

- Nie, dziękuję, nawet jeszcze nie zjadłem śniadania.

- Chcesz coś przekąsić?

- Chcę i potrzebuję, ale dzięki, jestem umówiony - prawie się skarży. - Czeka ją na mnie u Chudego.

- Nerozłączni jak zawsze. - Posyła mu uśmiech.

- Słuchaj, nie zapytałem o twój syna. - Wstaje z fotela.

- Wiesz, w tym zamieszaniu... W południe poprosiłam Mimą, żeby go zabrała do ciotki Teruki, mieszka w Santa Fé, przynajmniej do poniedziałku albo dopóki coś się nie okaże. To mogłoby go rozstroić... Mario, co stało się Rafaelowi? - Ona też wstaje i krzyżuje ręce na piersi, jakby nagle ciepło whisky od niej uciekło i zrobiło się jej zimno.

- Chciałbym to wiedzieć, Tamaro. Ale zacznij się oswajać z jedną myślą: cokolwiek by to było, na pewno nic dobrego. Dasz mi tę listę gości z sylwestra?

Ona stoi bez ruchu, jakby nie usłyszała, potem sięga ręką.

- Proszę - odpowiada i wyciąga kartkę papieru spod jakiegoś czasopisma. - Wpisałam wszystkich, których pamiętam, chyba nikogo nie brakuje.

On bierze kartkę i podchodzi do lampy. Czyta powoli imiona, nazwiska i miejsca pracy zaproszonych.

- Nie było tam nikogo w moim stylu, co? - pyta i spogląda na nią. - Żadnego żalonego policjanta?

Ona znów krzyżuje ręce na piersi, wpatrując się w kominek, jakby prosząc o niemożliwe przecież ciepło.

- Dziś rano zdałam sobie sprawę, że bardzo się zmieniłeś, Mario. Skąd w tobie tyle goryczy? Dlaczego mówisz o sobie, jakbyś się nad sobą uzał, jakbyśmy wszyscy byli potworami, jakbyś był najbiedniejszy i najszlachetniejszy?

On przyjmuje cios i przeczuwa, że się wobec niej pomylił, że to wciąż bardzo inteligentna kobieta. Czuje się słaby i bezbronny, ma ochotę sięść, wypić jeszcze jedną whisky i gadać, gadać i gadać. Ale boi się.

- Nie wiem, Tamaro. Kiedy indziej o tym porozmawiamy.

- Mam wrażenie, że próbujesz uciec.

- Policjant nigdy nie ucieka, po prostu odchodzi, zabierając ze sobą swój świetny humor.

- Na ciebie nie ma rady.

- Nadziei dla mnie też nie ma.

- Słuchaj, daj znać, jeśli cokolwiek się okaże, proszę - mówi ona, kiedy idą korytarzem, wciąż ma ręce skrzyżowane na piersiach, a Mario Conde, mrugając porozumiewawczo do obrazu Flory, kolorowej i obfitej na spokojnym rysunku, oprawionej i powieszanej na najlepszej ścianie salonu, zastanawia się, co Tamara Valdemira robi sama w takim pustym domu. Ogląda się w lustrach?

Chudy Carlos w środku grupy. Rozkłada ręce, głowę przechyla lekko w prawo, wygląda, jakby go ukrzyżowano, choć wtedy jeszcze się nie domyślał, że przyjdzie mu dźwigać krzyż. Zawsze potrafił znaleźć się w centrum, być centrum, a może to my wypychaliśmy go po troszku, robiąc z niego w końcu środek ciężkości naszej paczki, z czym on i my tak dobrze się czuliśmy. Strzelał dowcipami w tempie jeden na minutę, potrafił obrócić w żart byle głupstwo, które w innych ustach okazałoby się przyciężkawym bzdetem wzbudzającym co najwyżej wymuszone uśmiechy. Miał długie włosy, nie wiem, jak mu się to udało, przy tej całej kontroli w drzwiach szkoły, wciąż był bardzo chudy, choć byliśmy już w trzynastej klasie i tego dnia robiliśmy

wstępne zapisy na uniwersytet. Jako pierwszą opcję podał inżynierię lądową, marzył o zbudowaniu lotniska, dwóch mostów i przede wszystkim o opracowaniu projektu fabryki prezerwatyw, z produkcją uwzględniającą różne rozmiary, kolory, smaki i kształty, tak żeby zaspokoić potrzeby całych Karaibów, miejsca na ziemi, gdzie najwięcej i najlepiej się bżyka, to była jego obsesja: bzykanie; a jako drugą opcję podał mechanikę. Dulcita, zawsze między Chudym i Królikiem, wtedy akurat była dziewczyną Chudego, i gdyby Chudy nie był ukrzyżowany, na pewno dotykałby jej pośladków, a ona by się śmiała, bo też uwielbiała tę ich pornografię. Jej spódnica, z trzema białymi paskami nad krawędzią, jest najkrótsza w klasie, dobrze powyżej kolana, jak żadna inna dziewczyna potrafiła podwinąć spódniczkę przy pasku, kiedy tylko postawiła stopę poza szkołą; i warto było: miała krągłe kolana, długie i jędrne uda, nogi, które mogłyby stanowić definicję określenia „zgrabne”, jakby je ręcznie wytoczono, no i pośladki - jak mawiał Chudy w jednym z tych swoich poetyckich przypiływów - mocniejsze niż głód o piątej nad ranem, a jednak była syntetyczna, bo tak dla równowagi, jak mawiał, nie miała ani ociupinki biustu. Dulcita uśmiecha się, szczęśliwa, bo jest pewna, że dostanie się na architekturę i będzie pracować razem z Chudym przy jego budowach, ona będzie robić projekty, a jako drugi kierunek wybrała geologię, ma jazdę na punkcie penetrowania jaskiń, zwłaszcza z Chudym, i oddawania się łączącej ich obsesji: bzykaniu. Dulcita była wtedy idealna: kumpela, że w ogień pójdzie, niesamowita laska, inteligentna i w ogóle, nigdy żadnych problemów, raz podpowiadała ci na egzaminie, a potem pomagała ci wyrwać jakąś inną pannę, taka była, prawdziwa kumpela, jak facet, serio, i nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego wyjechała do Stanów, kiedy mi o tym powiedziano, nie wierzyłem, przecież była taka jak my, co się z nią teraz dzieje... Królik nic nie poradzi na to, że mu zęby wystają, Bóg jeden wie, czy się śmiał, z tymi zębiskami nigdy nie było wiadomo, też był chudziutki i zapisał się po pierwsze na historię, a po drugie na nauczanie historii, i chodził wtedy absolutnie przekonany, że gdyby Anglicy nie wycofali się z Hawany w 1763, Elvis Presley

mógłby się urodzić w Pinar del Río, czy też raczej River Pine City, i takie tam rzeczy opowiadał, łąził w terenowych trepach, to było jego szkolne obuwie, szwendał się też w tych butach po nocach, na sobotnich imprezach i w ogóle. On to naprawdę był chudy, bo nie miał innej możliwości, u niego w domu była taka bieda, że się kable jadało, serio, takie, co przynosił Goyo z pracy, był elektrykiem-złotą rączką, jak mówił: spaghetti z kabla, kabel z ziemniaczkami, krokiety nadziewane kablem. Tamara jest poważna, choć tak w sumie lepiej: jest jeszcze... ładniejsza? jasno-kasztanowy kosmyk na czole, nieokiełznany, wiecznie się wymykający, zawsze zasłaniał jej prawe oko i przydawał wyglądu, sam nie wiem, Honoraty de Van Gult, a tuż obok niej Dulcita i zawsze się mówiło, że Dulcita jest ładniejsza, ale Tamara to co innego, nie to że po prostu ładna, fajna, smakowita, że dawaj, rozporek w dół i samemu Mahometowi stanie: nie, to taka jakby ochota, żeby ją zjeść po kawałeczku, z ubraniem i wszystkim, powiedziałem to kiedyś Chudemu, choćbym miał potem przez tydzień srać ubraniami. I miało się też ochotę posadzić ją na trawniku, dobrze podlanym, jakoś pod wieczór, być z nią sam na sam i po prostu położyć głowę na błogosławieństwie jej ud, zapalić papierosa, słuchać śpiewu ptaszków i być szczęśliwym. Ona wybrała stomatologię jako pierwszy kierunek, a medycynę jako drugi, i aż szkoda, że taka poważna, ta przyszła dentystka miała zęby, które nigdy nie potrzebowały leczenia, za to Królik będzie jej pierwszym klientem, jak cię dorwę na fotelu, to zrobię doktorat o tym, jak się uporać z tymi twoimi łopatami, mówiła mu. Ja miałem taką wystraszoną minę: jestem całkiem po prawej, oczywiście obok Tamary, tak jak zawsze, kiedy tylko mogłem; i oczywiście te spodnie ucięte na wysokości kolana, żeby stara mogła przesyć nogawkę, kolano, które jest szersze, dawało się na dół, a spód, który był węższy, przyszywało się na wysokości kolana i tylko w ten sposób dało się zrobić spodnie mające coś wspólnego z dzwonami, które wtedy wszyscy chcieli nosić. I tenisówki, bez skarpetek, obie łątane na wysokości małego paluszka, który mam wykrzywiony i zawsze dziurawi mi tenisówki w tym samym miejscu: też się uśmiecham, ale to uśmiech na siłę, tak



półgębkiem, twarz mam zabiedzoną, że strach, miałem podbite oczy i martwiłem się, że mogą mnie nie przyjąć na filologię, w tym roku prawie nie ma kierunków filologicznych, miałem niezłe stopnie, ale nigdy niczego nie wiadomo, a chciałem się załapać, i powiedziałem, że jako drugą opcję wybieram psychologię, nie stomatologię, to była wina Tamary, bo ja nie znoszę widoku krwi i tych spraw, może to lepiej niż historia Królika, sam nie wiem, psychologia? ma coś w sobie ten kierunek, tylko że ja nigdy nie wiedziałem, nigdy, w co się wpakować, więc to logiczne, że nie mam za bardzo ochoty śmiać się na tym ostatnim zdjęciu, które zrobiliśmy sobie na schodach liceum, tuż przed końcowymi egzaminami, wszyscy je zdaliśmy, bo w ostatniej klasie już nie oblewają, no chyba że będzie jakaś nowa afera i zrobią nam egzamin specjalny, taki, żeby pognać, tak jak to było z poprzednim rocznikiem, na przykład z Dulcitą, która jest superinteligentna, ale powtarza klasę właśnie przez to, no nic, mieliśmy wszyscy zdać, to było pewne. Z tyłu zdjęcia jest napis „czerwiec 1975”, byliśmy jeszcze bardzo biedni - prawie wszyscy - i bardzo szczęśliwi. Chudy jest chudy, Tamara jest więcej niż piękna, Dulcita taka jak wszyscy, Królik marzy o tym, że zmieni historię, a ja będę pisarzem, jak Hemingway. Papier pożółkł z czasem, kiedyś trochę zamókł i ma jeden róg naddarty, i gdy patrzę na to zdjęcie, ogarnia mnie poczucie winy, bo Chudy nie jest już chudy, a za aparatem zawsze stoi, niewidzialny, ale obecny, Rafael Morin.

Nacisnął dzwonek cztery razy pod rząd, zapukał kilkakrotnie, zawołał: Nie ma nikogo w tym mieszkaniu? i zaczął podskakiwać w miejscu, bliskość toalety sprawiła, że bardzo zachciało mu się sikać, nie mógł wytrzymać, więc znów zapukał do drzwi.

- Jestem głodny, ale tak naprawdę, i zaraz się zleję - powiedział Conde zamiast powitania, potem pocałował Josefinę w czoło, a następnie, już niemal biegnąc, pochylił głowę, żeby ona mogła ucałować jego. Był to zwyczaj jeszcze z czasów, kiedy Chudy Carlos był bardzo chudy i Conde spędzał w tym domu całe dnie,

grali w ping-ponga, z dość dyskusyjnymi efektami próbowali nauczyć się tańczyć i o świcie przed egzaminami wkuwali fizykę. Ale Chudy Carlos nie był już chudy i tylko Conde tak go wciąż jeszcze nazywał. Chudy Carlos ważył teraz ponad dwieście funtów i poruszał się powoli na wózku. W 1981, w Angoli, został postrzelony w plecy, mniej więcej w pasie, kula rozwalila mu rdzeń kręgowy. Żadna z pięciu operacji, które mu od tego czasu zrobiono, nie poprawiła stanu zdrowia i codziennie Chudy budził się z koszmarnym bólem, jakimś nowym zamartłym nerwem albo kolejnym na zawsze unieruchomionym mięśniem.

- Chłopie, ale masz minę, Boże jedyny - oznajmiła Josefina, podając mu filiżankę kawy, kiedy wyszedł z łazienki.

- Jestem wykończony, Josefino, a żołądek przykleił mi się do kręgosłupa. - Oddał jej filiżankę, opróżniwszy ją jednym haustem.

Zapałił papierosa i wszedł do pokoju przyjaciela. Chudy siedział na swoim wózku przed telewizorem i wyglądał na zmarzwionego.

- Mówią, że przygotowują murawę i może będzie mecz. Ty, no nie, na litość boską - zaprotestował, widząc, że Conde wyciąga flaszkę rumu.

- Musimy pogadać, bracie, i muszę sobie zapodać dwie kolejki rumu. Jeśli nie chcesz...

- Kurde, to ty mnie wyślesz na tamten świat - stwierdził Chudy i obrócił wózek. - Do mojego nie dodawaj lodu, santa cruz jest doskonały.

Conde wyszedł z pokoju i wrócił zaopatrzonej w dwie szklanki i korkociąg.

- No i co tam?

- Właśnie wracam od Tamary, Chudy, i przysięgam ci, wygląda lepiej niż kiedykolwiek, bestia jedna. Ona się nie starzeje, tylko robi coraz doskonalsza.

- Niektóre kobiety tak mają. Wciąż chciałbyś się z nią ożenić?

- Spadaj. Ten rum rzeczywiście jest super.

- Kolego, nie rozpędzaj się, bo dziś ci dziwnie z oczu patrzy.

- Niewyspanie i głód, a do tego jeszcze łysieję - wyjaśnił i pokazał mu zakola na czole, po czym znów się napił. - No nic, faceta

dalej ani śladu, nie wiadomo, gdzie przepadł ani dlaczego, ani czy żyje, czy nie...

Chudy wciąż był niespokojny. Rzucił okiem na telewizor, leciały teledyski, a oni czekali na początek meczu. Ze znanych Condemu osób Chudy był tym, który najbardziej - nie licząc jego samego - przejmował się baseball, od czasów, kiedy był chudy i grał jako środkowy w szkolnej drużynie. Conde widział go płaczącego tylko dwa razy i za każdym razem powodem był baseball, a płakał tak, jak się płacze w bolerach, morze łez i smarki, żadne pocieszenie nie jest możliwe.

- Patrz, jak to się w życiu kręci - powiedział w końcu Chudy Carlos i znów przyjrzał się koledze. - Żebyś ty szukał Rafaela Morina.

- Wcale tak bardzo się nie kręci, Chudy, nie myśl sobie. On się nic a nic nie zmienił, zawsze taki sam dupek oportunist, który nie wiem, ile świństw narobił, żeby dojść tam, gdzie doszedł.

- Wiesz co, to wcale nie tak - odparował Chudy, zapalając papierosa. - Rafael dobrze wiedział, czego chciał, i po prostu dążył do tego, miał wszelkie zadatki, nie przez przypadek zdobył najlepszą średnią w szkole i na inżynierii przemysłowej. Kiedy wróciłem do cywila, już się o nim mówiło jak o jakimś cyrkowym dziwowisku. Przecież to szaleństwo, prawie pięć zero od pierwszego roku.

- Będziesz go teraz bronił? - zapytał Conde, udając zdumienie.

- Słuchaj, ja tam nie wiem, co się dzieje, ty też, choć policjant, nie wiesz, ja podejrzewam, że jemu wcale nie zależało na szachrajstwach z egzaminami, kiedy wybuchła ta afera w szkołę.

Conde przejechał dłonią po włosach i nie udało mu się pohamować uśmiešku.

- Daj spokój z tą aferą, Chudy. Myślałem, że nikt o tym nie pamięta.

- No, prawdę mówiąc, przypadkiem mi się przypomniała. - Chudy dołał sobie rumu do szklanki. - Przez ciebie się tak rozgadałem. A wiesz, po południu wpadł tu Miki. Chciał się ze mną zobaczyć, bo jedzie do Niemiec, i pytał, czy mi czegoś nie trzeba, a przy okazji pożyczył ode mnie dziesięć pesos. Wspomniałem mu o aferze z Rafaelem i prosił, żebyś go koniecznie odwiedził.

- A co, wie coś?
- Nie, dowiedział się ode mnie i wtedy powiedział, żebyś się z nim zobaczył. Wiesz, że Miki zawsze bywał tajemniczy.
- A Rafael wyszedł obronną ręką z tej chryi z egzaminami?
- Łyknij sobie jeszcze, to ci się umysł przejaśni. Tak, on problemów nie miał, bo kiedy dyrektor zaczął szaleć, on był już na uniwerku, a tym, który o mały włos za wszystko nie zapłacił, był Armandito Fonseca, przewodniczący Federacji Uczniów Szkół Średnich w tamtym roku.
- No tak, pamiętam, gównem przeleciało mu przed nosem, ale go nie obryzgało. Jak zwykle, co?
- Chudy pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: Ty to jesteś beznadziejny przypadek, ale ostatecznie stwierdził:
- Dobra, Conde, nie wiesz, czy on był w to wplątany, czy nie, a prawda jest taka, że nie został oskarżony o poprawianie ocen czy podmienianie egzaminów ani nic innego. Ciebie po prostu zawsze wkurzało, że on posuwał Tamarę, podczas gdy ty walileś konia, myśląc o niej.
- A tobie to niby od czego rosły włosy na rękach, od prac polowych?
- I wkurzało cię też strasznie, wiem, bo mi kiedyś powiedziałeś, że nie mogliśmy się już uczyć w bibliotece starego Valdemiry, bo Rafael przejął ją na własny użytek...
- Conde wstał i podszedł do Chudego Cariosa. Wyprostował palec wskazujący i oparł go między brwiami kolegi.
- Ty, a ty trzymasz z Indianami czy z kowbojami? Słuchaj, nie powiem, jaki z ciebie syn, bo twoja matka właśnie robi mi jedzenie. Ale tobie to bym przygrzmocil, wiesz? Od kiedy z ciebie taki ważniak, he?
- No co, czyżbym trafił w czuły punkt? - odparował Chudy, klepnął Condego w ramię i wybuchnął śmiechem. Śmiał się w sposób totalny, śmiech wydobywał mu się z brzucha, wprawiając całe jego potężne, galaretowate i niemal bezużyteczne ciało w drganie, śmiech głęboki, prosto z trzewi, który stanowił śmiertelne zagrożenie dla wózka inwalidzkiego i mógł zawalić ściany, wydostać się na ulicę, skrócić za róg, otworzyć drzwi i sprawić, że porucznik Mario

Conde też wybuchnie śmiechem, runie tyłkiem prosto na łóżko i będzie musiał wypić jeszcze jeden łyk rumu, żeby powstrzymać atak kaszlu. Śmiali się, jakby dopiero w tej chwili odkryli, czym jest śmiech, a Josefina, zaintrygowana tą wrzawą, przyglądała im się, stojąc w drzwiach pokoju, i na jej twarzy, oprócz szybkiego uśmiechu, pojawiła się także głęboka melancholia: dałaby wszystko, nawet własne życie i zdrowie, które zaczynało szwankować, żeby wszystko się cofnęło, żeby ci dwaj śmiejący się mężczyźni znów stali się tymi chłopakami, co to się zawsze zaśmiewali, nawet bez żadnego powodu, dla samej przyjemności śmiania.

- No dobra, wystarczy - odezwała się, wchodząc do pokoju. - Chodźcie jeść, już prawie dziewiąta.

- Tak jest, matulu, tyle że zostałem śmiertelnie zraniony - zachichotał Conde i podszedł do wózka z Chudym.

- Poczekaj, poczekaj chwilę - poprosił Carlos, kiedy przezwali emisję teledysków w telewizji i pojawiła się nieco nazbyt roześmiana twarz prezenterki, która starała się wyglądać na rozentuzjasmowaną, bardzo szczęśliwą z powodu tego, co zaraz powie.

- Szanowni telewidzowie, Stadion Latinoamerykański jest już w zasadzie gotowy na rozpoczęcie pierwszego meczu kolejki: Industriales przeciw Vegueros. W oczekiwaniu na początek rozgrywek zapraszamy na następną porcję muzyki.

Zakończyła, zaprezentowała szeroki uśmiech i utrzymywała go stoicko, aż teledysk kolejnego wykonawcy, którym nikt się nie interesował, pojawił się na ekranie.

- Dobra, idziemy - stwierdził Chudy i jego przyjaciel pchnął wózek w stronę jadalni. - Sądysz, że Industriales mają jakąś szansę?

- Bez Marquettiego i bez Mediny, a jeszcze z kontuzjowanym Javierem Méndezem? Nie, chłopie, mają przesrane - stwierdził Conde i jego kumpel pokręcił żałośnie głową. Cierpiał przed i po każdym meczu, nawet kiedy Industrialni wygrywali, bo rozumował, że jeśli teraz wygrają, to rosną szanse na przegraną następnym razem, to była taka niekończąca się męka, choć ciągle obiecywał, że wyluzuje z tym fanatyzmem i będzie olewał baseball, to już nie

to, co kiedyś, mawiał, kiedy grali Capiró, Chávez, Changa Mederos i inni tacy. Ale obaj wiedzieli, że w ich wypadku to beznadziejna sprawa, choć Chudego Cariosa brało znacznie bardziej.

Podeszli do stołu i Conde przyjrzał się menu oferowanemu przez Josefinę: fasolka - czarna, klasyczna, gęsta; panierowane befsztyki wieprzowe, dobrze wysmażone, ale wciąż soczyste, zgodnie ze złotą zasadą kotleta; ryż na sypko, białutki i delikatny jak panna młoda; sałatka z zieleniny, sporządzona z wyczuciem artyzmu, dobór kolorów: zieleń, czerwień i złote pomidorki; i mnóstwo zielonych bananów, smażonych, krojonych w zwyczajne talarki. Na stole kolejna butelka rumuńskiego wina, czerwone, wytrawne, niemal doskonałe jak na swoją kategorię.

- Josefino, błagam, co to jest? - wymamrotał z zachwytem Conde, nadgryzając smażonego banana i podkradając plasterek pomidora, czym zniweczył harmonię sałatki. - Jeśli ktoś wspomni teraz coś o pracy, niech go dżuma stoczy - ostrzegł i zaczął nakładać sobie kopiaśto jedzenia na talerz, zamierzając za jednym razem nadrobić śniadanie, obiad i kolację zaległe w tym dniu, co to się ciągnął w nieskończoność. - O pracy albo o czymkolwiek innym. - I przelknął.

Mario Conde urodził się w ruchliwej i brudnej dzielnicy, którą - zgodnie z rodzinną tradycją - założył jego prapradziadek od strony ojca, mieszkaniec Wysp Kanaryjskich w gorącej wodzie kąpany, który wolał tę jałową ziemię, oddaloną od morza i od rzek, żeby postawić dom, założyć rodzinę i czekać na śmierć daleko od wymiaru sprawiedliwości wciąż szukającego go w Madrycie, Las Palmas i Sewilli. Dzielnica Condego nigdy nie zaznała dobrobytu ani elegancji, natomiast w postępie geometrycznym rozrastał się ród kanaryjskiego i absolutnie plebejskiego oszusta, który tak się cieszył ze swojego nowego nazwiska i kubańskiej małżonki, że zrobił jej osiemnaścioro dzieci i kazał im przysiąc, każdemu w stosownym czasie, że będą mieć nie mniej niż dziesiątkę potomstwa i że nawet dziewczyny dadzą swoim dzieciom nazwisko Conde, które będzie wyróżniać je w dzielnicy. Kiedy Mario skończył trzy lata i jego dziadek Rufino Conde opowiedział mu po raz pierwszy o przygodach prapradziadka Teodora i jego założycielskich ciągotach, chłopak zrozumiał, że także wybieg dla kogutów może stać się centrum wszechświata. Baseball był namiętnością nabytą przez wpływ otoczenia, podczas gdy walki kogutów stanowiły pasję wrodzoną. Jego dziadek Rufino, hodowca, treser i miłośnik kogutów bojowych, oprowadził go po wszystkich zagrodach w okolicy, gdzie urządzano walki, i nauczył go tak przygotowywać koguta,

żeby nigdy nie przegrał: najpierw szykować go z absolutnie sportową i legalną dbałością, jaką tylko można zapewnić bokserowi, a potem, tuż przed wypuszczeniem na wysypaną trocinami ziemię, posmarować oliwą, żeby przeciwnik nijak nie mógł złapać ptaka. Filozofia dziadka Rufina - nie graj nigdy, jeśli nie jesteś pewien wygranej - dostarczała chłopcu satysfakcji oglądania, jak kogut, którego znał jeszcze od jajka, zdycha ze starości, z trzydziestoma dwiema zwycięskimi walkami na koncie, a do tego pokrył niepoli-czalną liczbę równie albo jeszcze bardziej niż on wyrafinowanych kur. W tych czasach, kiedy na rano przypadała szkoła, a na po-południe praca przy kogutach, Mario Conde nauczył się jeszcze znaczenia słowa „miłość”: kochał swego dziadka i zachorował z żalu, kiedy stary Rufino Conde zmarł trzy lata po oficjalnym zakazie walk kogutów.

Zaspokoiwszy pragnienie, które to wyciągnęło go z łóżka, Conde rozpoczął ów niedzielny poranek od wspomnienia dziadka. W nie-dziele organizowano walki na najlepszych placach i dlatego właś-nie lubił niedzielne poranki. Nie popołudnia, bo zdawały się nie kończyć i po sjeście robiły się puste, a człowiek zmęczony i senny aż do zmroku; wieczory też nie, wszędzie pełno ludzi, więc za-wsze trzeba się było chronić w domu Chudego, z jakiegoś powodu niedzielne wieczory robiły się gęste i nużące, nie było meczów, a otwierać flaszkę rumu to jednak ryzyko, zważywszy groźną bliskość poniedziałku. Z porankami było inaczej: w niedzielne poranki dzielnica budziła się gwarnie i wylegiwała na ulicę, tak jak w tym opowiadaniu, które napisał w liceum, z wszystkimi można było pogadać, mieszkający gdzieś dalej znajomi i krewni przyjeżdżali zobaczyć się z rodziną i nawet czasem organizowało się rundkę baseballu, miało się potem opuchnięte dłonie i dobie-gało z językiem na wierzchu do pierwszej bazy, albo można było zafundować sobie partyjkę domina, albo po prostu pogadać na rogu, dopóki słońce nie da popalić. Mario Conde, zapewne z po-wodu dziedzicznych skłonności, które wymykały się rozumowi, no i tych wszystkich niedziel spędzonych z dziadkiem Rufinem tudzież paczką ulicznych kumpli od baseballu, cieszył się jak żaden z jego przyjaciół tą niedzielną beczynnością w dzielnicy,



i po wypiciu kawy wychodził po chleb i gazetę i zazwyczaj nie wracał przed późnym niedzielnym obiadem. Jego kobiety nigdy nie potrafiły pojąć tego nienaruszalnego i nudnego rytuału, nigdy w niedzielę nie ma cię w domu, protestowały, tyle jest przecież rzeczy do zrobienia, ale niedziele są cla dzielnicy, odpowiadał, nie zostawiając miejsca na dyskusję, więc o tej porze nie było po co pytać, czy jest w domu.

Tej niedzieli zbudził się spragniony jak świeżo zgaszony smok i ze wspomnieniem dziadka krążącym mu po głowie. Nastawiwszy wcześniej kawę na kuchence, wyszedł przed drzwi w spodniach od piżamy i starym ocieplanym płaszczu, i przyglądał się ulicom z powodu zimna spokojniejszym niż zazwyczaj w niedzielę. Przez noc niebo się rozchmurzyło, acz wciąż wiał przenikliwy i nieprzyjemny wiatr; oszacował, że musi być mniej niż szesnaście stopni, być może był to najzimniejszy poranek tej zimy. Jak zawsze żałował, że musi pracować w niedzielę, zamierzał wybrać się w odwiedziny do Królika, a potem iść na obiad do siostry, przypomniało mu się, pozdrowił ręką Cuco, rzeźnika, jak tam życie, Conde? on też miał robotę dziś rano.

Kawa niczym lawa wypływała z wnętrza ekspresu, Conde nasyłał sobie do dzbanuszka cztery łyżeczki cukru. Oczekał, aż ekspres odfiltruje cały płyn, przelał go do dzbanka i powoli zamieszał, wciągając gorzki i gorący zapach. Następnie wlał z powrotem do ekspresu, a potem przelał do termosu i nalał sobie do sporej śniadaniowej filiżanki. Usiadł w małej jadalni i zapalił pierwszego tego dnia papierosa. Poczul się przenikliwie samotny, toteż postanowił skupić się na czymś innym i zaczął rozmyślać, co by tu zrobić z listą sylwestrowych gości wiceministra. Przeczuiwał, że nieuchronnie czekają go delikatne rozmowy, których wolałby nie przeprowadzać. Zoili wciąż nie było, bo nie zadzwonili z centrali, a zniknęła cztery dni temu, tak samo jak Rafael. Aż do jutra rana nie będzie miał dostępu do jego firmy, co uniemożliwiało mu podjęcie interesującego go tropu. Z prowincji pewnie nic dla niego nie przyszło, tak samo od straży granicznej, bo oni też by go namierzyli, więc wciąż nie było śladu po zaginionym. A ten Galicyjczyk Dapena? Pewnie nic z tego nie będzie: siedzi w Cayo

Largo i ogląda się za pupciami... Ale tak czy inaczej tej niedzieli czekała go praca i porucznik Mario Conde, popijając kawę pobudzającą jego podniebienie i intelekt, postanowił przemyśleć to na spokojnie: chciał rozumować jak Rafael Morin, choć w życiu do głowy by mu nie przyszło, że coś takiego jest w ogóle możliwe; musiał poczuć to, co czuje ktoś taki jak on, chcieć tego, czego on chce - co było już łatwiejsze - żeby mieć choćby przybliżone pojęcie, o co może chodzić z tym niezwykłym zniknięciem, ale nie dał rady. Rafael nie był jednym z przestępców, z którymi Conde miał regularnie do czynienia w pracy, i to go blokowało. Wołał pokątnych handlarzy, obracających najróżniejszymi towarami, dystrybutorów najdziwniejszych produktów i dilerów wszelkiej maści, znał ich i wiedział, że zawsze istnieje jakaś logika umożliwiająca poprowadzenie śledztwa. Tym razem nie: jestem jak dziecko na pustyni, myślał, zgniótł niedopałek w popielniczce i uznał, że czas zadzwonić do Manola i wyjść na ulicę, niedziela wydawała się idealna do tego, żeby sobie z kimś uciąć pogawędkę na rogu, powygrzewać się na słońku i posłuchać, kolejny raz, starych opowieści starych kumpli.

Nalał sobie drugą filiżankę kawy, już nie tak pełną, podziękował swemu żołądkowi, że jeszcze nie zrewanżował mu się jakimś wrzodem, zapalił kolejnego papierosa i ruszył w stronę pokoju, gratulując sobie wydajności płuc. Usiadł na łóżku, przy telefonie, i przyglądał się samotnym i kolistym płasom Rufina, jego rybki. Potem spojrzął na swój pusty pokój i poczuł, że on też się kręci, szukając jakiejś drogi ucieczki z tego błędnego koła.

- Ale mamy przesrane, Rufino - stwierdził i wybrał numer Manola, odsłuchiwał sygnał w słuchawce.

- Słucham - odezwał się kobiecy głos, kiedy odebrano z drugiej strony.

- Alina? To ja, Conde, jak się pani miewa? - zapytał ostrożnie, znał dobrze możliwości komunikacyjne tej kobiety, toteż zanim zdążyła zareagować, uprzedził: - Czy syn może już wstał? Proszę go poprosić do telefonu i przekazać, że się śpieszę.

- A, Manolo. Wie pan, Conde, on został na noc w domu Vilmy, swojej aktualnej dziewczyny, wie pan...

Cwany gość, miał powiedzieć, ale wybrał łatwiejszą opcję: - Wie pani co, Alino, proszę do niego zadzwonić i przekazać, żeby po mnie wpadł za pół godziny, to pilne. Dobrze? To na razie i wielkie dzięki, Alino. - I rozłączył się z westchnieniem.

Powoli dopił kawę. Fascynowała go łatwość, z jaką Manolo zmieniał dziewczyny i jak szybko przekonywał je, żeby pozwalały mu nocować u siebie. Conde za to przechodził długi okres samotności i choć nie chciał, zaraz pomyślał o Tamarze, zobaczył ją w tej jej sportowej bluzie, tak obcisłej, i żółtej sukience, majteczki jej prześwitywały, palce lizać. Może Manolo i Stary mają rację: powinien uważać, pomyślał, że lepiej byłoby nigdy więcej już jej nie zobaczyć, nigdy więcej nie rozmawiać, trzymać ją daleko od swoich myśli i unikać takich frustracji jak wczoraj wieczorem, nawet cztery kolejki z Chudym nie zagasły pożądania i zakończył ten ciągnący się dzień masturbacją ku czci tej nieprawdopodobnej kobiety. Dopiero wtedy zdołał zasnąć.

Stąd wyszedł Rafael Morin, myślał, idąc w stronę pomieszczenia w głębi. Chwała i farba dawno już zeszyły z tego dworku przy alei Dziesiątego Października, budynek zmienił się w zrujnowaną i nagrzaną rudere, każdy pokój dawnej rezydencji stał się niezależnym mieszkaniem, ze wspólną pralnią i łazienką, ściany odrapane i od pokoleń zapisywane bazgrołami, wszechobecna woń gazu i sznur do wieszania prania bardzo oblegany w niedzielny poranek. Szczyt i przepaść, skomentował Manolo i miał rację. Ta brudna rudera wydawała się tak odległa od rezydencji na ulicy Santa Catalina, że można by pomyśleć, iż dzieli ją oceany i góry, pustynie i wieki historii. Ale to tu urodził się Rafael Morin, w pomieszczeniu numer siedem, tam w głębi, w pobliżu wspólnej łazienki i pralni zajętej teraz przez dwie kobiety niełękające się chłodu, czy też innych przeciwności życia.

Pozdrowili je i zapukali do drzwi z cyfrą siedem. Kobiety przyjrzały im się, znały życie i od razu rozpoznały policjantów, musiały wiedzieć o zniknięciu Rafaela, więc do swoich spraw wróciły dopiero wtedy, kiedy otworzyły się drzwi.

- Dzień dobry, pani Mario Antonio - odezwał się porucznik.

- Dzień dobry - odpowiedziała staruszka, a w jej oczach czaił się błysk zaszczutego zwierzęcia. Conde wiedział, że ma niewiele ponad sześćdziesiąt lat, ale życie jej nie oszczędzało, wyglądała więc na osiemdziesiąt, i to ciężkich, bez specjalnej chęci do ciągnięcia tego dalej.

- Jestem porucznik Mario Conde - przedstawił się, pokazując odznakę - a to jest sierżant Manuel Palacios. Zajmujemy się sprawą zaginięcia pani syna.

- Proszę, proszę wejść i nie przejmować się bałaganem, tak tu mam...

Pokoik był mniejszy niż biblioteka ojca Tamary, a mimo to mieściło się w nim małżeńskie łóżko, meblścianka, komoda, krzesło, fotel i kolorowy telewizor na żelaznym stoliku. Obok telewizora wisiała zasłonka, Conde domyślał się, że to wejście do kuchni, a może też własnej łazienki. Rozglądał się za zapowiedzianym bałaganem, ale wypatrzył jedynie bluzkę rzuconą na łóżko oraz płócienną torbę i plik kartek żywnościowych na komodzie. W rogu pokoju, na drewnianym piedestale, Matka Boska Litościwa z Cobre ogrzewała się w świetle niebieskiej i przygasającej już świeczki.

Conde usiadł w fotelu, Manolo zajął krzesło, a Maria Antonia przysiadła na krawędzi łóżka i dopiero wtedy zapytała:

- Są jakieś złe wiadomości?

Conde przyglądał się jej i czuł się niezręcznie i nie na miejscu: życie tej kobiety musiało kręcić się wokół sukcesów jej syna i zniknięcie Rafaela odbierało jej być może jedyny sens istnienia. Maria Antonia wyglądała na bardzo kruchą i bardzo smutną, Conde ze zdziwieniem stwierdził, że udzielił mu się jej nastrój, i miał ochotę znaleźć się daleko stamtąd, i to już.

- Nie, pani Mario Antonio, nie ma żadnych wieści - odpowiedział w końcu, powstrzymując się z trudem od zapalenia. W pokoju nie było popielniczek. W tej sytuacji zaczął się bawić długopisem.

- Ale co się dzieje? - zapytała, choć tak naprawdę mówiła do siebie. - Jak to możliwe, jak to możliwe? Co się mogło stać z moim synem?

- Proszę pani - Manolo pochylił się w jej stronę - robimy wszystko, co możliwe, i dlatego tu przyszliśmy. Potrzebujemy pani pomocy. Zgoda? Kiedy widziała pani syna ostatni raz?

Kobieta przestała przytakiwać i spojrzała na sierżanta. Być może wydawał się jej zbyt młody, zatarła powoli swoje długie i kościste dłonie, pomieszczenie było wilgotne, panował w nim przenikliwy ziąb.

- Trzydziestego pierwszego w południe wpadł z prezentem noworocznym, te perfumy, co tam stoją - i pokazała trudny do pomylenia flakonik Chanel numer 5 stojący na komodzie. - On wiedział, że jedyne, za czym naprawdę przepadam, to perfumy, więc zawsze mi je kupował. Z okazji Dnia Matki, moich urodzin, na Nowy Rok. Mówił, że chce, żebym pachniała najładniej w całej dzielnicy, taki miał pomysł. A wieczorem zadzwonił tu do mnie, na telefon sąsiadki, żeby złożyć życzenia. Był na jakiejś imprezie, godzina chyba za dziesięć dwunasta była. Zawsze do mnie dzwonił, gdziekolwiek był, w zeszłym roku z Panamy telefonował, tak, to chyba Panama była.

- Zjadł z panią obiad? - wypytywał Manolo i przesunął swoje szczupłe pośladki na sam brzeg krzesła. Lubił przesłuchiwać i kiedy to robił, pochylał się lekko jak kot wyprężający grzbiet.

- Tak, zrobiłam mu fabadę, uwielbia ją i mówi, że ani jego żona, ani teściowa nie robią jej tak dobrze jak ja.

- I jak wyglądał? Zachowywał się jak zawsze?

- Co pan ma na myśli, towarzyszu?

- Nic takiego, Mario Antonio, po prostu czy był nerwowy, poruszony, inny.

- Bardzo się śpieszył.

- Śpieszył? Nie spędził z panią popołudnia?

Staruszka podniosła wzrok na postać Matki Boskiej, a potem potarła dłońmi nogi, jakby próbując ulżyć bólowi. Miała blade dłonie i bardzo czyste paznokcie.

- On zawsze był w pędzie, przez tę swoją pracę. Powiedział mi: możesz w to nie wierzyć, mam, ale muszę spędzić dzisiejsze popołudnie w pracy, i zebrał się jakoś o drugiej.

- Był zdenerwowany, przejęty?

- Wie pan, towarzyszu, dobrze znam mojego syna, w końcu go na świat wydałam i odchowałam. Zjadł fabadę tak gdzieś o pierwszej, razem zmyliśmy naczynia, a potem położyliśmy się na łóżku, żeby pogadać, taki mamy zwyczaj. On lubi kłaść się na tym łóżku, biedaczek, zawsze taki przemęczony i śpiący, oczy mu się zamykały, kiedy sobie rozmawialiśmy.

- I o której wyszedł?

- Tak o drugiej. Przemysł sobie twarz i powiedział, że wieczorem idzie na imprezę, że ma dużo pracy, i dał mi dwieście pesos, żebym sobie coś kupiła na koniec roku, tak powiedział, i poszedł - przepłukał sobie usta, uczesał się, ucałował mnie i poszedł. Był dla mnie dobry, jak zwykle.

- Zawsze dawał pani pieniądze?

- Zawsze? Nie no, czasami.

- Wspominał o jakichś kłopotach z żoną?

- My nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Taka jakby umowa.

- Umowa? - powtórzył Manolo i pochylił się bardziej w fotelu.

Conde pomyślał: w którą stronę to zmierza?

- No bo mnie ta dziewczyna nigdy się nie podobała. Nie żeby coś zrobiła, nie, nie mam nic przeciwko niej, ale uważam, że nigdy nie dbała o niego tak, jak się powinno dbać o męża. Nawet służącą ma... Panowie wybaczą, to takie rodzinne sprawy, ale uważam, że ona zawsze bardziej się sobą zajmowała.

- A co powiedział, wychodząc?

- Mówił o pracy i takie tam rzeczy jak zawsze, żebym dbała o siebie, skropił mnie tymi nowymi perfumami. On taki był, dobry, i nie dlatego że to mój syn, przysięgam, nie, możecie panowie zapytać kóregokolwiek z naszych starych sąsiadów tutaj i wszyscy to samo powiedzą: wyrósł z niego chłopak porządniejszy, niż się można było spodziewać. To nie jest dobra dzielnica, bynajmniej, ja to mówię, ja, com tu jako panna trafiła i nadal mieszkam, tu wyszłam za mąż, tu urodziłam Rafaela, wychowałam go sama, harując jak wół, proszę wybaczyć, ja nie wiem, co panowie myślą, ale Bóg i ta Matka Boska pomogli mi wyprowadzić go na ludzi, nigdy do mnie ze szkoły nie dzwonili, a tam, w tamtej szufladzie, leży z pięćdziesiąt dyplomów, które dostał za naukę, jego dyplom

inżynierski i odznaka za najlepszą średnią na roku. On sam jeden to zdobył. I co, nie mam powodów do dumy? Wiedzieć, że spotkał go los tak odmienny od mojego i od jego ojca, który ledwie hydraulikiem był; nie wiem, po kim ten chłopak ma taką inteligencję, widziałam, jak się wspina i że nie mieszka już w tej ruderze, ma swoje auto i podróżuje po takich krajach, co to nawet nie wiedziałam, że istnieją, że jest tu u nas kimś ważnym... Boże mój, co się mogło stać? Kto mógłby chcieć skrzywdzić Rafaela, przecież on nikomu krzywdy nie zrobił, nikomu. Zawsze był z niego prawdziwy rewolucjonista, od dziecka, pamiętam, że w gimnazjum pełnił różne funkcje, wiele razy był przewodniczącym, w liceum też i na studiach, i nikt mu w ministerstwie nie pomógł, nie miał żadnych protekcji, on sam to zrobił, pracując dużo, krok za kroczkiem doszedł, gdzie doszedł. I teraz coś takiego. Ale nie, Bóg nie może mnie tak karać, ani mój syn, ani ja na to nie zasłużyliśmy. Co się dzieje, towarzysze, powiedzcie, wytłumaczcie? Kto chce zaszkodzić mojemu synowi? Kto mógł go skrzywdzić, na Boga...

Wydaje mi się, że do końca zajęć brakowało dwóch czy trzech tygodni, potem miały być egzaminy, po których przechodziliśmy do drugiej klasy liceum, co w zasadzie jest równoznaczne z promocją do trzeciej, a to tak, jakby właściwie być na studiach, i nikt nie będzie już nam zawracał głowy, że baczki nie, wąsy też nie, wszyscy równo wystrzyżeni i takie tam rzeczy, przez które każdy chce skończyć liceum, choć jednocześnie bardzo lubi chodzić do liceum, spotykać się z ludźmi z liceum i mieć w liceum dziewczynę, i tak dalej. To jest właśnie najgorsze: chcieć, żeby czas szybko leciał. Po co? Staliśmy na dziedzińcu, był czerwiec, słońce przypalało nam karki, a dyrektor przemawiał: mamy wygrać wszystkie odznaczenia za stopnie, mamy zostać najlepszym liceum w Hawanie, w kraju, prawie we wszechświecie, bo byliśmy najlepsi w czynie społecznym, wygraliśmy turniej międzylicealny, dwie nagrody na Festiwalu Amatorów, a poziom promocji z klasy do klasy przekraczał znacznie dziewięćdziesiąt procent, więc nikt nam nie mógł zabrać pierwszego miejsca, a my biliśmy brawo, uch, uch,

wołaliśmy i myśleliśmy, ale z nas zawodnicy, nikt nas nie pokona. I oznajmił dyrektor, jest jeszcze jedna dobra wiadomość: dwaj towarzysze z naszego liceum otrzymali medale na Narodowym Konkursie Matematycznym, uch, uch, więcej braw, i towarzysz Fausto Fleites, uch, uch, złoty medal w kategorii jedenastej klasy, uch, uch, towarzysz Rafael Morin, złoty medal w kategorii trzy-nastej klasy, i Fausto z Rafaelem weszli na mównicę, triumfujący, machali podniesionymi do góry rękami, uśmiechnięci, rzecz jasna, wykazali, jacy z nich twardziele, a Tamara klaskała nadal, kiedy pozostali już skończyli, i aż podskakiwała z zadowolenia, a Chudy odezwał się do mnie, ty, ona taki teatr odstawia, czy naprawdę nie wie? No, musiała wiedzieć, ale była tak zadowolona, jakby się właśnie dowiedziała, skakała tak, że jej pośladki falowały, widać to było spod szerokiej i długiej spódnicy zakrywającej jej wdzięki, i Rafael podszedł do mikrofonu, a ja powiedziałem do Chudego, szykuj się, chłopie, w takim słońcu i z jego zamiłowaniem do gadki, ale nie, myliłem się, prawie zawsze się mylę: powiedział, że razem z Faustem dedykują te nagrody kadrze nauczycieli matematyki i dyrekcji liceum, ale tak czy inaczej zachęca uczniów do jak największego wysiłku przy końcowych egzaminach, żeby kroczyć w pierwszym szeregu średniej i tak dalej, a kiedy przemawiał, patrzyłem na niego i myślałem, że to w sumie świetny gość, bystrzach i przystojniacha, nawija jak z nut, a jego dziewczyną jest Tamara, zawsze w wyprasowanych, czyściutkich ubraniach, kurde, pomyślałem, chyba zazdroścę temu dupkowi.

- I co ty na to, kolego? - zapytał Manolo, zapuszczając silnik, podczas gdy Conde wypalał do ostatka papierosa, którego nie odważył się zapalić w domu Marii Antonii.

- Jedziemy do centrali, musimy pogadać ze Starym, może uda nam się przesłuchać dziś wiceministra odpowiedzialnego za tę firmę - odpowiedział Conde i ostatni raz rzucił okiem w niemal mroczny korytarzyk prowadzący do domu, w którym urodził się Rafael Morin. - Dlaczego nie poszukał matce lepszego mieszkania?



Samochód jechał aleją Dziesiątego Października w stronę Agua Dulce i Manolo przyspieszył na podjeździe.

- Nad tym samym się zastanawiałem. Nie pasuje mi Rafael Morin do tej rudery.

- A może pasuje aż zanadto, nie? Teraz trzeba by się tylko dowiedzieć, gdzie się podziewał przez całe popołudnie trzydziestego pierwszego, czyli przekonać się, czy naprawdę siedział wtedy w biurze, i wyjaśnić, dlaczego powiedział Tamarze, że będzie u matki.

- Będziesz musiał pogadać z Morinem albo sobie poszukać jakiegoś *babalao* czy innego czarownika, niech rzuci muszelki i wskaże ci drogę - stwierdził sierżant i zatrzymał auto na światłach przy piekarni Toyo. Po drugiej stronie ulicy kolejka za niedzielnym chlebem powszednim ciągnęła się aż do następnej przecznicy. - Widzisz, Conde, tu za rogiem mieszka Vilma.

- Jak poszło wczoraj?

- Dobrze, dobrze, dziewczyna jest niesamowita. Może się nawet ożenię, wiesz.

- Uhm. Ty, Manolo, ja rozumiem, co jest grane, ale nie pytałem cię o Vilme czy o twoje życie seksualne, tylko o pracę, więc weź się pozbieraj, dobra? Jeśli złapiesz AIDS od tego bzykania na lewo i prawo, będę cię odwiedzał w klinice raz na miesiąc i przynosił dobre książki.

- Ejże, mistrzu, coś taki nie w sosie? Wstałeś lewą nogą czy jak?

- Spokojnie, wszystko gra, wstałem jak trzeba. Mam już potąd Rafaela Morína, a jeszcze jak słuchałem jego matki, to mi się źle zrobiło, jakbym był jakoś winny czy co...

- Spoko, spoko, tylko się na mnie nie wyżywaj - protestował sierżant, udając urażonego. - Słuchaj, Grek i Crespo czatują na Zoile od wczoraj wieczorem, umówiliśmy się, że zdadzą mi raport dziś o dziesiątej, więc pewnie już czekają. I poprosiłem też o wykaz zaginięć z dwóch ostatnich lat, też mają mi to na dziś zrobić, na jedenastą, sprawdzimy, czy to przypomina jakąś inną sprawę, sam nie wiem, Conde, to jakieś wariactwo.

- Kiedy przyjedziemy do centrali, spróbuj też namierzyć telefonicznie szefa ochrony w firmie Rafaela, zobaczymy, czy Morin

był tam trzydziestego pierwszego po południu. Jeśli tak, to niech nas umówi z tymi, co mieli wtedy dyżur.

- W porządku. Mogę puścić muzykę?

- A skąd wytrzasnąłeś antenę?

- Ma się kolegów... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Zaczął szukać w radiu jakiejś stacji nadającej muzykę. Trafił na dwie czy trzy, ale ostatecznie wybrał piosenkę Benny'ego Moré. „Och, życie”, śpiewał Benny swoim nieskazitelnym głosem, w programie ewidentnie muzycznym.

- Chyba trochę przesadzasz, Conde - skomentował Manolo, kiedy słuchali *Dziś tak jak wczoraj*, na wysokości placu Rewolucji. - Choć nam się nie podoba, to jest to sprawa jak każda inna, więc nie możesz cały dzień chodzić wkurzony i psioczyć.

- Manolo, mój dziadek mawiał, żeby nie mówić hop przed zachodem słońca. A ta historia jeszcze się rozwinie.

- Poruczniku, major prosił, żeby pan do niego poszedł, jak tylko się pan pojawi. Jest na górze - oznajmił oficer na warcie i Conde mu odsalutował.

W niedzielne poranki spokój ulicy obejmował także centralę. Wszystkie rutynowe sprawy, takie, co się za bardzo przeciągnęły i wyglądały mało rozwojowo, oraz te, które szły normalnym rytmem i bez problemów, tego dnia leżały odłogiem i prowadzący je detektywi znikali, przez co centrala pogrążała się w nienaturalnym spokoju. Również sekretarki, urzędnicy i specjaliści od informatyki, identyfikacji i z laboratorium mieli wolny dzień i na dwadzieścia cztery godziny centrala wytracała swój frenetyczny i szalony rytm panujący tu przez resztę tygodnia. Tylko wartownicy i ci, którzy prowadzili bardzo pilne śledztwa, pracowali tego dnia w budynku, który wydawał się większy, ciemniejszy i mniej ludzki w te niedzielne poranki, kiedy to czasami można było nawet usłyszeć cichy trzask płytek domina, bo skazani na wartę próbowali w ten sposób ulżyć nudzie. Tylko Stary pracował w każdą niedzielę od jakichś piętnastu lat: major Rangel musiał wszystkie wątki prowadzone przez podwładnych przepuścić przez swoje ręce i śledził

każdą sprawę z nawiedzoną gwałtownością, od poniedziałku do niedzieli. Conde wiedział, że informacja od strażnika była nawet nie tyle rozkazem, ile potrzebą szefa, więc poprosił Manola, żeby poszukał raportów i zaczekał na niego w ich norze jakieś trzydzieści minut.

Spokój panujący w budynku utwierdził go w przekonaniu, że tym razem winda nie zjawi się na zawołanie, światełka wskazywały, że zjeżdża na dół, czwarte, trzecie, drugie, i drzwi otworzyły się jak kurtyna, Condemu zawsze tak się to kojarzyło, i prawie zderzył się z wychodzącym mężczyzną.

- Mistrzu, nie zamierza pan odpocząć w niedzielę?

Kapitan Jorrin uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- A ty, Conde? Chcesz dorobić na lodówkę? - zapytał, biorąc go pod ramię i prowadząc w stronę Departamentu Informacji. Conde chciał wytłumaczyć mu, że Stary go wezwał, ale uznał, że major może poczekać.

- Jak pańska sprawa, kapitanie?

- Chyba dobrze, Conde, chyba dobrze - weteran Jorrin nawet się nieco uśmiechał. - Pojawił się świadek, który być może zdoła zidentyfikować jednego z zabójców chłopaka. W każdym razie wiemy już, że było ich trzech i według świadków są bardzo młodzi. Teraz trzeba będzie zrobić portret pamięciowy.

- Sam pan widzi, mistrzu, zawsze jest jakieś światełko w tunelu.

- Tak, jest, tylko że to nie ułatwia sprawy... Wyobraź sobie, że w końcu dopadniemy tych morderców i okaże się, że mieli mniej niż osiemnaście lat, a już nimi są, mordercami znaczy. To jest prawdziwy problem, już nie chodzi tylko o chłopaka zatłuczonego na ulicy, ale o to, że jest jeszcze trzech, co trafią na parę lat do więzienia, i nigdy nie będą już tymi, którymi powinni zostać. Zamordowali.

Conde przyglądał się zmarszczkom znaczącym twarz kapitana Jorrina, czując na ramieniu rozpaczliwy ucisk dłoni kolegi, który pół życia poświęcił na łapanie przestępców.

- Myślałem na początku, że powinno nam się przytrafić coś podobnego do tego, co spotyka lekarzy - powiedział, patrząc

kapitanowi w oczy. - Że po jakimś czasie przyzwyczaimy się do widoku krwi.

- Nie, oby nigdy to nas nie spotkało. Takie rzeczy powinny człowieka boleć, Conde. A jeśli pewnego dnia cię nie zabolą, to lepiej się wycofaj.

- Powodzenia, mistrzu - Conde pożegnał się przed drzwiami Departamentu Informacji i ruszył w stronę schodów.

Biurko Maruchi także zostało tknięte niedzielnym zakłębieniem: idealnie wysprzątane sprawiało wrażenie opuszczonego i smutnego, bez kwiatka, który codziennie przynosiła dziewczyna. Przez drzwi dobiegł go głos majora, Conde zapukał lekko i usłyszał:

- No, wchodź.

Stary siedział za biurkiem, ubrany po cywilnemu, w pulowerze w białe i szare pasy, podkreślającym rozmiary jego klatki piersiowej i krzepę karku. Major wzrokiem wskazał mu krzesło i dalej dyskutował przez telefon. Rozmawiał z córką, coś się wydarzyło, powtarzał jej: nie przejmuj się tym, Mima, w końcu... Dobra, tak, zadzwoń do matki i powiedz, że po nią wpadnę i pojedziemy do ciebie na obiad, tak, dodał, całusy dla małego, dobra? tak, oczywiście, tak, i odłożył słuchawkę. Przez cały czas mówił łagodnym i spokojnym tonem, bez wątpienia najmilszym, jaki Conde słyszał z całego repertuaru jego głosów.

- Ale numer, chłopie - zaczął major, sięgając po swoje cygaro, jednego z tych davidoffów 5000, które przed chwilą zapalił. - Ko lejny zaginiony: mój zięć. Ale w jego przypadku wiemy, gdzie prze bywa. Kręci się koło takiej jednej laseczki, dziewiętnastki. A ta moja biedna córka wciąż jest w nim zakochana. Rozumiesz coś z tego? Nie no, przez to ja chyba nigdy nie przejdę na emeryturę. Czło wiek ma tu tysiã problemów, kłopotów z ludźmi, telefony z góry, sprawy, od których głowa boli, ale wolę to wariactwo, niż siedzieć w domu i prowadzić mediacje w rodzinnych aferach. Moja druga córka, Mirta, wiesz, co sobie wymyśliła? Nie, skąd miałbyś coś takiego wiedzieć... Poznała na uniwersytecie jakiegoś Austriaka, włosy dosłownie potąd, włóczy się po całym świecie i ciągle na wija, że jest jakaś dziura ozonowa, że morza niszczejã, i mówi, że za niego wyjdzie, bo to najwrażliwszy facet na świecie, więc ona

za nim pójdzie wszędzie. Wiesz, co to oznacza? Ech, nawet nie chcę o tym myśleć, ale przysięgam ci, Conde, za mąż to ona wyjdzie po moim trupie. A teraz jeszcze ten numer z moim zięciem.

- A ja myślałem, że Austriacy nie istnieją. Widziałeś kiedyś jakiegoś Austriaka?

Major przyglądał się swojemu cygaru.

- No nie, racja, zanim tego poznałem, to faktycznie nie widziałem żadnego.

Conde uśmiechnął się i choć nie wiedział, czy powinien, odważył się powiedzieć:

- Słuchaj, powiedz no swoim córkom, że jest do dyspozycji taki porucznik, kawaler i bez zobowiązań, przystojny, inteligentny i odpowiedzialny, szuka towarzyszki, najlepiej córki szefa.

- Jasne - powiedział major, ale się nie uśmiechnął. - Jeszcze mi tego brakowało... Chłodno jest, co?

- A kto ci kazał strugać twarżozia i chodzić w samym pulo-  
werku?

- Zostawiłem płaszcz w aucie, nie sądziłem, że tak się oziębi. A jak tam twoje sprawy?

- Przeciętnie.

- Co się dzieje?

- Jeszcze nie jestem pewien. Mamy kilka poszlak, ale tylko jedna wygląda mi poważnie: nie wiemy, gdzie przebywał Rafael Morin całe popołudnie trzydziestego pierwszego. Żonie powiedział, że idzie do matki, a matce, że do firmy, natomiast sekretarka twierdzi, że trzydziesty był ostatnim dniem, kiedy pracowali. Sprawdzamy także niejaką Zoile, którą znał i która nie wiadomo gdzie przebywa od pierwszego stycznia. A drugi trop jest taki, że Rafael miał jakąś historię ze swoją sekretarką.

- Jeśli skłamał, żeby mieć jakieś alibi na trzydziestego pierwszego, to znaczy, że coś szykował, choć to coś nie musi mieć koniecznie związku ze zniknięciem.

- Uhm. Natomiast teraz chciałbym pogadać z Albertem Fernandezem-Loreą, wiceministrem. Jeśli to możliwe, jeszcze dziś. Wciąż myślę o tej imprezie sylwestrowej. Mógłbyś do niego zadzwonić?

- Może sam to zrobisz?  
- Wolałbym, żebyś ty zadzwonił. Pamiętaj, że jestem tylko żalonym policjantem, jak to mi wczoraj powiedziano, a on wice-ministrem.

Major rozparł się w fotelu i zaczął się huścić. Wetknął cygaro do ust i zaciągnął się niebieskawym dymem. Cieszył się nim. Tymczasem Mario Conde przesunął w jego stronę jeden z aparatów telefonicznych i zaczął wykręcać numer.

- No, zadzwoń do domu Fernándeza - poprosił i podał mu słuchawkę. Major westchnął i pogodził się z tym, co nieuchronne.

- Chyba nikogo nie ma - poddał się po chwili, ale kiedy już odkładał słuchawkę, powstrzymał się, przytknął ją do ucha i zapytał: - Halo, czy dodzwoniłem się do domu towarzysza Fernándeza-Lorei? - i najwyraźniej otrzymał odpowiedź twierdzącą, bo wyjaśnił, że musi przeprowadzić przesłuchanie. - Tak, jeszcze dziś, jeśli to dla pana nie problem... Jasne... Za godzinę?... Okej, dobrze, do zobaczenia i bardzo dziękuję. Porucznik Mario Conde. Tak. - I odłożył słuchawkę.

- Zadowolony?

- Przekaż moją propozycję córkom - rzucił Conde, wstając i poprawiając sobie rewolwer.

- Zadzwoń do mnie dziś wieczorem, powiesz mi, co nowego - poprosił major i uśmiechnął się zdecydowanie autorytarnie. - Powodzenia - dodał i ponownie zaczął kontemplować rozkosznie czysty popiół davidoffa.

Conde zbiegł na drugie piętro i wszedł do swojej klitki. Sierżant Manuel Palacios czekał na krześle za biurkiem kolegi.

- Z zaginięć nici, Conde. Sami wariaci, starcy, zbiegli mężowie i żony, chłopcy uciekający z domów, dzieci porwane przez rozwiedzionych ojców i w październiku tylko jeden przypadek kobiety uprowadzonej siłą przez nieodwzajemnionego kochanka. Zale dwie jedna sprawa pozostaje otwarta: dwudziestotrzyletni chłopak zaginiony w kwietniu zeszłego roku, choć podejrzewa się, że próbował nawiać z kraju w niezbyt przemyślany sposób - wyjaśnił Manolo, a jego spojrzenie i głos emanowały znużeniem. - Gadałem też z szefem ochrony firmy, na szczęście wtedy od dwunastej

do ósmej wieczorem dyżur miała jego żona, i Rafaela Morina tam nie było, choć pojawił się ktoś inny. René Maciques.

- Kolega Maciques... A co z Zoila?

- A to już inna para kaloszy. Z tego, co Grek i Crespo ustalili, wygląda na to, że dziewczyna jest słodziutka i wie, że ludzie przepadają za słodyczami. Wciąż nie wiadomo, gdzie się, kurde, schowała, i to łatwe nie będzie, bo to niezła kombinatorka i figuruję w kartotece jako dama do towarzystwa, choć bez żadnych zajęć. W każdym razie równie chętnie kręci z jednym Meksykaniem, co przyczepia się do pewnego Bułgara, mieszka sobie trochę w tym luksusowym apartamentowcu Focsa albo spędza kilkanaście dni w kurorcie Varadero, tyle że wszyscy jej faceci mają porządną brykę, forszę i godziwą posadę. Sam wiesz. A jak się jej znudzi, to robi ceramiczne talerze i inne takie pierdółki, i wydaje się, że nieźle jej to wychodzi. Tego dnia, kiedy zniknęła, nikt jej nie widział, nie wiadomo też, co robiła w sylwestra. Nie jest zarejestrowana w żadnym hotelu, jej brat też niczego nie wie.

Conde wysłuchał relacji o upodobaniach i przygodach Zoili i pomyślał, że bardzo chętnie by z nią pogadał. Wstał i podszedł do okna.

- Trzeba ją znaleźć. Sam nie wiem, ale coś mi mówi, że ta panienska ma istotny związek z Rafaelem Morinem.

- Puszczamy list gończy?

- Tak, niech ją wydobędą spod ziemi albo spod aktualnego faceta, gdziekolwiek jest - zażądał Conde i znów przypomniała mu się Tamara. Cholera by ją wzięła, pomyślał, a potem skojarzył, że miał przecież pogadać z Mikim Śliczną Bużką. Przez okno widział czyste i błękitne niebo, i wreszcie odezwał się do Manola: - Tak, puść za nią list, a potem jedziemy. Pan wiceminister na nas czeka.

Mieszkał na rogu Siódmej i Trzydziestej Ósmej, w trzypiętrowym budynku z fasadą z czerwonych cegieł i potężnymi balkonami, które wychodziły na ulicę. Chodnik z płytek ułożonych na ziemi, przecinający zielone pasmo dobrze utrzymanego trawnika, prowadził

do eleganckiego i nowoczesnego, choć liczącego trzydzieści lat budynku, zresztą dość skromnego w porównaniu z otaczającymi go apartamentowcami. Conde i Manolo bez słowa weszli po schodach i nacisnęli dzwonek do mieszkania zajmującego całe drugie piętro: zza drzwi dobiegły ich pierwsze takty marsza weselnego Mendelssohna, rytmiczne i wzbogacone fletem.

- Proszę wejść, czekałem na panów - powitał ich gospodarz, otwierając drzwi, a Conde pomyślał: ja go skądś znam. Alberto Fernández-Lorea był mężczyzną zbliżającym się do pięćdziesiątki, acz bez dwóch zdań wciąż prezentował się znakomicie. Z pewnością nie pali i należy do tych, co to biegają po parku Martiego, pomyślał Conde, próbując sobie przypomnieć, gdzie mógł go widzieć. Atletyczne ciało wiceministra, obfite i błyszczące włosy, rzadziejące nieco pośrodku głowy, i jego postura bardziej pasująca do rosnącego jeszcze chłopaka, kojarzyć się mogły ze Skrybą z powieści Vargasa Llosy, który był w kwiecie wieku, co zresztą w tym wypadku mogło być prawdą.

Wiceminister poprosił, żeby usiedli, i przeprosił ich - proszę wybaczyć, tylko na chwilę - po czym przeszedł za ściankę z niemalowanego drewna, oddzielającą salon od kuchni-jadalni. Pomieszczenie było przestronne, być może nawet nadmiernie, zdaniem Condego, który przypomniał sobie, że to tutaj tańczył i jadł, rozmawiał i śmiał się Rafael Morin podczas być może swojego ostatniego publicznego występu. Było tu zdecydowanie przyjemnie, a przez okienne szyby widać było wysokie gałęzie bezlistnego flamboyana; Conde wyobraził sobie, że latem, kiedy każdą gałąź pokrywają pomarańczowe kwiaty, musi to być uczta dla oczu.

Fernández-Lorea wrócił, a Conde wciąż był przekonany, że skądś zna tę twarz, tylko skąd, skąd go mogę kojarzyć? zadreżczał się, bo przecież taka dodatkowa informacja może okazać się przydatna.

- No dobrze, zaczynajcie, panowie - zaproponował wiceminister, a jego głos zdawał się o kilka decybeli głośniejszy, niż to było w tych okolicznościach potrzebne. Usadowił się na fotelu plecionym z syntetycznych włókien, kołysząc się lekko. - Wszyscy bardzo jesteśmy przejęci sprawą towarzysza Morina.



Conde spojrział w łagodne oczy mężczyzny i poczuł, że nie wie, jak zacząć. Zastanawiał się w tej chwili, jak powinien się zwracać do rozmówcy. „Towarzyszu wiceministrze” wydawało mu się antypatyczne, ułożone i dość pochlebne; po prostu „Fernández” - raczej bezosobowe; „Alberto” - mowy nie ma, oznaka poufałości, a tej przecież nie ma, z tego wszystkiego zapragnął jak najszybciej skończyć z tym przesłuchaniem, które już na początku sprawiało tyle kłopotów.

- Towarzyszu wiceministrze Fernández - powiedział w końcu i słysząc swoje słowa, miał ochotę sam się wychłostać - widzi pan, ta sprawa jest dość dziwna, zaginięcia jako takie na Kubie prawie nie występują, co zmusza nas do poszukiwania we wszystkich możliwych kierunkach. Jak na razie odrzuciliśmy możliwość porwania oraz nielegalnego wyjazdu z kraju...

- Nie, nie, to niemożliwe. Nie w przypadku Rafaela. Jestem przekonany, że coś mu się stało, jakiś wypadek - sugerował wiceminister, przepraszając miną za wejście w słowo. Oddał głos Condemu.

- Na tym etapie - ciągnął ów, rzucając okiem na swojego towarzysza - zostają nam dwie możliwości: jedna, która jak dotąd nie jest poparta logiką, a sprowadza się do tego, że Rafael z jakiegoś powodu się ukrywa, ale nie wiemy z jakiego. A druga to taka, że został zamordowany, ale dlaczego - tego też nie wiemy, natomiast doświadczenie dowodzi, że powód może być każdy, nawet najbanalniejszy. W każdym razie wieczorem przed zaginięciem był tu ze swoją żoną na imprezie sylwestrowej i może właśnie stąd da się wywieść nitkę, która doprowadzi nas do zaginionego. Dlatego tu jesteśmy.

Wiceminister rzucił okiem na ściankę działową i nerwowo poruszył nogą. Conde poczuł wtedy niedyskretny zapach dobrej kawy i z góry się ucieszył.

- No cóż, towarzysze - powiedział w końcu Fernández-Lorea dostojnie i wciąż się kołyszac - prawdę mówiąc, nie wiem, jak wam pomóc. Słusznie pan mówi, na Kubie nie ginie nikt, choć owszem, dużo rzeczy. To prawie miłe, prawda? No nic, pewnie oczekujecie, panowie, ode mnie opinii na temat Rafaela Morina,

no i z tym nie będzie problemu. Uważam, że Rafael był najlepszym członkiem młodej kadry wchodzącej w skład naszej dyrekcji, która zajmuje się dostarczaniem materiałów przemysłowi i negocjowaniem sprzedaży niektórych naszych produktów. Rafaela poznałem zaledwie dwa lata temu, kiedy przeniesiono mnie z Handlu Zagranicznego do ministerstwa i, mówiąc szczerze, jak tylko zobaczyłem go przy pracy, ani przez chwilę nie wątpiłem, że niedługo zajmie moje stanowisko, a ja - tu zaczął mówić ciszej, normalnie jak na taką liczbę osób, przechodząc w ton osobistego zwierzenia - ja będę mu za to wdzięczny, bo tak naprawdę nie nadaję się do tego. Stanowisko, które teraz zajmuję, to bardziej wypadek niż chęć, mówię to otwarcie, bo wolę analizy rynku w zaciszu gabinetu od codziennego chaosu w ministerstwie, który coraz trudniej okiełznać i będzie jeszcze gorzej, bo źle się dzieje w obozie socjalistycznym, nie wiadomo, czym to się skończy. Poza tym wymaga to sporo zabiegów dyplomatycznych, za którymi nigdy specjalnie nie przepadałem.

Wiceminister potarł lekko ręce, a Mario Conde poczuł się niezręcznie, niemal oszukany, bo Alberto Fernández-Lorea brzmiał autentycznie, choć wysławiał się dość sztucznie. W końcu muszą się zdarzać ludzie, którzy wcale nie chcą przypominać Rafaela, stwierdził.

- Bardzo się boję porażki, a jeszcze bardziej śmieszności - ciągnął mężczyzna, patrząc w stronę ścianki działowej - nie wiem, czy mam dostateczne zdolności jak na odpowiedzialność, jaką ponoszę, a nie chciałbym skończyć na dnie. Natomiast umiejętności i oddanie pracy tego chłopaka są imponujące, jego kariera toczy się rewelacyjnie. Co chcę przez to powiedzieć? Że Rafael Morin jest w zasadzie doskonały w pracy i ma też coś, czego mi brakuje, ambicję, i używam tego słowa w pozytywnym znaczeniu...

I wreszcie kawa wyszła z kuchni. W trzech filiżankach, na szklanej tacy, do tego dwie szklanki wody, a wszystko to niosła kobieta, dzień dobry, powiedziała, wchodząc do salonu. Ona też zbliżała się do pięćdziesiątki, ale jakby szybciej, bo było to po niej bardzo widać: wokół jej oczu wytworzył się wachlarz agresywnych

zmarszczek, a skóra na szyi była obwisła, miękka. Była to kobieta zmęczona i bez choćby najmniejszego błysku krzepy i sprawności, dostrzegalnych u jej męża.

- Laura, moja żona - przedstawił wiceminister, oni się uklonili, a gospodarz dodał: - Mario Conde i...

- Sierżant Manuel Palacios - pomógł mu Manolo.

Kobieta podała im kawę i tylko Conde pociągnął dwa łyki wody, żeby przepłukać sobie usta. Kawa był gęsta i gorzka, za co porucznik był ogromnie wdzięczny.

- To mieszanka kawy brazylijskiej, którą dostałem, z taką zwykłą. W ten sposób na dłużej starcza, a przez takie zmieszanie smakuje znacznie lepiej, prawda? Bo w końcu jakoś kawy nie za leży wyłącznie od jej czystości, ale także od przyzwyczajęń smakowych. Kilka miesięcy temu w Pradze zaproszono mnie na kawę po turecku, zapewniono mnie, że jest najlepsza na świecie, a ja ledwie dopiłem do końca, choć jeśli chodzi o kawę, to mogę na wet wypić tę lurę, co sprzedają przed Coppelią - powiedział, a goście przytaknęli.

Conde pomyślał, że Manolo musi czuć się tak samo, jak ich gospodarz w Pradze: wolał kawę bardzo słabą i mocno posłodzoną, tak jak serwują na wschodzie wyspy i jak zawsze parzyła jego matka.

- Mówił pan, że był ambitny?

- Tak, zaznaczając, że w jak najlepszym znaczeniu tego słowa, poruczniku. W każdym razie takie jest moje zdanie - stwierdził i z kieszeni koszuli wyjął paczkę papierosów. - Zapalicie, panowie?

- Dziękuję. - Conde przyjął papierosa. Czyli także pali, pomyślał. - A życie prywatne, co pan wie o Rafaelu Morinie poza pracą?

- Niewiele, panie poruczniku, naprawdę. Mam już dość zamętu w pracy, żeby się jeszcze zajmować czymś takim, nigdy mnie to nie obchodziło, wie pan.

- Ale byliście panowie kolegami? - wtrącił się Manolo, dłużej już nie mógł, pomyślał Conde, znów się ustawia jak chudy kot do ataku.

- Na swój sposób tak. Często się spotykaliśmy w związku z pracą i dobrze się dogadywaliśmy. Ale znamy się od zaledwie dwóch lat, i to tylko z pracy, jak już mówiłem.

- A trzydziestego pierwszego grudnia? - ciągnął sierżant. - Zauważył pan coś dziwnego? Wiedział pan o jego problemach z Dapeną, hiszpańskim handlowcem?

- Wiedziałem o sprawie z Dapeną, ale sądziłem, że to kwestia zamknięta, nie wiem, jakie, panowie, macie informacje. I trzydziestego pierwszego normalnie, był jak zawsze, gadaliśmy o pracy, żartował, tańczył. Drugi raz robiliśmy u nas sylwestra, dogadujemy się w gronie kilku osób i sprowadzamy prosiaka z Pinar del Río, a ja go przyrządzam na grillu u sąsiadów tu obok. Mój ojciec był kuchmistrem, więc coś tam na mnie przeszło. Uważam się za specjalistę od pieczenia wieprzowiny.

- Czyli nie wyglądał na zmartwionego?

- Z tego co zauważyłem, nie. Nawet nie wypił za dużo, mówił, że ma coś z żołądkiem.

- A w firmie nie miał jakichś kłopotów, czegoś, co by go mogło skłonić do zniknięcia?

Wiceminister spojrzał na Condego, jakby rozważając intencję tego pytania. Oczy błyszczały mu intensywniej, jakby wyczuł zagrożenie. Zastanawiał się przez chwilę.

- Cóż, kłopotów może być dużo i różnych, ale żeby ktoś taki jak Rafael Morin postanowił zniknąć, musiałoby dojść do jednej rzeczy. Z tego, co wiem, mamy tam jakiś problem, ale tak czy inaczej major Rangel poprosił mnie o zgodę na przeprowadzenie śledztwa w firmie, więc pewnie panowie jutro zaczniecie, tak? - Rozłożył ręce, a Manolo przytaknął. - Oby nie, to by było straszne, ale śledztwo jednoznacznie to rozstrzygnie, więc proszę na mnie teraz nie naciskać, żebym coś tu wyrokował. Jak na razie Rafael Morin pozostaje wspaniałym współpracownikiem, a zdanie zmienię, jeśli się okaże, to znaczy jeśli zostanie udowodnione coś przeciwnego. Poczekamy.

- Ostatnie pytanie, towarzyszu - interweniował Conde, żeby zapobiec kolejnej ofensywie Manola. Przeczuwał, że przestrach wiceministra jest trochę zbyt wyraźny, żeby chodziło tu tylko

o spekulacje. Być może Fernández-Lorea czegoś się domyśla, a może coś wie. - Nie chcemy panu zabierać więcej czasu, zwłaszcza że niedziela. Jakimi środkami dysponował Rafael Morin, jeśli chodzi o zakupy za granicą? To znaczy na kupowanie prezentów w czasie wyjazdów, poza tymi, które przywoził do domu.

Fernández-Lorea klasycznie wyraził zdumienie: lekko zmarszczył brwi, potem poruszył stopą, jakby czekał na następną kawę. Jednak odezwał się, i to znów głosem przeznaczonym na spotkania z grupą liczniejszą niż trzy osoby.

- No więc środków, w znaczeniu takim, o jakim pan mówi, nie miał żadnych. Podróżował z dietą właściwą dyrektorowi firmy plus koszty reprezentacyjne, zależnie od rodzaju interesów albo badań rynkowych, które miał przeprowadzać. Nasza firma ma w tym aspekcie pewną autonomię, bo często musimy nabywać produkty bardzo specyficzne, czasem na przykład wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych, a wtedy nie można stosować tradycyjnych dróg, tylko uciekamy się do pomocy osób trzecich, tak jak w Panamie, żeby podać jakiś przykład. I wie pan, prawie wszędzie na świecie interesy załatwia się w trakcie jedzenia, trzeba dawać prezenty, niecodziennie ma się do dyspozycji samochód w ambasadzie albo biurze handlowym... On dysponował tymi pieniędzmi, czasami było tego sporo, i choć jesteśmy na tym punkcie bardzo ostrożni, bo zdarzają się regularnie wizytacje, kontrole stanu kont, analizy kosztów oraz dwa audyty rocznie, często księgowość nie jest aż tak dokładna, jak byśmy chcieli, z wielu przyczyn, no i wtedy kluczowa jest sprawa zaufania. A według wszelkich dostępnych mi informacji, jemu można było ufać. Z drugiej strony, poruczniku, wielu biznesmenów, z którymi pracujemy, ma zwyczaj dawania kosztownych prezentów po sfinalizowaniu kontraktu. Mnie na przykład chcieli dać bmw dwa miesiące temu w Bilbao, a moja łada stała tu sobie u blacharza... No i cóż, ponieważ towarzysze pracujący w tej sferze zawsze są godni zaufania, no to jeśli prezent nie jest bardzo znaczny, jeśli to coś bardzo osobistego, to taki towarzysz może go sobie zatrzymać.

- Były jakieś problemy w związku z niektórymi prezentami?

- Tak, niestety się zdarzają.

Conde poczuł, że Fernández-Lorea rozmawia na temat, który z każdym słowem staje się dla niego coraz mniej przyjemny, i już miał podziękować, kiedy usłyszał Manola.

- Proszę wybaczyć, towarzyszu Fernández, ale ta informacja może nam bardzo pomóc. Takie diety, środki reprezentacyjne i inne, kto je przyznawał Rafaelowi Morinowi?

Zapytał Manolo, a Conde miał ochotę śmiać się i płakać jednocześnie, w każdym razie należał mu się solidny kopniak w tyłek: Manolo uderzył właśnie w czułą strunę.

- Zasadniczo ja je przyznawałem. W firmie jestem jego szefem - przyznał Fernández-Lorea, wstając.

- A co się stało z poprzednim dyrektorem firmy - drażył Manolo - tym, którego zastąpił Rafael Morin?

- Został usunięty mniej więcej z powodu tego typu problemu, diety i rozrzutność finansowa, ale nie, nie wierzę, że to samo może przydarzyć się Rafaelowi. W każdym razie nie chcę w to wierzyć, bo nigdy bym sobie czegoś takiego nie wybaczył. Panowie uważacie, że to jest powód jego zniknięcia?

- Mamy go, kurwa, chyba go mamy! - Manolo prawie krzyczał, przekuwając swoje zadowolenie na prędkość. Jechali Piątą Aleją, a Conde oparł się rękami o schówek przed siedzeniem.

- Zwolnij, Manolo, spokojnie - poprosił sierżanta i odczekał, aż prędkościomierz opadnie do siedemdziesięciu. - Mam wrażenie, że teraz się wreszcie dowiemy, dlaczego zaginał Rafael Morin.

- Ty, a przyjrzałeś się temu Fernándezowi? Ma twarz jak Al Pacino.

Conde uśmiechnął się i spojrzał na nieskazitelny centralny deptak alei.

- Niech to szlag. Od samego początku miałem wrażenie, że skądś gościa kojarzę, a to właśnie o to chodzi: identyko z Alem Pacino. Widziałeś ten film, w którym jest kierowcą rajdowym?

- Nie przypominam sobie teraz żadnego filmu, Conde. Mów, gdzie jechać.

- Może najpierw coś przekąsimy, a potem namierzymy dyrektora finansowego firmy. Trzeba sprawdzić, czy Chinka Patricia może się z nami wybrać, żeby to ona z nim pogadała. Dobrze w tym wszystkim jest to, że zaczyna to wszystko podejrzanie wyglądać

Lunch stanowił rekompensatę, a nawet poważną zaletę pracowania w niedzielę. Ponieważ gotowano dla ledwie dwudziestu osób, niedzielny posiłek w centrali przynosił niespodzianki, które czasami ocierały się swoim wyrafinowaniem o standardy dobrej restauracji. Tej niedzieli podano kurczaka z ryżem ugotowanym tak, że miał konsystencję właściwą *paelli*, soczysty i ciężki, lekko żółtawy i pachnący. Do tego dojrzałe smażone banany oraz sałatka z zielonej sałaty i rzodkiewki uzupełniały zestaw zwieńczony deserem - ryżem na mleku solidnie posypanym cynamonem. Nawet jogurt był owocowy i można było wybierać między truskawkowym i ananasowym. Conde, który poprosił o dokładkę kurczaka z ryżem, palił swojego drugiego deserowego papierosa, wyglądając przez okno w swoim pokoiku, choć niczego tam nie widział. Rafael Morin przemawiał do niego ze szkolnej trybuny i Conde słuchał, stojąc samotnie na szkolnym dziedzińcu, kiedy nagle wkroczył Manolo, przeklinając głośno.

- Nie nastawiaj się, Conde, dyrektora finansowego nie ma. Wyjechał wczoraj koło południa do Związku Radzieckiego na wyjazd motywacyjny.

- W tym Rafael Morin maczał palce, głowę dam. Mniejsza o to, możemy poczekać do jutra. I tak nie spodziewałem się, że dyrektor finansowy firmy dużo nam powie. Idziemy.

- A gdzie znowu? Przecież ten dyrektor...

Próbował protestować, ale Conde wyszedł z klitki i bez słowa ruszył w stronę parkingu.

- Jedź przez G na Boyeros - polecił Conde, kiedy wsiedli do auta.

- A powiesz mi może, gdzie jedziemy? - zapytał Manolo, który nie rozumiał zachowania porucznika, choć przypomniały

mu się pierwsze słowa, jakie na jego temat usłyszał: Jest trochę stuknięty, ale...

- Zobaczmy się z Garcíą, tym ze związków, ale nie martw się, dziś skończymy wcześniej. Przede wszystkim chciałbym, żebyś usłyszał, co Garcíą powie nam, jak sędzę, o wielkim Morinie... A stamtąd możesz już pędzić do domu.

Minęli Rancho Boyeros i zatrzymali się na światłach obok dworca autobusowego.

- A co zrobimy, jeśli Zoila się objawi?

- Przyjedziesz po mnie, jakby ci się w tyłku paliło, migiem. Ja wpadnę do Tamary, muszę z nią pogadać, a potem zajrzę na chwilę do kumpla ze szkoły, to jakieś dwie przecznice od Chudego, więc na końcu do niego skoczę. Znajdziesz mnie w którymś z tych miejsc. Ważne jest to, żebyś tak czy inaczej pogadał z Chinką i przekazał jej, że jutro wcześniej rano jedziemy do tej ich firmy.

- Prosto mam jechać?

- Nie, odbij w stronę placu Rewolucji. Garcíą mieszka na Cruz del Padre, obok stadionu - odpowiedział Conde i przypomniał sobie, że wczoraj wieczorem Industrialni przegrali pierwszy mecz kolejki z Vegueros i jeśli dziś znowu dadzą ciała, to rozmowa z Chudym stanie się niezbyt konstruktywnym doświadczeniem, przynajmniej jeśli chodzi o dobór słownictwa. Ciągły pogłos dobiegający od strony stadionu obiecywał emocje, w których Conde chętnie by uczestniczył. Ale w niedzielę też trzeba pracować.

Wiecie, towarzysze, może towarzysz Morin miał jakieś kłopoty związane z funduszami na diety, skoro o tym, panowie, wspominać, wiecie więcej o tych sprawach i może macie rację, ale ja, Manuel Garcíą Garcíą, w to nie uwierzę, dopóki nie zobaczę dowodów, i przepaszani za szczerość... Nie żebym się jakoś upierał czy coś takiego. Ja po prostu od dawna znam Rafaela, znaczy towarzysza Morína, i całkowicie mu ufam, więc jeśli będę musiał potem złożyć samokrytykę, to ją złożę, ale to poważna sprawa i trzeba by tego dowieść, prawda? Widzicie, panowie, pewnie są w firmie ludzie, którzy myślą inaczej niż ja, niektórzy mówią, że



za bardzo centralizował wszystko, że wszystkiego doglądał, zarzucano mu to na niejednym zebraniu, w charakterze krytyki, i on to przyjmował, bo umiał być krytyczny wobec samego siebie, a to z centralizacją to on sam kilka razy poruszał, tyle że potem i tak wszystko znów przechodziło przez jego ręce, i mnie się wydaje, że on tak robił, bo to wielu pasowało, że on wszystkim się zajmował, no i dlatego też, że inaczej nie umie prowadzić spraw. Ale ci sami, co go krytykowali, przyznawali też, że prawie wszystko mu się udawało, a to zapewniało mu prestiż, w końcu to chyba ma znaczenie, nie? My w związkach nigdy nie mieliśmy z nim problemów, a ja byłem w zarządzie, jeszcze zanim on się pojawił w firmie, więc kto jak kto, ale ja wiem, jak to wszystko działa. Co więcej, on sam podczas posiedzeń partyjnych zwracał mi uwagę, że czasami bywamy trochę pasywni, a ja mu odpowiadałem, ależ towarzyszu Rafaelu, z normami jesteśmy na bieżąco, spełniamy standardy prac ochotniczych, realizujemy planowane działania i zbieramy uwagi członków na zebraniach, no to czym jeszcze ma się zajmować związek zawodowy? Prawda, towarzysze? W firmie nie zdarzały się żadne problemy natury służbowej od czasu tej afery namotanej przez trzech specjalistów z działu zakupu dewiz, bo nigdy nie wyjeżdżali za granicę, to się zdarzyło, zanim jeszcze zostałem generalnym sekretarzem, jakiegoś, zaraz, chyba z dwa lata temu, o ile pamięć mnie nie myli, i dla mnie było jasne, że to są kwestie ambicjonalne u tych ludzi, bo nie podróżowali do krajów kapitalistycznych, ale na jednym zebraniu Partii i związku towarzysz Rafael wyjaśnił nam, że decyzje administracyjne stanowią część kompetencji władz administracyjnych, a administracja miała podstawy do podejmowania takich decyzji, więc niewiele później ci trzej przenieśli się do jednej z tych nowych korporacji, które się teraz uruchamia. I kiedyś Rafael powiedział mi, znaczy towarzysz Morin, bo on był taki konkretny: „Widzisz, García, im tylko chodziło o to, żeby sobie wyjeżdżać”. Tak, tak, z innymi towarzyszami miał doskonałe stosunki i to, co panom powiedziała Zaida, to prawda, on się interesował wszystkimi, mnie nawet, a jestem przecież zwykłym liderem związkowym, przyznał podróż motywacyjną do Czechosłowacji, znaczy to nie on mi ją przyznał,

ale mnie zaproponował i mówił o mnie dużo na zebraniu. A że szanują go wszyscy, to wiadomo... Nie, nie kolegowaliśmy się prywatnie, w każdym razie nie tak, jak ja rozumiem koleżeństwo, nie? on parę razy wpadł do mnie do domu, kiedy mi żona zachorowała, a potem zmobilizował całą firmę, żeby przyszedli na czuwanie i pogrzeb. I choć czasami sobie myślę, że on trochę dziwny jest, takich rzeczy się ludziom nie zapomina, więc trzeba pamiętać o wdzięczności, bo bycie niewdzięcznikiem to najgorsza rzecz na tym świecie. Więc panowie mi wybaczą, ale ja nie uwierzę, póki nie zobaczę. Że dziwny? Nie, nic, takie tam moje gadanie, jakies tam manie miał, na przykład, żebyśmy mu zdobywali dużo warzyw do jedzenia, a kiedy był w firmie, trzeba było dwa razy dziennie sprzątać w gabinecie, albo powiedział szoferowi, żeby wprawił czarne szyby do auta, przez które nie widać, kto tam siedzi, takie tam. Jak mówię, głupoty takie. A poza tym to zapytajcie kogokolwiek, nawet tych, co go krytykowali, wszyscy się bardzo przejmują tą sytuacją i nikt nie rozumie... Czy to prawda, że go zamordowano i okradziono, towarzysze?

- Nie masz już dość słuchania peanów na cześć Rafaela? Nie wydaje ci się, że się mylimy i że on naprawdę jest wspaniałym dyrektorem, nie ma żadnych kłopotów, nie było żadnych hec z dietami czy kosztami reprezentacyjnymi? Nie masz wrażenia, że to sam Bóg Ojciec wszechmogący, nieskazitelny, porządny, czyni dobro, rozdaje laski, przywileje i podróże, jakby był jakimś gromowładnym? Czy może jednak wierzysz, że to cwany sukinsyn, który to wszystko wykalkulował i uwielbiał poczucie władzy?

- Conde, Conde, zaraz ci żyłka pęknie...

- Nie przejmuj się, współniku, wkurwienie staje się moim normalnym stanem psychicznym.

- Dobra, podrzucić cię pod dom tej twojej znajomej?

Conde przytaknął, zastanawiając się, co ma teraz powiedzieć Tamarze i czy rzeczywiście ma po co ją odwiedzać. Perspektywa ponownego spotkania z nią wprawiała go w nerwowość i zmieszanie: chciał wyrwać się z uniwersum Rafaela Morina, ale Tamara

działała na niego jak magnes przyciągający do samego centrum tego świata, zmuszała go do powrotów, tak jak to czynią mordercy na miejscu zbrodni.

- Wiesz co, Manolo, jeszcze jest wczesnie. Stawiam drinka. Muszę się rozluźnić.

- Czyżby jakaś nielegalna propozycja, współniku?

- Nielegalna, ale nęcąca - odpowiedział i wreszcie się uśmiechnął.

- Prawda, że dawno się już nie sponiewieraliśmy.

- Skręć w Lacet i zaparkuj na rogu przed Mayia.

Sierżant Manuel Palacios posłuchał i wmanewrował samochodem między ciężarówkę i taksówkę, w przestrzeń tak małą, że Conde nie zmieściłby się tam nawet rowerem. Zamknęli auto, Manolo odkręcił antenę i ruszyli w stronę Mayia Rodríguez, gdzie był zdumiewająco czysty i dobrze oświetlony bar, niemal pusty o tej południowej porze. Na lodówce stały w rzędzie butelki rumu Santa Cruz, z etykietkami z fałszywym herbem królewskim, kilka nalewek Havana Club oraz anyżówka, której żaden prawdziwy Kreol nie zamówiłby nawet w dobie najgorszego kryzysu.

- Dwa razy bacardi, bracie - odezwał się Conde do barmana i przysunął swój stółek do Manola. W lokalu siedziało kilku klientów, bez wątpienia stałych bywalców, którzy stawiali czoło nudzie niedzielnego południa, popijając rum z kubków na kompot, przez co musieli mocno się odchylać, żeby dopić do dna, a barman puszczał na swoim magnetofonie coś w rodzaju przeglądu boler dla pijących za dnia: Vicentico Valdés, Vallejo, Tejedor i Luis, Contreras, którzy snuli długą opowieść o miłosnych zawodach i tragediach, bardziej pasujących do rumu niż do piwa czy coca-coli. Nie było na to rady: Conde zawsze przyglądał się zwyczajnym klientom podrzędnych spelun i próbował sobie wyobrazić, dlaczego każdy z nich się tu znalazł, co się dzieje w ich życiu, skoro przez lata inwestują tyle czasu i gotówki, żeby wciąż śpiewać te same, pełne cierpienia piosenki, podkreślające jeszcze ich samotność, rozczarowanie życiem, długie zapomnienie i bolesną zdradę, więc należy jeszcze jednego, *brother*, sączą te marne i stęchłe alkohole, a ręce zaczynają im już drżeć z przepicia. Angażował w te rozważania

resztki swojej wiedzy niedorobionego psychologa, dokonując przy okazji autopsychoanalizy, zastanawiając się, co on tu robi razem z tamtymi, żeby ostatecznie zamaskować prawdziwą odpowiedź: po prostu lubię być w takim miejscu, czuć się trochę nieszczęśliwy i zapomniany, zamawiać następnego, *brother*, słuchać, o czym rozmawiają inni, rozmawiać ze sobą i czuć, jak upływa czas, zostawiając nas w spokoju. Czasami zamawiał drinka, żeby przemyśleć jakąś sprawę albo żeby o jakiejś zapomnieć, żeby coś uczcić albo żeby wspominać, albo po prostu dlatego że takie speluny są fajniejsze niż bary z wysmukłymi kieliszkami i kolorowymi koktajlami, te eleganckie bary, do których nie zapuszczał się już od milionów lat.

- Na co miałbyś teraz ochotę, Manolo? - zapytał kolegę, którego pytanie zaskoczyło w trakcie pierwszego łyka.

- A bo ja wiem, na to, żeby obalić parę drinków tutaj, a potem iść do Vilmy i mieć spokój do jutra, o, właśnie na to - odpowiedział tamten i wzruszył ramionami.

- No a gdybyś nie szedł do Vilmy?

Manolo przyjrzał się swojemu drinkowi z miną wytrawnego kiperka, a źrenica jego lewego oka powoli przesunęła się w stronę nosa.

- Chyba miałbym ochotę posłuchać muzyki. Zawsze mam ochotę na muzykę. Chciałbym mieć dobrą wieżę, z tymi wszystkimi wzmacniaczami i innymi gadżetami, i dwie potężne kolumny i położyć się na podłodze, po jednej kolumnie z każdej strony głowy, bardzo blisko ucha, i słuchać tak godzinami. Wyobrazasz sobie, Conde, że mój stary nigdy nie miał stu czterdziestu pesos, żeby mi dać na gitarę? Jakbym dostał taką zwykłą polską gitarę, tobym był najszcześniejszym człowiekiem na świecie, ale jak się jest synem kierowcy autobusów, który za swoją pensyjkę musi utrzymać sześć osób, szczęście musi kosztować znacznie mniej niż sto czterdzieści pesos.

Conde pomyślał, że racja, że szczęście może być bardzo drogie, i zamówił następnego podwójnego. Przyglądał się ulicy, skapaniej w słońcu i zimnej, po której jeździły pojedyncze samochody, i poczuł się zupełnie oczyszczony i spokojny. To był dobry dzień, żeby

trochę wypić i iść do łóżka z kobietą, tak jak miał to w planach jego kolega, albo wsiąść z Chudym do autobusu i przemęczyć się cztery godziny na stadionie. To było dobre popołudnie, żeby być żywym i szczęśliwym z gitarą albo bez, i kiedy przetykał rum, a jego gardło było mu za to wdzięczne - znane i błogie ciepło białego rumu - pomyślał, że on także niejednokrotnie był szczęśliwy i kiedyś znów będzie, i że samotność nie jest przypadłością nieuleczalną, i może kiedyś odzyska dawne złudzenia i będzie miał dom w Cojimar, bardzo blisko plaży, drewniany dom z dachówkami, z gabinetem do pisania, i nie będzie już zajmował się mordercami, złodziejami, sprawcami i ofiarami, i Rafael Morin przestanie mieszać mu w sentymentach, na powierzchni pozostaną tylko dobre wspomnienia, tak jak być powinno, te, które czas ocala i chroni, żeby przeszłość nie stawała się strasznym i odpychającym ciężarem, żeby człowiek nie musiał iść prosto na most, by zrzucić do rzeki kamień twojej miłości, jak właśnie śpiewał Vicentico Valdés.

- Posłuchaj tego uważnie - odezwał się do Manola z uśmiechem. - Jak sobie człowiek walnie dwa głębsze, ma ochotę usłyszeć coś takiego: „Pójdę na most, trudna rada / miłość twą wrzucić do rzeki / niech leci, jak kamień, daleki / i na dno opada"... Prawie urocze, co?

- Skoro tak twierdzisz - zgodził się sierżant i znów zaczął się przyglądać drinkowi.

- Słuchaj, Manolo, a tak w sumie to ty masz zęza, czy co?

Manolo zaśmiał się, nie odrywając wzroku od szklanki, z lewym okiem błędzącym gdzieś niezależnie.

- Jednego dnia tak, drugiego nie - odpowiedział i dopił drinka. Spojrzał na kolegę i pokazał mu pustą szklankę. - A ty na co miałbyś teraz ochotę?

Conde też dopił i przez chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

- Poprosiłbym cię o pozwolenie na wykorzystanie tej wielkiej wieży, wałnął się tak samo na ziemię i zapodałbym sobie *Strawberry Fields Forever* dziesięć razy pod rząd.

Nigdy nie podobał mi się ten strój. Człowiek w czymś takim wygląda jak palant, protestował Jankes Alexis, bo taka była prawda: podkolanówki, czapka, fioletowy napis i rękawy na kurczaczkowo-żółtym tle, a do tego spodnie, które zawsze były za szerokie, a nie mogliśmy ich po prostu zwięzić, bo Antonio Mucha, profesor, który robił za menedżera zespołu, uprzedził nas, że po zakończeniu zawodów musimy wszystko oddać i rzeczy mają być w takim samym, albo nawet lepszym stanie, takie tam pieprzenie, tak jakby ktoś miał ochotę zatrzymać sobie te łachy, przez które dorobiliśmy się miana „Fiołków z La Víbora”. W zawodach rywalizowało sześć liceów, ale oczywiście nas traktowano najgorzej. Po aferze z egzaminami generalnie wszędzie mieliśmy pod górkę, od obozów pracy społecznej po stroje dla zawodników, zawsze przydzielano nam najgorsze, bo jak zaczęli grzebać i szukać, to najpierw odkryli, że mieliśmy najwyższą średnią dzięki oszustwu, a najwyższą wydajność przy żniwach trzciny cukrowej dzięki zaufanej osobie w punkcie zbiorczym, która zaliczała na nasze konto zbiory innych szkół, i czort jeden wie, co tam nam jeszcze wynaleźli.

Ponieważ Andrés, który był podstawowym zawodnikiem naszej drużyny, nie zamierzał mieć nic wspólnego z baseballlem po tym, jak zwichnął sobie kostkę i nie mógł brać udziału w Narodowych Mistrzostwach Młodzieży, kazali mi pilnować pierwszej bazy, chociaż byłem ósmym uderzającym, i po mnie był już tylko Aresnio Maur, kompletny lewus przebrany za zawodnika - albo za palanta, w tym idiotycznym stroju.

Kiedy wyszliśmy na rozgrzewkę, było już ciemno i włączyli reflektory, potem pojawili się ci z liceum La Habana, potężni Murzyni z wielkimi łapami, rozszarpia nas na strzepy, tak jak to zrobili z innymi drużynami, ale nasi góra, darliśmy się przed meczem, pokonamy tych cieniasów, cholera, stwierdził Chudy i nawet Maur i ja w to uwierziliśmy. Najgorsze były te stroje, bo stadion świeżo odmalowano, reflektory super, połowę ławek zajęli ci z La Habana, a połowę nasi, hałas był niesamowity, a tu człowiek w takim stroju jakbyśmy w cyrku występowali.

Ponieważ w drużynie graliśmy: Chudy, Isidrito Guajiro (tego dnia miał być miotaczem), Pietrek i ja (nazywali mnie Skucha,

bo generalnie marnie trafiałem kijem), prawie wszyscy z naszej klasy przychodzili na mecze, na czele z Tamarą, która odpowiadała za sprawozdania z wyników, a do tych zaliczały się zajęcia pozaszkolne, a więc także mecze baseballowe w ramach zawodów międzyszkolnych, no a ludzie zawsze wolą mecz niż coś innego - na przykład wyjście do muzeum czy wysłuchanie recitalu szkolnego chóru. Nasi koledzy i koleżanki z klasy wymyślili nawet hasło, które wykrzykiwali zawsze, gdy mieliśmy wybijać: „Fiołki, Fiołki / Mucha i jego drużyna / nic ich nie powstrzyma”, ale nasi przeciwnicy zrobili przeróbkę i śpiewali nam: „Fiołki, Fiołki / partacze i matołki”, więc w sumie więcej na tym traciliśmy. Tak czy inaczej uwielbiałem grać w drużynie, stać w świetle reflektorów i czuć, że na wszystko można spojrzeć z innej perspektywy: bo to nie to samo widzieć zawodników z trybuny, co patrzeć na widownię z boiska. Zupełnie co innego.

- Jaja, panowie, jaja, to właśnie trzeba mieć, żeby wygrać - krzyczał Chudy z ławki, kiedy mecz miał się zacząć, dla niego, kiedy szło o baseball, to przestawała być zabawa, a taki był chudy, że widać mu było wszystkie nabrzmiałe żyły na szyi. - A nam tego nie brakuje, prawda, do cholery?

I trzeba mu było przytakiwać, bo mogło go tam trafić, a ponieważ my byliśmy gospodarzem i mieliśmy zaczynać w polu, publiczność gwizdała (ci z La Habany) i biła brawo (ci z La Vibory), i wtedy popatrzyłem na widownię, żeby zobaczyć wszystko z innej perspektywy, i zobaczyłem Tamarę machającą fioletową chusteczką, i odeszła mnie wszelka chęć gry, bo dostrzegłem przy niej siedzącego jak pies policyjny eksprzewodniczącego Federacji Uczniów Szkół Średnich. Rafael Morin uśmiechał się swoim niezniszczalnym uśmiechkiem, zadowolony i promieniujący, tak samo jak tego dnia, kiedy nam powiedział: Jestem Rafael Morin, on tam wysoko, ubrany w świetną koszulę w kratę, a my tu na dole przebrani w te kretyńskie stroje.

Ale mimo wszystko to był najlepszy mecz mojego życia. Tego dnia Isidrito wypił dwa litry czystego mleka, mówił, że to dobrze robi na celowanie, i prawdą jest, że dawał ostro, tyle że ciągle pierdział jak z armaty... I Guajiro zaczął trzaskać Murzynków

z La Habany, i prawie żadnemu nie udawało się dobiec do bazy, a nawet jeśli dobiegał, też było mu to na nic, bo nie zaliczał punktów. A nam szło dobrze, choć w pewnym momencie może trochę gorzej, bo Yayo Maślak, miotacz La Habany, też się rozgrzał i przywalił nam siedem zer, a ludzie na widowni robili się coraz cichsi, gra się stawała poważna i najlepsze zostawało na koniec, a jakże.

Było zero zero i ósma runda, kiedy wybijać miał Chudy, nasz piąty uderzający, i walnął tak mocno, że nasi spokojnie zaliczyli drugą bazę. No i wtedy zaczęło się dziać: ludzie wołali „Fiołki, Fiołki!”, a Chudy jeszcze: „Jaja, tak, trzeba mieć jaja!”, że aż go sędzia opieprzył za brzydkie słowa. I wszystko zależało od kaprysów cholernego losu, bo Isidrito, który był szóstym uderzającym i nigdy nie chybiał, tym razem spudłował, i to był pierwszy out, a Paulino Bycze Jajo, który był siódmy, puścił szczura prosto w ręce Yayo Maślaka, który oblesnie rutynowo potarł sobie piłkę o krocze, potem rzucił i był drugi out. I wtedy przyszła moja kolej.

A ja prawie robiłem już w majtki, nogi mi dygotały, dłonie się pociły, wszyscy patrzą w milczeniu i tak dalej, nawet Chudy, który mnie przecież dobrze znał, przestał krzyczeć i sędzę, że uznawał sprawę za już przegraną. Więc wziąłem pałkę, splunąłem w dłonie i potarłem je o ziemię, przypomniałem sobie, że muszę trzymać kij mocno odchylony do tyłu, unieść łokieć i mocno zacisnąć, kiedy będę machał pałką, kompletna cisza, a Yayo Maślak zapodał mi taki rzut, że już miałem śmierć w oczach, ale pomyślałem, no dobra, zamachnąłem się, uniosłem łokieć, docisnąłem, zamknąłem oczy i odwinąłem się pałką. I poszło jak diabli: kurwa! piłka odbiła się równo, w sam środek pola, tak mocno, jak nigdy w życiu, a ja patrzyłem, jakby to był jakiś film, piłka leciała, leciała, aż w końcu walnęła w ogrodzenie pod tablicą z wynikami, więc rzuciłem się biegiem, i tyle to trwało, że mogłem dobiec do trzeciej bazy, choć w sumie dałoby się zaliczyć wszystkie bazy, ale był wrzask, ale radość, Chudy zaliczył punkt, a potem podbiegł do trzeciej bazy i rzucił się na mnie z uściskami, Isidrito, który nie odzywał się do mnie od dnia, kiedy się pobiliśmy, aż mnie ucałował z radości, i cała drużyna przyleciała



klepać mnie w tyłek, w końcu sam sobie na to zasłużyłem, nie? i w całej tej radości i wrzaskach kibiców spojrzalem na ławki na trybunach, żeby widzieć wszystko z innej perspektywy, i poczułem, że umieram: Tamara i Rafael już sobie poszli...

W dziewiątej rundzie ci z La Habany zaliczyli dwie bazy i pokonali nas dwa do jednego. Ale i tak był to najlepszy mecz mojego życia.

Zanim zastuka do drzwi, patrzy na zegarek: czwarta dziesięć. Jeśli zrobiła sobie sjęstę, to już zdążyła wstać. Może oglądała niedzielne filmy, myśli, a potem stwierdza, że nie wie właściwie, po co przyszedł, a może jednak wie, tylko nie chce sobie tego uzmysłować. Falszywe figury Lama spoczywają w cieniu drzewa kapokowego, być może posadzonego koło tej betonowej dżungli celowo, a wokoło dobrze podlane krotony i gęste przywrotniki tworzą wrażenie, że się przebywa w kolorowym i sztucznym, ale zdecydowanie atrakcyjnym lesie. To prawda, przypomina sobie słowa Manola, to nie jest dom dla policjanta, ale dotkliwa nostalgia, którą wzbudza w nim to miejsce, jest tak intensywna, że napiera mu na skronie i piersi. Stwierdza, że to dobrze, że napił się z Manolem, i naciska guzik dzwonka, po czym czuje się spokojny i rozluźniony.

Dzwonek dźwięczy w środku jego głowy, Conde zapala papierosa i poprawia sobie regulaminowy rewolwer, nigdy się nie przyzwyczai do jego ciężaru, ona w końcu otwiera, uśmiecha się i mówi:

- No proszę, Księżę Wielkiego Miasta. Oglądałam wczoraj ten film i żał mi się zrobiło policjantów, tacy smutni. Choć ten to akurat nie jest do ciebie specjalnie podobny - i usuwa się na bok, żeby go przepuścić.

- Ostatnio do samego siebie nie jestem nawet podobny - odpowiada on, a ona zamyka drzwi i idą w stronę salonu. - Chcesz dalej oglądać?

- A nie, widziałam to już z trzy miesiące temu. Rafael przyniósł kasetę, ale nudziłam się i... - Siada na miękkim fotelu, takim samym jak jego. - Przysypiałam już prawie. W nocy nie mogłam spać.

Zasłony są zasunięte i do pokoju przedziera się z zewnątrz niewiele chłodnego blasku. On szuka popielniczki i w końcu jakąś znajduje, metalową, ze skrytką na popiół i niedopałki. Jest taka czysta i błyszcząca, że dotyka jej kilka razy, aż wreszcie mówi:

- Kto tu sprząta, Tamaro?

- Taka pani zaprzyjaźniona z mamą. Przychodzi dwa razy na tydzień, a co?

On się uśmiecha, ale smutno.

- Nie ma żadnych nowości, co, Mario?

- Stoimy w miejscu - kłamie, nie czując ani odrobiny wyrzútów sumienia, i zastanawia się, ile tak naprawdę wie jego dawna koleżanka ze szkoły.

- Tak myślałam. Moja teściowa dzwoniła do mnie rano i powiedziała, że byliście u niej. Biedaczka, płakała mi do słuchawki.

- Normalne, nie? Potem rozmawiałem z Fernandezem-Loreą i potwierdził, że twój mąż to fantastyczny facet. A potem z Garcíą, tym ze związków zawodowych, który tak samo jak wszyscy uparł się, żeby opowiadać mi peany na cześć twojego małżonka. No i nic, przekonali mnie.

- Wspaniale - odpowiada ona i jej migdałowe oczy błyszczą z jeszcze większą intensywnością. Ale on wie, że ona nie będzie z tego powodu płakać. - Mam wrażenie, że szukasz dziury w całym.

- Mam ci coś szczerze powiedzieć? Ja na to nie idę. Też znam Rafaela i, wybacz, ale widziałem, jak robił rzeczy, które wcale mi się nie podobały.

- A jakie? - dopytuje ona i znów walczy z niepokornym kosmykiem.

- Nie, nic, głupoty, nie przejmuj się, tylko że w końcu człowiek nabiera uprzedzeń.

- A co ci powiedział Alberto?

On przygląda się *Florze* Portocarrery, która wisi na jednej ze ścian salonu. Czyta napis na krawędzi: „Dla Ciebie, Valdemiro, od twego przyjaciela René”, i stwierdza, że podobają mu się błękity zastosowane przez mistrza przy malowaniu fryzury Flory, jest zimniejsza, ale bardziej żywa, i zauważa też, że tak jak wszystkie Flory, patrzy mu w oczy ze spokojną ufnością.

- Naprawdę, nic nowego. Pracujemy teraz nad odnalezieniem niejakiej Zoili, która przepadła bez śladu. A jutro idziemy do firmy, zobaczymy, czy coś się okaże.

- Co byś chciał odkryć, Mario?

Ona zakłada nogę na nogę i przygląda mu się, jakby nagle stał się bardzo dziwną, nigdy wcześniej nieoglądaną istotą. Natomiast on potrafi się skupić tylko na jej nodze oraz ubraniu, które - bardzo długi biały pulower - odsłania prawie całe uda.

- Dlaczego poszłaś sobie tego dnia, kiedy graliśmy mecz?

- Co takiego? - Jest zdziwiona.

- Nie, nic. Chcę znaleźć twój męża i dowiedzieć się, dlaczego zniknął... I chcę wiedzieć, jak się czujesz.

Ona znów próbuje okiełznać niepokorny kosmyk, a potem kładzie głowę na oparciu fotela.

- Czuję się kompletnie zagubiona. Dużo myślałam - mówi i zaraz wstaje. On patrzy, jak zbliża się do biblioteki, i już na sam widok jej chodu przypominają mu się onanistyczne praktyki zeszłej nocy, że aż prawie jest mu wstyd, jak bardzo podoba mu się ta kobieta, ona zaś wraca z ballantine'sem i dwiema szklankami. Przysuwa stolik bliżej foteli i nalewa sporo kasztanowego płynu do naczyń, Conde czuje uderzenie dębowego zapachu.

- Czego ty się boisz, Tamaro?

- Boję? - Zastanawia się i znów na niego patrzy. - Niczego, Mario. A ty?

On czuje wytrawne gorąco whisky na języku i myśli, że powinien zdjąć kurtkę.

- Wszystkiego. Tak, wszystkiego. Tego, że Rafael nie żyje albo że żyje i się odnajdzie, i znów wszystko będzie tak samo. Lat, które przelatują obok i wykańczają mnie oraz moje marzenia. Że Chudy umrze i zostanę sam, i to z jeszcze większym poczuciem winy. Że mnie z kolei zabiją papierosy. Że źle wykonuję swoją pracę. Samotności, o, samotności to się bardzo boję... Że się zakocham w tobie, żonie Rafaela, która żyje w tak doskonałym i czystym świecie, i całe życie mi się podobała - mówi i patrzy na Florę, spokojną i odległą, i czuje, że nie potrafi już przestać mówić.

Tego dnia, w którym jego życie się zmieniło, Mario Conde zastanawiał się, kto steruje ludzkimi losami. Kilka dni temu skończył powieść Thorntona Wildera *Most San Luis Rey* i pomyślał, że on też mógłby być jedną z tych siedmiu osób, które los spotkał na starym moście w wicekrólestwie Peru dokładnie w tej chwili - pośród milionów innych chwil - kiedy pękły stare sploty łożyny, wydając ostateczny trzask. Cała siódemka wpadła w przepaść, miał obsesję na punkcie tego obrazu siedmiu osób lecących wyżej niż kondory, i śledztwo, klasycznie policyjne, prowadzone przez inną postać po to, by znaleźć niemożliwe do znalezienia powody, dla których ci mężczyźni i kobiety, którzy nigdy wcześniej nie mieli ze sobą żadnej styczności, spotkali się, aby razem zginąć na moście nad rzeką San Luis. Conde wkroczył do sekretariatu Fakultetu Psychologii, żeby zabrać swoje dokumenty, i nie zastanawiał się jeszcze nad tym wszystkim, co związane z przeznaczeniem, kiedy przyjechała go pani prodziekan, pytając, czy naprawdę jest zdecydowany zrezygnować ze studiów, na co on odparł, że tak, że musi to zrobić; ona poprosiła, żeby chwilę zaczekał, wyszła, on siedział z piętnaście minut, po czym pojawił się jakiś mężczyzna, który przedstawił się jako kapitan Rafael Acosta, i zaczął pytać, jakie masz problemy, chłopcze, a Conde pomyślał, co ja takiego zrobiłem, żeby mnie przesłuchiwali? Finansowe, towarzyszu, muszę iść do pracy. To może byś się postarał, sugeruje kapitan i Mario rozumie jeszcze mniej. Muszę iść do pracy, powtarza, i niespecjalnie podobają mi się te studia, tak szczerze mówiąc, i zaczęli rozmawiać o różnych rzeczach, Conde powoli przestawał się obawiać, a tymczasem Acosta zaproponował mu, by wstąpił na akademię, skończy ze stopniem policyjnym i od pierwszego miesiąca będzie otrzymywał pensję. Ale ja nie mam mundurowych skłonności, odpowiedział. Nieważne, wiemy, kim jesteś. Nigdy nie miałem przywódczych skłonności, jestem raczej niepozbierany, powiedział, i uwielbiam Beatlesów, pomyślał, ale to także nie miało znaczenia. Nigdy nie myślałem o pracy w policji ani w niczym w tym guście, do czego ja się wam przydam? Wszystkiego się nauczysz, przekonywał kapitan Rafael Acosta, ważne było to, żeby wstąpił, potem może sobie nawet robić studia wieczorowe, ten kierunek albo jakiś inny,

który ci się spodoba, masz oczywiście trochę czasu do namysłu, ale dłużej się nad tym nie zastanawiał: odpowiedział, że zgoda. To jest przeznaczenie? zastanawiał się od tego czasu, bo nigdy mu na myśl nie przyszło, że będzie policjantem, i to dobrym policjantem, z tego, co mu mówiono, trzeba mieć łeb na karku, porządny łeb, tłumaczył mu kolega, więc nigdy nie przeznaczili go do Działu Reedukacji, o co poprosił, kończąc akademię, tylko wylądował w Departamencie Informacji Ogólnej, klasyfikując sprawy, *modus operandi*, charakterystyki profili przestępczych, aż kiedyś zamknął się ze starą teczką w sali komputerowej, wczytał się w papiery i dane, myślał, aż go głowa rozbolała, i nagle wszystko zaskoczyło, połączył ze sobą dwa odległe i niepowiązane dotąd wątki, pojawiające się niezależnie w związku z pewnym morderstwem, które próbowano rozwikłać od czterech lat. Czy to jest przeznaczenie? zastanawiał się teraz i z przyjemnością wspomniawszy swoje pierwsze lata w dziale śledczym, kiedy mógł już odwieść mundur i wrócić do swoich dżinsów, a nawet zapuścić sobie wąsy i brodę, przekonawszy do tego wcześniej Starego, i czuł, że pełen entuzjazmu rusza w świat nieść sprawiedliwość. Dalekie wydawały mu się te euforyczne dni, które z czasem ustąpiły rutynie, być policjantem to przede wszystkim to, tłumaczyli mu, łeb na karku i rutyna, on sam mówił to potem nowym, powtarzając słowa Jorrina, i umiejętność zaczynania od nowa każdego dnia, choćby się wcale nie chciało tak ciągle zaczynać. Gdyby nie przeznaczenie, nie natknąłby się na tę sprawę, która tam na niego czekała, aż ją rozwiąże, bo nie powiedziała by wcześniej „tak” kapitanowi Acoście; bo jego ojciec nie umarłby przed końcem studiów Maria; bo po skończeniu liceum przydzieliliby go na filologię, a nie na psychologię; bo by mu się tak nie podobały książki Hemingwaya, które czytał, przechodząc ospę, choć wszyscy jego koledzy z ulicy odchorowali ją już znacznie wcześniej; bo wciąż chciałby być pilotem, ponieważ nie wyrzuciliby go ze szkoły wojskowej za słowny i czynny atak na kolegę, który bezlitośnie wykipił jego marzenie o lataniu; i tak do najdalszej nieskończoności, bo może by się nie urodził albo pierwszy z rodu Conde, dziadek Teodoro, nie byłby złodziejem i nigdy nie wylądowałby na Kubie. Dlatego zostałem policjantem i teraz

los wepchnął mnie w życie Rafaela Morína i twoje, Tamaro, życie tak odmiennie od mojego, trudno sobie wyobrazić, że kiedyś mieliśmy się za równych. Ale życie się zmieniło, tak jak wszystko się zmienia, i nie był już ani nieodpowiedzialny, ani szalony, tylko jak zawsze skomplikowany i bez nadziei, smutny, samotny i sentymentalny, bez żony i dzieci, może już na zawsze, świadom, że jego najlepszy przyjaciel może umrzeć i nie da się temu zaradzić, i zawsze z tym rewolwerem, który ciąży mu na plecach i z którego poza poligonem wystrzelił tylko raz, generalnie prawie na pewno by chybił, bo nie potrafi strzelać do ludzi, choć ten raz jednak wystrzelił i trafił. Ale pamiętał, że tego dnia, kiedy jego życie się zmieniło, zastanawiał się, co to jest przeznaczenie, i znalazł tylko jedną odpowiedź: powiedzieć „tak” albo powiedzieć „nie”. Jeśli masz taką szansę. Ja miałem możliwość wyboru, Tamaro.

- Dolej mi jeszcze - prosi wtedy i znów na nią patrzy. Ona słuchała go, sącząc whisky, jej oczy lekko zaszyły mgłą. Nalewa do obu szklanek i mówi:

- Ja też się boję. - To prawie szept z głębi fotela. Pozwoliła swojemu uporczywemu kosmykowi pozostać nad oczami, jakby przyzwyczała się do niego, do tego, że najpierw widzi kosmyk, a potem resztę świata.

- Czego?

- Że będę jeszcze bardziej pusta. Że zrobi się ze mnie nadęta baba, która umie tylko gadać o luksusach, że nie będę żyć swoim życiem, że uwierzę, że mam wszystko, bo przyzwyczałam się do tego, że wszystko mam, a bez pewnych rzeczy wydaje mi się, że żyć się nie da. Wszystkiego się boję, wiesz? i sama się dobrze nie rozumiem, i chciałabym, żeby Rafael tu był, żeby wszystko dalej było łatwe i uporządkowane, ale zarazem wolałabym, żeby nigdy się nie pojawił i żeby sama musiała się sobą zająć, bez Rafaela, bez taty, bez Mimy, nawet bez naszego syna... I to nic nowego, Mario, od jakiegoś czasu tak mam.

- Mogę ci coś powiedzieć? Przypomniało mi się teraz, co ci powiedziała ciotka Cygana Sandina, kiedy wróżyła ci z ręki. Pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam, nigdy nie zapomniałam: będziesz mieć wszystko i nie będziesz mieć niczego. Czy to możliwe, żebym już wtedy miała to wypisane na dłoni, że taki był mój los, jak mówisz?

- Nie wiem, bo jeśli chodzi o mnie, to się pomyliła: powiedziała mi, że daleko wyjadę i umrę młodo. Pomyliła mnie z Chudym Carlosem, choć może nie, może to my się pomyliliśmy... Tamara, potrafiłabyś zabić swojego męża?

Ona pociąga długi łyk ze szklanki i wstaje.

- Dlaczego musimy być tak strasznie skomplikowani, drogi rozzalony policjancie? - pyta i staje przed nim. - Każda kobieta ma czasem ochotę zamordować swojego męża, powinieneś o tym wiedzieć. Ale prawie żadna jednak się nie decyduje. A już ja na pewno, jestem za bardzo strachliwa, Mario. - Robi krok do przodu.

On łapie swoją szklankę, przyciska ją do brzucha, starając się nie dotknąć jej nogi. Czuje, jak drżą mu ręce i że oddychanie to absolutnie uświadomiony i trudny akt.

- Nigdy nie odważyłeś się powiedzieć, że ci się podobam. Dlaczego teraz się odważyłeś?

- Od kiedy wiedziałas?

- Od zawsze. Nie lekceważ inteligencji kobiet, Mario.

On opiera głowę na podglówku fotela i zamyka oczy.

- Pewnie bym się odważył, gdyby nie uprzedził mnie Rafael, szesnaście lat temu. Potem już nie mogłem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się w tobie zakochałem, ile razy o tobie śniłem, co sobie wyobrażałem, że możemy razem robić... Ale to już nie ma znaczenia.

- Skąd ta pewność?

- Bo jesteśmy coraz dalej od siebie, Tamaro.

Ona, wbrew jego słowom, robi kolejny krok do przodu i dotyka jego kolan.

- A jeśli bym ci powiedziała, że chcę iść z tobą do łóżka, teraz, zaraz?

- Pomyślałbym, że to twój kolejny kaprys i że przyzwyczaiłaś się mieć to, co zechcesz. Dlaczego mi to robisz? - pyta, bo nie potrafi walczyć, czuje ciśnienie w piersi, w ustach mu zaschło, szklanka może mu się w każdej chwili wyslizgnąć z wilgotnych dłoni.

- Nie chcesz, żebym ci to powiedziała? Czy nie to zawsze chciałeś usłyszeć? Zawsze będziesz się bał?

- Chyba tak.

- Ale i tak pójdziemy do łóżka, bo wiem, że wciąż ci się podobam i nie odmówisz mi.

Wtedy on spogląda na nią i odstawia szklanekę na podłogę. Czuje, że ona stała się inną kobietą, że się zmieniła, że jest kobietą w rui i tak właśnie pachnie: jak kobieta w rui. I myśli, że to jest jego szansa, żeby powiedzieć „nie”.

- A jeśli odmówię?

- To będziesz miał kolejną szansę pokierować swoim losem, powiedzieć „tak” albo powiedzieć „nie”. Lubisz podejmować decyzje, co? - pyta ona, robiąc ostatni możliwy krok do przodu, tak że staje dokładnie między jego nogami. Jej zapach jest nie do wytrzymania, a on wie, że jest jeszcze bardziej apetyczna niż zawsze. Widzi kryjące się pod pulowerem sutki, nabrzmiałe od zimna i pożądania, z pewnością równie ciemne jak usta, i widzi samego siebie, w wieku trzydziestu czterech lat, siedzącego na klozecie i manipulującego przy rozporoku zaślinionymi palcami, by tego odreagować swoje wciąż te same frustracje. Wtedy wstaje, zajmując tę skromniutką przestrzeń, jaką ona mu zostawiła na podjęcie decyzji, i patrzy na jej niepokorny kosmyk, wilgotne oczy, i wie, że powinien powiedzieć „nie”, i to na zawsze, nie mogą tego zrobić, nie chcą tego zrobić, nie mogą, nie powinienem, powiedzieć, że czuje absurdalną pustkę między nogami, że to jest inna forma strachu. Ale nie można ciągle przeciwstawiać się przeznaczeniu.

Nie dotykając się, idą w stronę hallu i wchodzą na schody prowadzące do pokoju na drugim piętrze. Ona idzie przodem i otwiera drzwi, i wkraczają w gęsty półmrok spowijający idealnie zasłane łóżko przykryte brązową kapą. On nie wie, czy są w jej pokoju, czy w jakimś innym, jego możliwości myślenia już się wyczerpały i kiedy ona ściąga pulower przez głowę, i on wreszcie widzi piersi, o których marzył przez ostatnie siedemnaście lat, udaje mu się sklecić myśl, że są tak naprawdę jeszcze piękniejsze, niż myślał, że nigdy nie byłyby w stanie powiedzieć „nie” i że tak bardzo pożąda



tej kobiety, i miałby też ochotę, żeby w tej właśnie chwili pojawił się Rafael Morin, żeby zobaczyć, jak mu się ten jego wieczny uśmiech zamazuje na twarzy.

Pali i próbuje policzyć kryształowe łożki zwisające z lampy u sufitu. Wie, że właśnie zabił jeszcze jedno swoje marzenie, ale musi przyjąć ciężar swoich decyzji. Niewiarygodna Tamara, najwspanialsza z kobiet, śpi właśnie snem spokojnej kochanki, a jej okrągłe i ciężkie pośladki ocierają się o biodra Condego. Nie chce myśleć, mówi sobie, nie mogą spędzać całego życia na myśleniu, kiedy nagle rozlega się dzwonek telefonu, a ona podskakuje na łóżku.

Nieporadnie próbuje włożyć pulower i w końcu wybiega na korytarz, bo telefon nie przestaje dzwonić. Wraca do pokoju i mówi:

- Idź, to do ciebie - wydaje się zmieszana i zmartwiona.

On przewiązuje się ręcznikiem w pasie i wychodzi z sypialni. Tamara odprowadza go do drzwi i patrzy na niego w trakcie rozmowy.

- Słucham? - pyta on, potem przez ponad minutę słucha, a na koniec dodaje tylko: - Przyślij mi auto, pojedę tam.

Odkłada słuchawkę i patrzy na kobietę. Podchodzi do niej, chce ją pocałować, ale wcześniej musi pokonać upór czywy kosmyk.

- Nie, Rafael się nie znalazł - mówi i zaczynają się całować, długo, ich języki splatają się ze sobą chaotycznie, ślina się miesza, zęby uderzają o siebie, wargi aż boją. To ich najlepszy pocałunek, ale on przerywa:

- Muszę jechać do centrali, znaleźli Zoile. Jeśli ma coś wspólnego z Rafałem, zadzwonię później.

Zoila Amarán Izquierdo przyglądała im się, jak wchodzili do pomieszczenia. W jej oczach widać było zubożenie i ostrożność, ale Mario Conde wyczuwał jej pełną wigoru kobiecość. Złota skóra dziewczyny błyszcziała jak u zdrowego zwierzęcia, a najwyraźniejsza część jej twarzy, usta, była bezwstydną i mięsistą,

zdecydowanie atrakcyjna. Ledwie skończyła dwadzieścia trzy lata, ale widać było, że jest pewna siebie, i Conde domyślił się, że nie będzie łatwo. Ta dziewczyna mieszkała na ulicy i znała ten świat, zrobiła się twarda pod wpływem kontaktu z bardzo różnymi ludźmi, a jedną z głównych podstaw do jej dumy była możliwość powiedzenia „nikomu niczego nie zawdzięczam, bo jestem kobietą z jajnikami”, czego już nieraz dowiodła. Lubiła wygodne życie i aby móc sobie na nie pozwolić, bez wahania ocierała się o sprawy nielegalne, bo oprócz jajników miała jeszcze mózg i wiedziała, że nie należy zapuszczać się na zbyt niebezpieczne rewiry. Nie, łatwo nie będzie, przekonywał się już na sam jej widok, a do tego była jeszcze kobietą tak piękną, że człowiek dałby się pociąć.

- To jest Zoila Amarán Izquierdo, towarzyszu poruczniku - powiedział Manolo, podchodząc do dziewczyny, która siedziała na środku ich kłitki. - Nasi ludzie natknęli się na nią, kiedy wracała do domu taksówką, i poprosili, żeby przyszła do nas złożyć zeznania.

- Chcemy ci tylko zadać kilka pytań, Zoila. To nie jest aresztowanie, chcemy tylko twojej pomocy, dobrze? - wyjaśniał Conde, po czym podszedł do drzwi, żeby ona mogła go zobaczyć.

- A z jakiego powodu? - zapytała, nie zmieniając pozycji, miała też ładny głos, czysty i mocny.

Conde spojrzął na Manola porozumiewawczo.

- Gdzie byłaś trzydziestego pierwszego?

- Muszę odpowiedzieć?

- Chyba tak, choć nie masz takiego obowiązku. Gdzie wtedy byłaś, Zoilo?

- A u znajomego. To w końcu wolny i suwerenny kraj, nie?

- Gdzie?

- W Cienfuegos, w domu znajomego tego mojego znajomego.

- Jak oni się nazywają?

- Ale o co tu chodzi, co to za afera?

- Proszę, Zoila, nazwiska. Im szybciej skończymy, tym szybciej będziesz sobie mogła pójść.

- Norberto Codina i Ambrosio chyba Fornés, teraz w porządku? Kończymy już?

- W porządku, ale jeszcze nie... A nie było tam jeszcze jednego znajomego, Rafaela, Rafaela Morina?

- Już mnie pytano o tego człowieka i mówiłam, że nie wiem, kto to jest. Niby dlaczego miałabym go znać?

- To twój przyjaciel, prawda?

- Nie znam go.

- Gdzie mieszka ten twój znajomy z Cienfuegos?

- Kawalek za teatrem, nie pamiętam nazwy ulicy.

- I na pewno nie przypominasz sobie Rafaela Morina?

- Panowie, co to ma być? Bo ja mogę się przestać odzywać i koniec zabawy.

- Dobrze, jak sobie życzysz. Możesz przestać się odzywać, ale także możesz tu zostać zamknięta i czekać na rozwój sprawy w charakterze podejrzanej o porwanie i zabójstwo, i...

- Co to ma niby znaczyć?

- Śledztwo, Zoila, rozumiesz? Jak się nazywa ten znajomy, z którym pojechałaś do Cienfuegos?

- Norberto Codina, mówiłam już.

- Gdzie mieszka?

- Na Línea i N.

- Ma telefon?

-Tak.

- Numer?

- Co chcecie zrobić?

- Zadzwoń, sprawdzimy, czy rzeczywiście pojechał tam z tobą.

- Ale on jest żonaty.

- Daj telefon, umiemy być dyskretni.

- Proszę, towarzysze. To 325307.

- Proszę dzwonić, poruczniku.

Conde podszedł do telefonu stojącego na szafce i zamówił rozmowę.

- Przyjrzyj się tej fotografii, Zoila. - Manolo podał jej odbitkę zdjęcia Rafaela Morina.

- Tak, i co? - zapytała, próbując jednocześnie podsłuchać rozmowę Condego, który mówił bardzo cicho.

- Nie znasz go?
  - No, byłam z nim kilka razy. Jakieś trzy miesiące temu.
  - Wiesz, jak się nazywa?
  - René.
  - René?
  - René Maciques, a co?
- Conde odłożył słuchawkę i podszedł do biurka.
- Zoila, naprawdę tak się nazywa? - zapytał porucznik, a dziewczyna popatrzyła na niego i próbowała się nawet uśmiechnąć.
  - Tak, na pewno.
  - Była z Norbertem Codiną - potwierdził Conde i wrócił pod drzwi.
  - A nie mówiłam?
  - Gdzie poznałaś Renegó?
- Zoila Amarán Izquierdo zrobiła niepewną minę. Ewidentnie nic z tego nie rozumiała, ale obawiała się czegoś, w końcu udało jej się naprawdę uśmiechnąć.
- Na ulicy, podwiózł mnie.
  - A po co dzwonił do ciebie trzydziestego pierwszego albo pierwszego?
  - Kto? René?
  - René Maciques.
  - A bo ja wiem, kupę czasu go nie widziałam.
  - Od jak dawna się nie widzieliście?
  - Nie wiem, chyba od października czy jakoś tak.
  - Co o nim wiesz?
  - W sumie nic, że jest żonaty, że podróżuje za granicę i że kiedy szliśmy do hoteli, zawsze on załatwiał pokój.
  - Do jakich hoteli?
  - A, proszę sobie wyobrazić: Riviera, Mar Azul, tego typu.
  - Mówił ci, gdzie pracuje?
  - W MINREX, nie? Albo w Handlu Zagranicznym. Coś w tym stylu, prawda?
  - Ja tam nie wiem, ty powinnaś.
  - No nic, wydaje mi się, że chyba w MINREX.
  - Miał przy sobie dużo pieniędzy?

- A jak pan myśli, ile kosztuje pokój w takim Riviera?  
- Uważaj, co mówisz, Zoila. Odpowiadaj na pytania.  
- Pewnie, że miał dużo kasy. Ale, jak już mówiłam, spotkaliśmy się tylko kilka razy.

- I więcej go nie widziałaś? -

Nie.

- Dlaczego?

- Bo wyjeżdżał za granicę. Na cały rok, do Kanady.

- Kiedy wyjechał?

- Gdzieś w październiku, mówiłam już.

- Dał ci jakiś prezent?

- Takie tam pierdółki.

- To znaczy co?

- Perfumy, pierścionek, sukienkę, takie tam.

- Zagraniczne?

- Tak, zagraniczne.

- A miał dolary?

- Ja nigdy nie widziałam.

- Jak się umawialiście?

- Normalnie, on zawsze miał masę pracy, więc jak znajdował wolną chwilę, dzwonił do mnie do domu. Jeśli nie miałam innych spraw, przyjeżdżał po mnie. Samochodem oczywiście.

- Jakim?

- Dwa widziałam. Przeważnie zajeżdżał nową ładą, prywatną, ale czasem inną, też ładą, ale chyba służbową, z przyciemnionymi szybami.

- Zoila, chciałbym, żebyś się dobrze zastanowiła nad tym, co mi teraz powiesz, dla twojego dobra i dla dobra twojego znajomego Renegó Maciquesa. Skąd on mógł mieć tyle pieniędzy?

Zoila Amarán Izquierdo przechyliła głowę, żeby widzieć porucznika, przybierając minę znaczącą „a bo ja wiem”. Potem spojrzała na Manola i powiedziała:

- Widzi pan, towarzyszu, na ulicy o takie rzeczy się nie pyta. Nie jestem dziwką, bo nie sypiam za pieniądze, ale jak się pojawia facet z kasą i zaprasza na kolację do Laiglona, na piwo, na basen i jeszcze potańczyć do knajpy, a potem do pokoju z widokiem na

Malecón, to się więcej pytań nie zadaje. Trzeba się tym cieszyć, towarzyszu. Sprawy kiepsko się mają, a młodość ma się jedną, prawda?

Pewnie, że młodość jest tylko jedna, pomyślał, bo to oczywiste. Leniwy i ciepły głos, oczy niebieskie jak bezchmurne niebo, stanowiły jedyne cechy przypominające dawnego Mikięgo Śliczną Bużkę, chłopaka, który pobił szkolny rekord zdobytych przez rok dziewczyn: dwadzieścia osiem, wszystkie z całowaniem, z niektórymi doszło do spraw grubszego kalibru. Teraz miał za mało włosów, żeby ryzykować falowaną grzywę afro, ale jednocześnie za dużo, żeby się poddać i przyjąć rolę pogodzonego z losem łysego. Broda wyglądała jak eksplozja siwych i rudych kosmyków, jak u jakiegoś wikinga z komiksu, a urodziwa twarz z dawnych czasów ludzaco przypominała teraz kiepsko wypieczony herbatnik: nieregularna, popękana, z dolinami i wzniesieniami wypiętrzonymi przez źle rozkładający się tłuszcz i przedwczesną starość. Uśmiechał się, obnażając nędzny garnitur zębów, a kiedy zanosił się śmiechem, jego płuca, znękanе nieustającym paleniem, rewanzowały się dwuminutowym kaszlem. Miki stanowi ostrzeżenie, myślał Conde, uzmysławia, że niedługo stuknie im czterdziestka, że nie są niezmordowanymi szczylami, że nie potrafią już zaczynać każdego dnia od nowa i że sporo jest powodów do zmęczenia i nostalgii. - To jakiś koszmar, Conde. Mariita wyniosła się z miesiąc temu i patrz, jak to wygląda: jak jakiś chlew. - I rozłożył ręce, jakby próbował objąć nieokiełznany chaos pokoju. Zebrał dwie szklanki pokryte kilkoma pokoleniami brudu i tylko przestawił je na inne miejsce. Zaklął z pięć razy pod adresem nieobecnej żony i podszedł do gramofonu. Bez namysłu chwycił płytę leżącą na górze i umieścił ją na talerzu. - Posłuchaj tego, to padniesz: *The Best of The Mamas and The Papas...* Czy to sprawiedliwe, że te bydlaki tak dobrze śpiewają? Licząc z Mariitą, mam już na koncie pięć rozwodów i trójkę dzieci, coraz gorzej stoję, muszę obdzielać ich moją pensją, że nawet mi na papieroski nie starcza. A tak á *propos*, to poczęstuj mnie jednym, co? Myślisz, że w takich warunkach dá

się pisać? Nie chrzań, człowiekowi odechciewa się pisać, a nawet żyć, no ale nic, to co się ostatecznie liczy, to się nie poddawać, choć czasem człowiek ma dość i jednak trochę się poddaje. Nie ma lekko, Conde, nie ma... Słuchaj tego... *California Dreams*, to z czasów licealnych. Nieźle, co? Jak słucham tego kawałka, to mam ochotę znów się żenić, serio mówię. A ty co, piszesz coś w końcu? Conde zdjął z fotela spodnie i dwie koszule, dzięki czemu mógł wreszcie usiąść. Zawsze go intrygowało, że Miki okazał się jedynym, oprócz Kulawego, pisarzem, którego wydał ten szkolny warsztat literacki, gdzie Miki pojawił się tylko po to, żeby mieć pole do podrywu. Ale w którymś momencie klasowy piękniś zafascynował się literaturą, postanowił zostać pisarzem i na swój sposób mu się udało. Dwa wydane tomy opowiadań i jedna powieść czyniły zeń twórcę płodnego, choć wpisującego się w nurt, w który Conde włączyć by się na pewno nie chciał, nawet jakby miał czas i talent do walki z uporczywie pustymi kartkami papieru. Miki pisał o walce z analfabetyzmem, o pierwszych latach Rewolucji i walce klas, podczas gdy Conde wolałby napisać jakąś historię o elegancji. Coś eleganckiego i wzruszającego, bo choć nie natknął się w życiu na zbyt wiele rzeczy łączących te dwie cechy, jakoś tak coraz bardziej ich potrzebował.

- Nie, nie piszę niczego.

- Co ci jest?

- Nie wiem, czasami próbuję, ale mi nie wychodzi.

- To się zdarza.

- No tak, pewnie tak.

- Daj mi jeszcze jednego papierosa. Jakbym miał kawę, tobym naparzył, ale jestem w dołku. Nawet na papieroski, bracie. I co tam, wciąż nic?

- Nic, gość się nie pojawia - odpowiedział Conde, próbując umeścić się w fotelu, choć oparcie wpijało mu się w plecy.

- Kiedy Carlos powiedział mi, że szukasz Rafaela, bo zaginał, prawie się zeszczałem ze śmiechu. Komiczne to w sumie, nie?

- Nie wiem, mnie to jakoś bardzo nie śmieszy.

Miki Śliczna Buźka rozdeptał niedopałek na podłodze i zakaszał kilka razy.

- Byliśmy z Rafaelem trochę skłóceni od jakichś pięciu czy sześciu lat. Nie wiedziałeś, co? Nie, prawie nikt nie wiedział i ciągle, jak spotykam ludzi z naszej paczki z liceum, to mnie ktoś pyta o niego, myśląc, że wciąż jesteśmy dobrymi kumplami. I cholernie mnie wkurzało, że muszę udawać, że wszystko okej... I co, naprawdę nie masz pojęcia, co się mogło przydarzyć Rafaelowi? Myślisz, że się gdzieś kręci z jakąś panienką, a potem się objawi i będzie różną! głupa?

- Nie wiem, ale nie sądzę.

- Co z tobą, chłopie, zgaszony jakiś jesteś. Widzisz, ja to mam dziwnie z tym Rafaelem: czasami wydaje mi się, że wciąż mam do niego sentyment, bo w swoim czasie byliśmy jak bracia, serio, ale potem zostaje obojętność, co mnie on, kurwa, obchodzi, bo ja nie zasłużyłem sobie na tę aferę, którą on rozkręcił z tą weryfikacją partyjną.

- Jaka aferę?

- No właśnie dlatego mówiłem Carlosowi, żeby ci powiedział, żebyś do mnie dziś zajrzał. Słuchaj, Conde, ja wiem, że Rafael jest porządnie umoczony. Nie wiem, czy to, co ci powiem, do czegoś się przyda, może tak, potem mi powiesz. I jeśli ci o tym mówię, to tylko dlatego że policjantem, który jest w to zaangażowany, jesteś ty, innemu pary z gęby bym nie puścił. Słuchaj, afera była taka, że kiedy go prześwietlali przed przyjęciem do Partii, Rafael podał moje nazwisko, żeby go mogli zweryfikować, i ta dwójka, która prowadziła jego sprawę, przyszła do mnie, pamiętam, że wtedy nie działałem już w młodzieżówce, ale oni powiedzieli, że to nieważne, że jeśli dobrze znam Rafaela ze szkolnych czasów, to tego im właśnie trzeba. Dobrze sobie, czy ja go znałem. Wtedy zaczęli mnie wypytywać, a ja odpowiadałem, i wszystko szło idealnie. Chłopie, jakoś po dwóch miesiącach zjawia się Rafael, wścickły jak diabli: mówi, że odroczyli jego przyjęcie do Partii z mojej winy, że nie musiałem mówić, że jego matka chodziła do kościoła ani że pojechał zobaczyć się z ojcem, kiedy był na Kubie, bo jego stary miał przerąbane na całej linii, nieszczęśnik jakiś, który zasuwiał jako podrzędny hydraulik w Miami, podczas gdy Rafael i jego matka rozpowiadali na lewo i prawo, że był



alkoholikiem i się zapił na śmierć. A najbardziej wkurzyło go to, że powiedziałem, że moim zdaniem to on wciąż kocha ojca i że bardzo się ciesze, że się zobaczyli po dwudziestu latach, bo już od podstawówki Rafael miał jazdę na punkcie ojca, że jest zdrajcą rewolucji, bo wyjechał, i tak dalej. No, po prostu mówiłem o jego ludzkiej stronie... Szkoda, że tu nie ma Yoly, opowiedziałaby ci. Zachowywał się jak wariat, darł się na mnie, że to jakieś moje przywidzenia, że to przez zawiść i inne takie. Ale to jeszcze nie jest to najgorsze, nie patrz tak na mnie. Najgorsze jest to, że poszedłem do biura, w którym pracował, żeby porozmawiać z tą parą, co mnie przesłuchiwała, bo wydawało mi się, że nie powiedziałem niczego złego, i oni twierdzili to samo, że przy procedurze to zostało uznane za normalną rzecz, nie miało to żadnych konsekwencji, bo uznano, że mógł chcieć zobaczyć się z ojcem, ale odroczyli mu przyjęcie do Partii ze względu na postawę, że taki samowystarczalny, i przez jakąś głupotę dotyczącą związków zawodowych, nawet dobrze nie pamiętam, o co chodziło, ale oni byli pewni, że Rafael z wszystkim w końcu sobie poradzi i takie tam nawijanie. Z tego ta cała afera.

- Brzmi znajomo. Widać jego styl - stwierdził Conde i uprzedził prośbę Mikięgo. Podał mu papierosa i zapalił swojego. - Ale jaki to ma związek z naszą bieżącą grubszą sprawą?

- Związek ma taki, że kłamałem. Tak naprawdę on myślał, że tym weryfikatorom powiedziałem o tym, że wziął wtedy całą walizkę ubrań, którą przywiózł jego ojciec, że poszli do sklepu dewizowego i jeszcze że odkupiłem od niego za pięćdziesiąt pesos jedne dżinsy, co na niego były za duże. Tyle że ja nic o tym nie powiedziałem, żeby mu pomóc, nie żebym chciał coś ściemniać, ale wtedy taka historia to była dla kandydata kaplica, więc na użytek tej dwójki wymyśliłem tę telenowelę...

- Kurde, Miki...

- Czekaj i daruj sobie komentarze, bo nie dzwoniłem do ciebie, żeby się wypowiedać. Problem w tym, że Rafael pojawił się tu kolejny raz trzydziestego pierwszego, po południu, tak o trzeciej, po tylu latach. Interesuje cię to, nie? Nie bajeruj, Conde, ja cię znam.

- Po co tu przyszedł, Miki?

- Chwila, zmienię stronę płyty, dostałem od Rafaela z okazji końca roku. On wie, że mam hopla na punkcie Mamas i Stonesów... Strasznie się zdziwiłem na jego widok, ale w sumie ucieszyło mnie to, ja nie jestem pamiętliwy. No więc poprosiłem sąsiadkę, żeby mi pożyczyła paczkę kawy, i obaliliśmy pół litra rumu, co mi się uchował, i gadaliśmy sobie jakby nigdy nic. Rozmawialiśmy o różnych głupotach z czasów szkolnych, z liceum, o ludziach z naszej dzielnicy i takie tam, jak zawsze. Rafael miał zawsze trochę przesrane, wiesz? Okazuje się, że to on zawsze mi zazdrościł, sam mi to powiedział, siedząc tu, gdzie teraz ty siedzisz, powiedział, że ja zawsze robiłem to, na co miałem ochotę, i że żyłem, jak mi się podobało, dobre, nie? umoczony jestem po uszy i mam te trzy książki wydane, co są gównem, nawet nie mam ochoty ich otwierać. Kiedy mu to powiedziałem, strasznie się śmiał, zawsze uważał, że się zgrywam.

- Ale czego on chciał, co, po cholere Rafael tu przyszedł?

- Przyszedł mnie przeprosić, Conde. Chciał, żebym mu przebaczył. Wiesz, co mi powiedział? Że byłem jego najlepszym kumplem.

Mario Conde nie potrafił się powstrzymać: znów wyobraził sobie Tamarę, jak się rozbiera, i poczuł, że nieubłagane zapada się w śmiertelne bagno.

- Cynik czy palant?

Miki powtórzył czynność rozgniatacia niedopałka na podłodze, ale tym razem rozdeptał go starannie, a potem jeszcze maltretował stopą.

- Dlaczego tak mówisz, Conde? Przecież wiesz, że ty sam też nie jesteś święty. Dlatego nigdy nie zostaniesz miernym pisarzem jak ja ani eleganckim oportunistą jak Rafael, ani nawet porządnym człowiekiem jak biedny Carlos. Nikim nie zostaniesz, Conde, bo ciągle chcesz wszystkich osądzać, tylko siebie nie osądzasz nigdy.

- Pieprzysz, Miki.

- Nie, nie pieprzę i ty dobrze o tym wiesz. Boisz się sam siebie, nie akceptujesz siebie. Dlaczego nie jesteś prawdziwym policjantem, co? Zawsze jesteś w pół drogi. Jesteś typowym przedstawicielem naszego ukrytego pokolenia, jak to nazywał jeden mój profesor

filozofii na uniwerku. Mówił, że jesteśmy pokoleniem bez twarzy, bez miejsca i bez jaj. Że nie wiemy, gdzie jesteśmy ani czego chcemy, więc się wolimy schować. Ja jestem żalonym pisarzem, który nikomu nie chce się narazić swoim pisaniem, i wiem o tym. Ale ty, kim ty jesteś?

- Gównno warte jest to twoje gadanie.

Miki uśmiechnął się i podał mu rękę. Conde wręczył mu ostatniego papierosa z paczki i zrobił z niej kulkę. Potem podszedł do okna.

- I co, niezła ta płyta, nie? - zapytał pisarz, zaciągając się dymem.

- Słuchaj, Miki - odezwał się porucznik, wpatrując się w oczy swojego klasowego kolegi - ten twój szkolny rekord to też było kłamstwo?

Nie usłyszał kuli i w pierwszej chwili pomyślał: pasek mi pękł, ale to była raptem sekunda, bo stracił równowagę i kiedy upadł na ziemię, był już nieprzytomny, świadomość odzyskał dopiero dwie godziny później, kiedy zrozumiał, co to jest ból, leciał helikopterem w stronę Luandy, z kroplówką podłączoną do ramienia, a lekarz mówił mu: nie ruszaj się, dolatujemy, choć ten rozkaz nie był potrzebny, bo nie mógł ruszyć żadną częścią ciała, a ból był tak przenikliwy, że go pokonał, i jego następne wspomnienie pochodzi już z dni po pierwszej operacji, którą przeprowadzono w szpitalu wojskowym w Luandzie.

Po tym jak Conde usłyszał tę historię po raz pierwszy, powtarzał ją sobie tak często, że skleił z niej taki jakby film, potrafił zwizualizować każdy szczegół sekwencji: sposób, w jaki pada ciało, na twarz, na piaszczystą, ciepłą ziemię, przypominającą zapachem suszoną rybę; łoskot helikoptera i blada twarz lekarza, bardzo młodego, który mówił: nie ruszaj się, dolatujemy 0187, i widział też wewnątrz śmigłowca, musiało być tam zimno, przypominało to ulotną i odległą chmurę, nieskazitelnie białą.

Po kolejnej operacji w Hawanie Chudy opowiedział mu o swojej jedynej walce z przeciwnikiem, którego nawet nie zobaczył.

Josefina troszczyła się o niego za dnia, a Conde, Pancho, Królik i Andrés wymieniali się nocami, gadając, dopóki nie zmorzył ich sen, aż Mario Conde zdał sobie sprawę, że to także jego wojna, choć nigdy nie trzymał karabinu w dłoniach, a wróg miał jedną twarz: Chudy w łóżku. Wiedział, że nie ma większych szans na to, żeby jego przyjaciel znów zaczął chodzić, i ich dawna przyjaźń, beztraska i wesoła, zabarwiła się poczuciem winy, którego Conde nie potrafił się pozbyć.

- Ale dlaczego tak się przejmujesz, chłopie?

- A jak mam się zachowywać po tym, co odstawiły te cieniasy? To faceci bez jaj. Już kiedy przegrali w sobotę, spodziewałem się, że tak będzie, bo w grze wyraźnie im szło, ale nie potrafili zaliczyć żadnego punktu i mieli wszystkich porozstawianych po bazach, więc parę udanych akcji i Vegueros wygra. A dziś to już przegięli, ciesz się, że tego nie widziałeś: w pierwszej grze zaliczyli piętnaście *hits*, wygrali dziewięć do jednego, natomiast w drugiej, kiedy to właśnie należało się sprężyć, władowali im dziewięć zer. Kurde, chłopie, czy to jest sprawiedliwe, człowiek całe życie czeka, aż te matoly zdobędą mistrzostwo, a ci zaraz rozkładają nogi jak jakaś tania dziwka, zamiast brać się do walki? Ale mam za swoje, głupi jestem, nie powinienem tracić czasu na tę durną grę...

- Czyli co, naprawdę nie chcesz rumu?

- Spokojnie, Conde, spokojnie. Polewaj. - I zgodził się, jakby to była jakaś ofiara z jego strony, przyjmując szklanekę, którą Conde postawił przy popielniczce.

- Ty, a co ci odbiło, żeś rum kupił?

- Słuchaj, Conde, mam deprechę. Albo się ze mną napijesz tego rumu, albo spadaj i niech cię nie widzę.

- Napiję się, ale zmienimy temat, bo ja nie jestem menedżerem drużyny, jasne?

- Dobra, dobra.

Chudy nalał sobie jeszcze rumu i wydawało się, że wybrał rozejm. Jego ciężki oddech się unormował.

- Jak tam sprawa Rafaela?

- Zaczyna być lepiej. Mamy dobry trop.

- Widziałeś się z Mikim?

- Uhm, właśnie od niego wracam. Dziwne to było, miałem wrażenie, że potrzebny mu bardziej ksiądz niż policjant.

- I udzieliłeś mu rozgrzeszenia?

- Wysłałem go do piekła, razem z tymi jego trzema książkami. Za to, że kłamca i marny pisarz. No, dolej mi jeszcze trochę.

- A ten trop?

- Rafael obracał dużymi pieniędzmi i mógł mieć jakieś problemy ze służbowymi finansami. Wiesz, co ten bydlak robił, jak podrywał jakąś laseczkę? Używał imienia swojego kierownika biura, taki z niego aparat.

- Każdy tak robi - stwierdził Chudy i wypił łączywie. Conde poszedł w jego ślady i dopiero wtedy pomyślał, że rum jest całkiem niezły. - Jadłeś już?

- Nie, nie chciało mi się. Strzelę sobie jeszcze parę kolejek i idę spać.

- Widziałeś się dzisiaj z bliźniaczką?

- Tak, koło południa. Bez nowin. Wypiliśmy razem po dwie whisky...

- Ty to masz ciężkie życie, co?

Conde wolał się jeszcze napić, niż wdawać w dyskusję z Chudym. Tego właśnie chce teraz ten bydlak, jest sakramencko wkurzony przez ten mecz, pomyślał, i zdjął sobie buty, nie używając rąk. Zaczynał czuć się dobrze w tym pokoju, rozwalony w fotelu, Josefina oglądała telewizję w salonie i nagle przypomnieli mu się The Mamas and The Papas, i zapragnął muzyki.

- Puszczę coś - powiedział i podszedł do szafki, na której stał magnetofon. Wsunął szufladę i przestudiował liczne i posegregowane przez Chudego kasety. Komplet The Beatles; prawie wszystko Chicago i Blood, Sweat and Tears; sporo rzeczy Serrata, Silvia i Pabla Milanésów; i kasetka Patxy Andión, składanki Los Brincos, Juana i Juniora, Fórmula V, Steviego Wondera i Rubéna Bladesa. Kurde, ale mieszanka gustów, wreszcie wybrał śpiewaną po angielsku kasetę Rubéna Bladesa, którą sam dał Chudemu w prezencie. Włączył magnetofon, pociągnął jeszcze jeden łyk, i to taki hojny, po czym dolał rumu do szklanki swojej i Chudego. Już go nie bolały plecy ani pośladki udręczone przez fotel Mikiego.

Lubił tę kasetę i wiedział, że Chudy też ją lubi, i poczuli się niezdrowo rozluźnieni, śpiewając balladę *The Letter*, list pisany przez przyjaciela do drugiego, o którym wiadomo, że umrze, i dalej pili spragnieni jak jacyś tułacze na pustyni. Dno butelki zaczynało się pokazywać, a Chudy podjechał na wózku do szafki i zaprezentował pół litra, które zostało z wczoraj, i poczuli, że tak, że dobrze jest mieć pół litra rumu, że dadzą radę, że poradzą sobie z całym tym alkoholem.

- Dobry ten rumik, co? - zapytał Chudy z uśmiechem.
- No i już zaczynasz nawijać jak wszyscy pijacy.
- Ale co ja takiego powiedziałem?
- Nic, że rum dobry i takie teksty. Pewnie, że jest dobry, chłopie.
- A ta gadka o pijakach? Teraz to już nawet odezwać się w tym domu nie można...

Zaprotestował i ponownie zabrał się do picia, jakby musiał sobie przepłukać gardło. Mario popatrzy! na niego, zobaczył, że jest taki gruby i taki zmieniony, nie wiedział, jak długo jeszcze będzie miał Chudego, i te wszystkie nostalgiczne i porażki zaczęły napływać mu do głowy, a on próbował sobie wyobrazić Cariosa stojącego na nogach, szczupłego i spacerującego, ale jego mózg nie chciał przyswoić tego przyjemnego obrazu. Wtedy już nie wytrzymał:

- Kiedy ostatnio zdarzyło ci się coś, co by cię zawstydziło, ale zawstydziło tak na serio?
- No - uśmiechnął się Chudy i przyjrzał się swojej szklance pod światło - czyli pijak to ja, tak? A jak ktoś zaczyna zadawać takie pytania, to kim jest, kosmonautą?
- Chłopie, ja poważnie pytam, poważnie.
- Nie wiem, człowieku, ja sobie takich rzeczy nie notuję. Takie życie - pokazał na swoje nogi, ale uśmiechając się - takie życie już samo w sobie jest wstydem, ale co ja mam na to poradzić.

Conde przyglądając mu się, przytaknęła, pewnie, że to wstyd, ale on już wiedział, jak to poprawić.

- Czego w swoim życiu wstydzisz się najbardziej?
- Ty, ale o co ci chodzi? A ty czego?
- No ja... Zaraz. Tego, jak się uczyłem prowadzić auto i wjechałem na stację benzynową, źle wymierzyłem i przewróciłem

pięćdziesięciopięciogalonowy kontener. Ludzie mi tam klaskali i w ogóle.

- Tego się wstydzisz?

- No, za każdym razem, jak sobie to przypomnę, głupio mi się robi, że strach... Nie wiem dlaczego. Tak samo mam, kiedy sobie przypominam, jak Eduardo Wariat walnął butem kierownika obozu, a ja nie odważyłem się zwyzywać Rafaela.

- Tak, tak, pamiętam... Wiesz, ja mam wrażenie, że umieram za każdym razem, kiedy pielęgniarka łapie mi małego, żeby mi się odsikał do kaczki.

- No, a ja prawie kopnąłem w kalendarz, kiedy się raz pochylałem na uniwersytecie i pękły mi spodnie, a miałem bokserki...

- A ja, a ja wtedy, jak mieliśmy jechać na kolację do Pinar del Río, Ernestico, ty i ja, kiedy pracowaliśmy przy zbiorach tytoniu, i ja sobie pomyślałem, no dobra, ubiorę sobie czyste slipy, bo a nuż się jakaś panienka nawinie, a okazało się, że schowałem brudną parę między czyste.

- Wciąż ci głupio za tamto? Kurde, mnie to strasznie wkurwia, jak sobie przypomnę to zebranie na drugim roku, jak chcieli wywalić jednego z zajęć, bo jakiś inny zarzucił mi, że jest pedałem, a ja nie ruszyłem się, żeby go obronić, bo bałem się, że mi wyciągną tę historię z Wenezuelką, z którą wtedy chodziłem, pamiętasz, Marieta, mały tyłek, duży biust.

- No dobra, dobra, wiem... Chłopie, kiedyś przyszła zrobić mi zastrzyk taka jedna pielęgniarka z kliniki, było bardzo późno, ja jej nie usłyszałem i przyłapała mnie, jak sobie ostro trzepałem z jednym z tych magazynów od Peyiego przed oczami.

- To koszmarnie - żeby godnie zakończyć, muszą sięgnąć po następną butelkę. - To tak samo, jak wtedy, kiedy jechałem autobusem uczepony rurki i kierowca dał ostro po hamulcu, że złapałem jedną babkę za pierś, ona mnie zdzieliła przez łeb, szlag by to trafił, a ludzie darli się na mnie: zboczeniec, zboczeniec...

- Albo, kurde, tego dnia na uniwersytecie, kiedy to Komitet Studencki wyznaczył mnie i taką jedną dziewczynę do przekonywania ludzi, żeby nie chodzili tacy nieostrzyżeni na zajęcia, na mnie to zwalili, kurczę, choć nie ma mowy o włosach w żadnym

regulaminie ani niczym takim. Cholera, ale człowiek się czasem pakuje w sytuacje...

- Poczekaj, poczekaj, mam jeszcze gorszą rzecz, chłopie, jednego dnia nawijałem z wenezuelskim akcentem, zaśpiew i te sprawy, żeby mnie wzięli za cudzoziemca i wpuścili do hotelu Capri z Marieta. Niewiarygodne, myślałem, że się ze wstydu spalę...

- No, a ja tobym wolał sobie nawet nie przypominać tego dnia, oj tak, dolej mi rumu, dnia, kiedy czarny Sansón ukradł mi puszkę z kondensowanym mlekiem, ja wiedziałem, że to on, ale udawałem naiwnego, bo inaczej musiałbym się z nim pobić...

- Boże, Boże, wszystko to jedno wielkie gówno... A to, co mi się zdarzyło dzisiaj, nie, Chudy, zaraz umrę ze wstydu, umrę z przepicia, umrę. -I zamknął oczy, żeby zachować te marne resztki swojej sfatygowanej świadomości i nie umrzeć jeszcze raz ze wstydu, nie wyznać, że, Chudy, Tamara zaproponowała mi seks, bo, oczywiście, to musiało od niej wyjść, bo ja srałem po nogach ze strachu, i poszliśmy na górę, i tak, ma takie piersi, jak sobie wyobrażaliśmy, a kiedy się położyliśmy, nic, nic a nic, a potem nagle mnie wzięło i skończyłem ot tak, właściwie zanim jeszcze zacząłem, a ona na to, nie przejmuj się, tak bywa, to nieważne. - Kurde, Chudy, człowiekowi zdarzają się rzeczy, że chciałby się zabić ze wstydu. Daj no tę flaszkę, Chudy, no, dawaj.



Każdy poranek zdawał się zwiastować Armagedon. Koniec świata zapowiadany był apokaliptycznymi i przenikliwymi uderzeniami dzwonka, który odzywał się w ludzkim uchu, że nawet Królik musiał się obudzić. Kierownik obozu lubił sobie chodzić po budynku, dzwonić i wrzeszczeć: wstawać, raz-dwa, wstawać, i nawet jeśli już byliśmy na nogach albo staliśmy na głowie, podpierając się jedną ręką, on i tak walił w ten dzwonek, raz za razem, na parterze i na pierwszym piętrze, aż do tego dnia, kiedy niosący sprawiedliwość, zabłocony but wyleciał z ciemności i rozwalił nos kierownika obozu. Ten poleciał na tyłek, dzwonek wypadł mu z rąk, a ci, którzy nie widzieli zajścia, z ulgą zastanawiali się, co takiego sprawiło, że przestał.

Nim minęło piętnaście minut, wszyscy staliśmy w szeregu na placu między stołówką a budynkiem. Osiem brygad, pięć z jedenastej, trzy z trzynastej klasy, zgromadziło się naprzeciwko kwatery władz obozu. Do świtu brakowało jeszcze godziny, zimno było jak diabli i czuliśmy osiadającą rosę, wszyscy też wiedzieli, że nie czeka nas nic dobrego. Kiedy pojawił się Miki Śliczna Buźka, jeden z funkcyjnych naszej brygady, powiedział cichutko: Kto coś piśnie, ten trup... Kierownik obozu przyciskał sobie do nosa ręcznik i dosłownie widziałem iskierki nienawiści migotające mu w oczach. Pancho, który stał za mną, owinał się kocem, jego też

zmusili do wyjścia i sapał jak popsuty miech, jak go słyszałem, toteż mi się zdawało, że mi zaraz powietrza zabraknie.

Sekretarz szkoły przemówił: dopuszczono się bardzo poważnego wykroczenia, które dla winowajcy oznaczać będzie usunięcie ze szkoły, bez żadnych odwołań czy okoliczności łagodzących, więc jeśli sprawca ma odwagę cywilną, niech wyjdzie przed szereg. Cisza. Więc dalej: jak to możliwe, żeby doszło do takiego złamania dyscypliny na obozie dla uczniów szkoły średniej, to nie jest instytucja reedukująca kryminalistów, taka osoba jest jak zgniły ziemniak w worku dobrych ziemniaków: psuje i zaraża innych - klasyczne porównanie, z ziemniakami zamiast jabłek. Królik spojrział na mnie, zaczynał się przebudzać. Cisza. Cisza. I nikt nie odważy się wydać sprawcy tego wykroczenia, godzącego w prestiż całej społeczności, która nie ma już szans na zwycięstwo we współzawodnictwie, pomimo takich wysiłków, dzień w dzień na plantacjach trzciny cukrowej? Cisza. Cisza. Cisza. Chudy uniósł brwi, wiedział, co teraz będzie. No dobrze, skoro winny nie chce się przyznać, a pozostali nie mają na tyle odwagi cywilnej, by go wskazać, no to wszyscy za to zapłacą, póki nie okaże się, kto jest sprawcą, bo tego tak zostawić nie można... Po przemowie sekretarza zapanowała wielka cisza, a zapach kawy przedostający się już z kuchni stał się pierwszą i bardzo wyrafinowaną torturą, jakiej nas poddano, na tym zimnie i z Panchem, który wciąż nie mógł złapać oddechu.

Wtedy przemówiła wyrocznia delficka: Jestem tutaj jako uczeń, powiedział Rafael, jako towarzysz i wasz przedstawiciel, wybrany przez wszystkich, i wiem, tak jak wy, że doszło tu do poważnego wykroczenia, to może nawet trafić do sądu, jako czynny napad... no proszę, proszę, mruknął Królik ... i przez to my, sprawiedliwi, będziemy musieli płacić za grzeszników, oczywiście musiał uderzyć w biblijny ton, i mocno nas to dotknie przy podsumowaniu współzawodnictwa obozów, kiedy już prawie mieliśmy pewne pierwsze miejsce w prowincji. I to ma być cena za wykroczenie jednostki? Że praca stu dwunastu towarzyszy, tak, stu dwunastu, bo ja nie wliczam tego kryminalisty, że ich praca pójdzie na marne? Znacnie mnie, towarzysze, z niektórymi z was współpracuję

od trzech lat, wybraliście mnie na przewodniczącego Federacji Uczniów Szkół Średnich, a ja jestem takim samym uczniem, jak wy, ale nie mogę przystać na coś takiego, co godzi w wizerunek rewolucyjnej młodzieży kubańskiej i zmusza dyrekcję szkoły do podjęcia środków dyscyplinarnych przeciw wszystkim. Dalej cisza. I zapytam was, bo pewnie myślicie o męskiej solidarności i takich rzeczach: czy to po męsku rzucić w ciemności butem w najwyższego przedstawiciela władzy w obozie? A nawet więcej: czy to po męsku chować się w tłumie i kryć twarz, podczas gdy odpowiedzialność spadnie na nas wszystkich? Powiedzcie mi coś, towarzysze, odpowiedźcie, poprosił, a ja krzyknąłem: Kurwa twoja mać, gnoju jeden! bardzo głośno, żeby wszyscy słyszeli, że obrażam Rafaela, tylko że słowa zamarły mi w gardle, bo jednak bałem się tak zbluzgać tam Rafaela Morina, na tym zimnie, z Panchem cierpiącym na astmę, Mikim Śliczną Bużką kręcącym się przy szeregu i mówiącym: trup! zapach kawy mnie dobijał, a kierownik obozu przyciskał sobie ręcznik do nosa przez ten koszmarny cios butem.

Kiedy Conde wszedł do centrali, zdał sobie sprawę, że tęskni za niedzielnym spokojem. Była ledwie ósma pięć, ale w poniedziałek, a w poniedziałki zawsze wyglądało to tak, jakby świat miał się zaraz skończyć, centrala przygotowywała się do ewakuacji w związku z atakiem atomowym: ludzie nie mogli doczekać się windy, więc biegali po schodach, na parkingu nie było nawet jednego wolnego miejsca, dialogi ograniczały się do przelotnego „jak tam?“, „to się widzimy“ i pośpiesznego „dzień dobry“; a Conde, nekany resztkami bólu głowy i kiepską nocą, wolał ograniczyć się do powitalnego uniesienia dłoni i cierpliwie czekał w kolejce do windy. Wiedział, że za pół godziny poczuje się znacznie lepiej, ale aspiryna potrzebuje czasu, żeby zadziałać, choć wcale nie żałował, że zeszłej nocy jej nie zażył, czuł się czysty i wyzwolony po tej rozmowie z Chudym, że nawet się nie zorientował, że przecież nie opowiedział mu o Tamarze, i zapomniał nastawić budzik. Kolejna odsłona koszmaru, w którym Rafael Morin ścigał

go i chciał zamknąć w więzieniu, sprawiła, że otworzył oczy punkt siódma rano i tylko kilka razy miał ochotę umrzeć: kiedy wstał z łóżka i poczuł łupanie w głowie i kiedy siedząc na klozecie, przypomniał sobie ten długi koszmar, dręczący go przez całą noc, i to straszne uczucie, że jest ścigany, wciąż kołaczące się w jego umyśle. Właśnie wtedy zaczął, ot, tak sobie, śpiewać: „To pani jest winna wszystkich mych lęków, wszystkich niepokojów...”, nie bardzo wiedząc, dlaczego wybrał akurat to koszmarnie bolero. Najwyraźniej się zakochał.

Winda zatrzymała się na jego piętrze i Conde rzucił okiem na ścienny zegar: spóźnił się dziesięć minut i nie miał zamiaru ani nastroju na wymyślanie jakichś wymówek. Otworzył drzwi klitki i powitał go, niczym błogosławieństwo, uśmiech Patricii Wong.

- Dzień dobry, moi drodzy - odezwał się. Patricia wstała, żeby dać mu powitalnego całusa w policzek, a Manolo przyglądał mu się, jakby trochę nieobecny, nie otwierając nawet ust. - Ale bosko pachniesz, moja ty Chinko - zwrócił się do koleżanki i przez chwilę, jak zwykle, podziwiał tę kobietę, córkę Murzynki i Chińczyka. Prawie sześć stóp i sto osiemdziesiąt funtów uczciwie rozmieszczonych: miała niewielkie, ale z pewnością jędrne piersi, biodra przypominające Ocean Spokojny i pośladki, które zawsze wzbudzały w nim chęć, by ich dotknąć albo wejść na nie i skakać jak na sprężystym łóżku, żeby się przekonać, że takie cuda rzeczywiście są możliwe.

- Co u ciebie, Mayo? - zapytała ona, a on uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia, słysząc to „Mayo”, wyłącznie Patricia Wong wymawiała tak jego imię. Poza tym leczyła mu bóle głowy swoimi chińskimi maściami i wydobywała na wierzch jego najskrytsze i nigdy niewyjawione przesady: była jak jakiś amulet szczęścia. Trzykrotnie porucznik Patricia Wong, śledcza Departamentu Przystępstw Finansowych, dostarczyła mu rozwiązanie sprawy, która wydawała się rozplywać w niebycie.

- Czekam, aż przypomnisz swojemu tacie, żeby mnie znów zaprosił na kaczkę na słodko-kwaśno.

- Gdybyś ty widział, co on wczoraj naszykował - zaczęła opowiadać, z trudem lokując biodra między poręczami fotela. Potem

skrzyżowała nogi godne biegaczki, a Conde zauważył, że oczy Manola o mało nie zniknęły za przegrodą nosową. - Zrobił przepiórki faszerowane warzywami i gotował je w soku z bazylii...

- Chwila, chwila, jak to się robi? Czym je nafaszerował?

- Posłuchaj, najpierw zgniół trochę liści bazylii z olejem kokosowym, a potem to podgrzał. Wtedy wziął przepiórkę, wcześniej już ją przygotował i zarumienił na smalcu i nafaszerował migdałami, sezamem i do tego pięcioma rodzajami warzyw, wszystkie na surowo: fasolka mung, cebulka, botwinka, pietruszka i nie wiem, co tam jeszcze, a na końcu posypał przepiórki cynamonem i gałką muszkatołową.

- I co, pyszne? - dopytywał Conde, sięgając szczytów porannego entuzjazmu.

- Przecież to musi być jakieś dziwaczne, nie? - wtrącił się Manolo i Conde spojrział na niego. Miał ochotę go zganić, ale najpierw skupił się na wyobrażeniu sobie niewiarygodnej mieszanki tych wyraźnych i podstawowych smaków, które połączyć umiał tylko ktoś taki jak Juan Wong, i uznał, że Manolo może i ma rację, choć nie zamierzał się poddawać.

- Nie przejmuj się tym chłopakiem, brak obycia jest dla niego zabójczy. A wy od dawna mnie nie zapraszacie.

- Przecież nie dzwonisz, Mayo. Nawet posłałeś Manola, żeby ze mną obgadał dzisiejszą akcję.

- Zapomnij, zapomnij, to się więcej nie powtórzy. - I spojrział na sierżanta, który mimo tak wczesnej pory zapalił papierosa. - A temu co się dzieje?

Manolo cmoknął tylko, co miało oznaczać: daj mi spokój, ale widać było, że musi się wygadać.

- A nic, straszna chryja z Vilną wczoraj była. Wiesz, co mi powiedziała? Że wymyśliłem sobie wczoraj pracę, żeby iść do knajpy z jakąś inną. - Zwrócił się do Patricii: - Wszystko przez niego.

- Manolo, odpuść sobie, co? - poprosił Conde, przyglądając się otwartej teczce leżącej na jego biurku. - Za duży z ciebie chłopaczek, żeby opowiadać naokoło, że cię do czegoś zmusiłem... Tłumaczyłeś Patricii, czego szukamy?

Manolo ledwie skinął głową.

- Mówił mi, Mayo - wtrąciła się Patricia. - Ale wiesz, niespecjalnie wierzę w to, że z papierów wyjdzie coś poważnego. Jeśli Rafael Morín był w coś wmieszany, a jest taki cwany, jak mówicie, na pewno wszystko ma pięknie posprzątane. Ale spróbować zawsze można, nie?

- Masz już swoich ludzi?

- Tak, wezmę dwóch speców. A wy idziecie?

Conde popatrzył na Patricię, a potem na Manola. Zdał sobie sprawę, że ból głowy przeszedł, ale złapał się za czoło i powiedział:

- Słuchaj, weź Manola, bo ja tu muszę posiedzieć nad innymi rzeczami... sprawdzić nowe raporty...

- Nic tam nie ma - uprzedził go sierżant.

- Przejrzałeś wszystko?

- Nic od straży granicznej, nic z prowincji, zeznania Zoili zgadzają się co do joty, a z Maciquesem jesteśmy umówieni na rozmowę w firmie.

- No, nic - Conde wciąż próbował się wymigać. Liczby i on nigdy do siebie nie pasowali, więc w miarę możliwości zawsze unikał takich zajęć. - I tak wam się tam zbyt nie przydam, nie? A chciałbym zobaczyć się ze Starym. Zróbmy tak, że podskoczę tam do was koło dziesiątej, zgoda?

- Zgoda, zgoda. - Manolo tylko wzruszył ramionami. Patricia uśmiechnęła się, a jej wąskie oczy zniknęły niemal zupełnie. Czy ona coś widzi, jak się śmieje?

- To się widzimy - stwierdziła. Złapała Manola pod ramię i wyciągnęła z pomieszczenia.

- Słuchaj, Patricia, jeszcze chwilkę - poprosił Conde, po czym szepnął jej do ucha: - I jak smakowały przepiórki?

- Tak jak powiedział Manolo - odszepnęła - dziwacznie. Ale ojciec i tak zjadł wszystkie sam.

- Tym lepiej. - I uśmiechnął się do Manola, machając mu dłonią na pożegnanie.

- Interesy związane z wielką kasą są jak zazdrosne kobiety: nie można dawać im żadnych podstaw do skarg - powiedział René Maciques, a Conde popatrzył na Manola, lekcja była darmowa, a on się pomylił: René Maciques ledwie skończył czterdzieści lat, a nie pięćdziesiąt, jak mu się wydawało, i nie wyglądał też na bibliotekarza, tylko na telewizyjnego prezentera, który dużo mówi i macha rękami, i próbuje uporządkować swoje bardzo bujne brwi, przesuując palcem wskazującym i kciukiem po czole. Miał na sobie guayabereę tak białą, że aż razila, z krawędziami haftowanymi jeszcze bielszą nicią, i uśmiechał się z promienną łatwością. Z jednej z jego kieszeni wystawały trzy złociste długopisy i Conde pomyślał, że wyłącznie jakiś żaloszny typ może chcieć dowieść swojej wartości poprzez liczbę posiadanych długopisów. - Kiedy człowiek zaczyna zajmować się takimi interesami, trzeba okazywać ufność, wyglądać na tak zadowolonego, jakby się właśnie zamykało sprawę, emanować spokojem i pewnością. Jak mówiłem, tak jak z zazdrosną kobietą: bo jednocześnie trzeba dawać do zrozumienia, tylko bez przesady, że wcale nie damy się posiekać za ten kontrakt, bo wiemy, że można by trafić lepiej, nawet jeśli tak naprawdę sprawa jest niepowtarzalna. Interesy to dżungla, w której wszystkie zwierzęta są groźne i nie wystarczy mieć strzelbę w dłoni. - A Condemu przebiegła przez głowę myśl, ale facet metaforyczny, nie? - I jeśli chodzi o takie sprawy, to nie znam nikogo zręczniejszego niż towarzysz Rafael. Miałem okazję sporo z nim pracować tu, na Kubie, ale też podczas załatwiania niektórych transakcji za granicą, interesy z tych, że ciarki przechodzą, i on zawsze działał jak artysta, sprzedawał drogo i dobrze, kupował zawsze poniżej ceny wyjściowej, i zarówno kupujący, jak i sprzedający byli spokojni i przekonani, nawet jeśli wyczuwali, że Rafael ich jednak przechytrył. Co więcej: nigdy nie stracił żadnego klienta.

- A dlaczego on sam finalizował umowy, skoro dysponował specjalistami z poszczególnych dziedzin? - zapytał Mario Conde, choć moment był odpowiedniejszy na oklaski po tym przemówieniu, dzięki któremu Maciques objawił się jako złotousty orator.

- Bo w ten sposób się spełniał i wiedział, że dobrze mu to idzie. Każda część handlowa firmy zajmuje się swoją działką, podział jest albo branżowy, albo geograficzny, rozumie pan? ale jeśli interes był bardzo poważny albo istniało ryzyko, że coś się pogmatwa, wtedy Rafael doradzał specjalistom, uruchamiał swoje kontakty nawiązane przez te wszystkie lata i włączał się w akcję.

To co, komandosem był? chciał zapytać Conde, bo wyczuł, że z Maciquesa twardy orzech do zgryzienia i potrafi tak nawijać - długo, ale trudno z nim polemizować. Spuścił wzrok na swój notes, w którym zapisał INTERESY Z WIELKĄ KASĄ, po czym przez chwilę się zastanawiał: czy Rafael Morin naprawdę jest taki, jak wszyscy mówią? Z pewnego dystansu obserwował społeczny i zawodowy awans zaginionego: to był skok wytrenowanego i genialnego akrobaty, który śmiało rzuca się w przepaść, bo wcześniej przygotował siatkę ochronną, dzięki której wie, że może porwać się na wszystko i zdobyć to, bo jest chroniony. Przemysłane małżeństwo rozwiązało część jego problemów: Tamara, a także jej ojciec i jego znajomi musieli mu na początku pomóc, ale gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że resztę zawdzięczał samemu sobie, bez wątplenia. Kiedy Rafael Morin przemawiał przez mikrofon w szkole dwadzieścia lat temu, w jego umyśle już się skryzalizowała idea dotarcia, pokonania wszystkich etapów po drodze na szczyt, i po prostu się do tego przygotowywał. W tym wieku ludzie miewają podstawowe i abstrakcyjne ambicje, ale Rafael swoje już skonkretyzował, dlatego podczepił się do najszybszego wozu i postanowił zdobyć wszystkie możliwe dyplomy, wszystkie formy uznania, wszystkie gratulacje, i być doskonałym, nieskalanym, oddanym sprawie i wyróżniającym się, i zyskiwać krok po kroku znajomości, które kiedyś mogą się okazać przydatne, nie tracąc nigdy tchu ani uśmiechu. I w pracy także wykazał się skutecznością i oddaniem, byle tylko oszczędzić sobie potem kilku szczebelków drabiny prowadzącej do nieba, oferując wszystkim sympatię, zaufanie, kreując wokół siebie wizerunek człowieka zawsze chętnego i cechującego się w pewnej mierze elastycznością, która sugerowała, że jest osobą potrzebną, łagodną i wygodną, wszystko naraz, przyjmującą i spełniającą każde polecenie, jedno z głowy, a ona już gotowa



na następne. Conde znalazł więcej takich karier robionych na modłę chorągiewki i wyobrażał sobie niezawodny i pewny uśmiech Rafaela podczas rozmów z Fernandezem-Loreą, ministrem, i jak dobrze wszystko się układa dzięki pańskim wytycznym, towarzyszowi ministrze. Rafael Morin nigdy nie sprzeciwił się przełożonemu, co najwyżej pozwalał sobie na wymianę opinii, nie odmówił zrealizowania nawet najbardziej absurdalnego polecenia, prezentował wyłącznie konstruktywną krytykę, i to stosując właściwe kanały; nigdy nie skoczył, nie sprawdziwszy wytrzymałości siatki, która w razie nieprzewidzianego upadku przyjęłaby go z ciepłem i po matczynemu. Tylko wobec tego gdzie popełnił błąd?

- A skąd brał pieniądze na prezenty? - zapytał Conde, przeczytawszy jedyną notatkę zapisaną w notesie, i szybkość odpowiedzi Renegó Maciquesa bardzo go zaskoczyła.

- Wyobrażam sobie, że z tego, co zaoszczędził na dietach.

- I to mu starczało na taki sprzęt muzyczny, jaki ma w domu, na kupowanie perfum Chanel numer 5 dla matki, na mniejsze i większe podarunki dla podwładnych, czy nawet na to, żeby posługując się nazwiskiem René Maciques, wynajmować pokój w Riwierze i jadać w Liaglone z dwudziestotrzyletnią lalunią? Jest pan pewien, Maciques? Wiedział pan, że on używał pańskiego nazwiska podczas tajnych randek, czy nigdy się z tego nie zwierzył?

René Maciques wstał i podszedł do klimatyzacji wbudowanej w ścianę. Przez chwilę manipulował przy pokrętkach, a potem poprawił zmiętą zasłonę w rogu pomieszczenia. Może zrobiło mu się zimno. Jeszcze tej samej nocy, zastanawiając się nad losem Rafaela Morina, porucznik Mario Conde miał sobie przypomnieć tę scenę, jakby przeżył ją jakieś dziesięć, piętnaście lat wcześniej albo jakby nigdy nie chciał jej przeżyć, bo Maciques wrócił do fotela, spojrzął na policjantów i nie wyglądał już na prezentera telewizyjnego, tylko na nieśmiałego bibliotekarza, jak sobie wyobraził Conde, i powiedział:

- Ja po prostu w to nie wierzę, towarzysze.

- To już pański problem, Maciques, ale ja nie mam powodów, by pana okłamywać. I co z tymi prezentami?

- Już mówiłem, pewnie oszczędzał na dietach.

- Aż tyle tego było?
  - Nie wiem, towarzysze, nie wiem, o to trzeba by zapytać Rafaela Morina.
  - Niech pan posłucha, Maciques - zaczął Conde, wstając - czy mamy też pytać Rafaela Morina, czego tu pan szukał trzydziestego pierwszego koła południa?
- Ale René Maciques tylko się uśmiechnął. Znów stał przed kamerami, wyglądając brwi:
- Co za zbieg okoliczności! Przyszedłem po to samo. -1 pokazał na klimatyzację. - Przypomniało mi się, że zostawiłem ją włączoną, i przyszedłem wyłączyć.
- Conde też się uśmiechnął i schował notes do kieszeni. Modlił się, żeby tylko Patricia znalazła *coś, co* pozwoli mu dopaść Renegó Maciquesa.

Kiedy ten jedyny raz Mario Conde wystrzelił do człowieka, zrozumiał, jak łatwo jest zabić: celujesz w pierś i przestajesz myśleć aż do naciśnięcia spustu, a wystrzał jest tak szybki, że ledwie możesz zauważyć, jak kula uderza w ofiarę, jak cios odpychający ją do tyłu, potem zwija się na ziemi, dręczona bólem, a w końcu umiera albo nie.

Tego dnia Conde nie był na służbie i przez następne miesiące próbował, podobnie jak w wypadku innych spraw w jego życiu, dotrzeć po nitce do kłębka wydarzeń: jak to się właściwie stało, że znalazł się z pistoletem przed tym mężczyzną i musiał strzelić. Dwa lata wcześniej przeniesiono go z Departamentu Informacji Ogólnej do Śledczego i poznał Haydée w trakcie przesłuchania związanego z napadem rabunkowym, który miał miejsce w biurze, gdzie ona pracowała. Rozmawiał z nią kilka razy i zrozumiał, że przyszłość jego małżeństwa z Martizą została podana w wątpliwość: Haydée wdarła się w jego życie jak obsesja i Conde myślał, że chyba oszaleje. Niepohamowana furia tej miłości, konkretyzująca się codziennie w hotelach, w pożyczonych mieszkaniach i w bezpiecznych zaroślach, miała w sobie zwierzęcą gwałtowność i cechowała się niesamowitą różnorodnością

nieznanych dotąd przyjemności. Conde zakochał się bezgranicznie i dokonywał najcudowniejszych i najbardziej satysfakcjonujących wyczynów erotycznych swego życia. Kochali się raz po raz, nigdy nie mieli dość, a kiedy Conde był już wymęczony i szczęśliwy, Haydée umiała wydobyć z niego jeszcze więcej: wystarczyło, że usłyszał, jak sika potężnym, bursztynowym strumieniem, albo poczuł jej język wędrujący wzdłuż uda aż do członka, i już mógł zaczynać od nowa. Żadna inna kobieta nie wzbudzała w nim poczucia, że jest tak pożądany i tak męski, i przy każdym spotkaniu zabierali się do miłości z talentem odkrywców i zapałem wyposzczonych.

Gdyby Conde nie zakochał się w tej kobiecie o delikatnych kształtach i łagodnym spojrzeniu, zmieniającej się, kiedy tylko czuła bliskość seksu, nigdy by się nie znalazł, radosny i szczęśliwy, na tym rogu ulicy Infanta, kawałek od biura, w którym pracowała Haydée aż do siedemnastej trzydzieści. Gdyby tego wieczoru, z powodu pośpiechu i podniecenia zbliżającym się spotkaniem, Haydée nie pomyliła się, dodając sześć i osiem, tak że wyszło jej dwadzieścia cztery, a nie czternaście, wynik zupełnie niemożliwy, wyszłaby z pracy o siedemnastej trzydzieści jeden, a nie czterdzieści dwa, akurat wtedy, kiedy zamieszanie na ulicy i huk wystrzału wyciągnęły ją z biura ze złowrogim przecuciem.

Conde zapalił trzeciego rozpaczliwego papierosa i nie usłyszał krzyków. Myślał o tym, co się będzie dzieć tego wieczora w mieszkaniu znajomego, który robił dwumiesięczny kurs w Moskwie, więc jego lokum zmieniło się w tymczasowe schronienie dla jego wciąż jeszcze potajemnej namiętności. Wyobrażał sobie Haydée, nagą i spoconą, pracującą nad najświętszymi zakątkami jego drżącej anatomii, i dopiero wtedy zauważył zakrwawionego mężczyznę biegnącego w jego stronę, zielona koszula miała na wysokości brzucha ciemną plamę i wydawało się, że gość zaraz padnie na ziemię, błagając o wybaczenie za wszystkie swoje grzechy, chociaż wiedział, że ten drugi biegnący za nim mężczyzna wcale nie ma zamiaru wybaczać, a goniący utykał na lewą nogę, miał pokiereszowaną twarz i nóż w dłoni. Potem przez dłuższy czas Conde myślał, że gdyby był w mundurze, być

może udałoby mu się powstrzymać ścigającego, do którego nikt nie próbował się zbliżyć, ale kiedy rzucił papierosa i wrzasnął: „Stać, kurwa, stać, policja!”, facet zmienił kierunek, zamachnął się nożem i za cel swojej nienawiści obrał wtrącającego się i krzyczącego intruza. Najdziwniejsze jest to, że Conde zawsze widział tę scenę jakby z boku, nie z własnej perspektywy, i widział, jak krzyczący policjant robi dwa kroki wstecz, sięga do pasa i nie mogąc już nic wykrztusić, strzela do człowieka trzymającego nóż metr od jego głowy. Widział, jak postrzelony pada na plecy, robiąc jakby wyćwiczony półobrót, nóż wyslizgnął mu się z ręki i dopiero wtedy mężczyzna zaczął wić się z bólu.

Kula uderzyła go na wysokości ramienia i ledwie uszkodziła obojczyk. Ten jedyny raz, kiedy Mario Conde strzelał do człowieka, wszystko skończyło się na drobnej operacji i rozprawie, w trakcie której zeznawał przeciw agresorowi, już wyleczonemu i żałującemu czynków sprowokowanych przez alkohol. Tyle że przez kilka miesięcy Condego dręczyła wątpliwość, czy mierzył w ramię, czy w pierś napastnika, i przysiągł sobie, że nigdy już nie wyjmie pistoletu poza strzelnicą, choćby miał gołymi rękami walczyć z facetem uzbrojonym w nóż. A jednak René Maciques sprawił, że pożałował tamtej przysięgi. I to bardzo.

- Don Alfonso, jedziemy do centrali - powiedział i zakręcił szybę. Szofer spojrział na niego, ale wiedział, że nie należy zadawać pytań.

Skośnooka Patricia i jej ekipa w morzu list płac, umów, zleceń wykonania usługi, zakupu, przekazania środków, sprzedaży, sprawozdań, potwierdzeń odbioru, czeków i pisemnych porozumień i nieporozumień, które wciąż potwierdzają, że wszystko jest dobre, nieskazitelne, nieubłagane poprawne; Zaida też w morzu, tylko że łąz, że tak, że w rzeczywistości jej relacja z Rafaelem wcale nie ograniczała się do układu szef-sekretarka, że spotykali się także poza firmą, ale przecież to nie jest żadne przestępstwo, bo przede wszystkim Rafael nigdy się jej nie narzucał, nigdy niczego nie insynuował, nie, nigdy, i przysięga, że tak, że Rafael zawiózł

ją do domu tego trzydziestego grudnia, a potem niczego już o nim nie wiedziała, Manolo naciskał, a ona płakała, mój syn Alfredo bardzo go kochał, a on wysiadł z samochodu i złożył mu noworoczne życzenia; Maciques, że były sprawy, o których nie wiedział, on jest kierownikiem biura, a o takie rzeczy trzeba pytać zastępcę dyrektora do spraw finansowych, dziesiątego wraca z Kanady, ale że on nadal w to nie wierzy; a Stary, przyglądający się popiołowi swojego davidoffa, musi pogadać z zięciem, bo więcej już tego nie wytrzyma, wziął chłopaka i wrócił z nim jakoś o wpół do dwunastej w nocy, i to po kilku głębszych, aż mu ciśnienie skoczyło od tej całej afery, ale tak czy inaczej domaga się zamknięcia sprawy już, jeszcze dziś, Mario, za trzy dni przylatują jacyś klienci z Japonii, którzy zaczęli bardzo poważne interesy z Rafaelem Morinem, chodzi o zakup produktów z trzciny cukrowej, będą z tego miliony dolarów, Morin pracował z nimi przy kilku okazjach, więc minister oczekuje odpowiedzi, toteż Stary pyta, Mario, potrzebujesz pomocy, minęły dwa dni, a ty wciąż masz puste ręce.

Conde podniósł wzrok i widział chłodną klarowność tego poniedziałku piątego stycznia, i pomyślał, że tej nocy będzie idealna temperatura, żeby odczekać do dwunastej, i dopiero wtedy w kącie pokoju położyć trzy bukietki delikatnych ziół i trzy miseczki z wodą osłodzoną miodem, dla wielbłądów, oraz zbiorowy list adresowany do Kacpra, Melchiora i Baltazara, którzy przynoszą prezenty, ale wtedy zadzwonił telefon, więc Mario niechętnie porzucił myśl o liście do Trzech Króli.

- Słucham? - Przysiadł na krawędzi biurka, wpatrując się w liściastą koronę wawrzynów.

- Mario? To ja, Tamara.

- A cześć, co u ciebie?

- Czekałam wczoraj na twój telefon.

- Tak, tylko że miałem tu trochę zamieszania. Bardzo późno wyszedłem z roboty.

- Dzwoniłam do ciebie już rano, jakoś o wpół do dziesiątej.

- Nie przekazali mi.

- Nie zostawiłam żadnej wiadomości. Po co wczoraj do ciebie dzwonili?

- Zwykła rutyna. Ta cała Zoila jest przyjaciółką Renegó Maciquesa i nawet nie zna osobiście Rafaela. Wszystko sprawdzamy.

- Więc nadal nic nie wiadomo o Rafaelu? - A on chciałby mieć pewność, co do intencji tego pytania. Chyba nawet by wołał, żeby Tamara rozpaczała z powodu zaginięcia męża, przypomina mu się też, że technicznie to wciąż ona jest pierwszą podejrzaną, a ona dodaje: - Ta niepewność mnie zabija.

- Mnie też. Zmęczony tym już jestem.

- Czym?

Zastanawia się chwilę, bo nie chce popełnić błędu.

- Byciem osobistym policjantem Rafaela.

- Byłeś już w firmie?

- Właśnie wracam. Zostawiłem tam speców od przestępstw finansowych.

- Przestępstw finansowych? Mario, naprawdę uważasz, że Rafael jest zamieszany w coś takiego?

- A ty jak sądzisz, Tamaro? Uważasz, że mógł ci kupować to wszystko dzięki temu, że oszczędzał na dietach?

Po drugiej stronie linii zapada gęsta i długa cisza, aż wreszcie ona się odzywa:

- Nie wiem, Mario, naprawdę nie wiem. Ale prawda jest też taka, że nie wyobrażam sobie Rafaela wplątanego w coś takiego. On - waha się - nie jest złym człowiekiem.

- Tak mi mówiono. - Jego głos przechodzi w szept, przeciera dłonią pot, który nie wiadomo jak znalazł się na czole.

- Co powiedziałaś?

- Mówiłem, że też w to wierzę.

I znów cisza.

- Mario - mówi ona wtedy - ja nie myślę o tym, co stało się wczoraj, to...

- Ale ja tak, Tamaro.

- Aj, nie zrozumiałeś mnie - protestuje ona, czuje się zmuszona do tych wyznań, a on wcale jej nie ułatwia sprawy. - A jak myślisz, dlaczego do ciebie dzwonię? Mario, chcę się z tobą znowu spotkać, naprawdę.

- To nie ma sensu, Tamaro. Spotkamy się i co potem?

- Nie wiem co. Naprawdę musisz wszystko rozważać po tysiąc razy?

- Naprawdę muszę. - Czuje, że zaraz wróci mu migrena.

- Nie przyjedziesz?

Mario Conde zamyka oczy i widzi ją, nagą i chętną, otwartą i czekającą w łóżku.

- Raczej przyjadę. Jak się dowiem, co z Rafaelem. - Odkłada słu chawkę, i czuje, jak ból rodzi się w głębi oczodołów, niczym plama oleju, która rozlewa się na czole i rośnie, ale wraz z bólem pojawia się myśl, jak tylko się dowiem, co z Rafaelem, i porucznik Mario Conde złości się na siebie, bałwanie, trzeba było od tego zacząć.

- Przyszędłeś skonać mi na rękach? - zapytał kapitan Contreras, a jego śmiech zadowolonego z siebie i pozbawionego wszelkich wyrzutów sumienia grubasa odbił się echem od ścian pokoju. Z prędkością nieprzystającą do jego gruboskórnej natury zerwał się z krzesła, które skrzypnęło z ulgą, i dopadł porucznika, by uścisnąć mu dłoń. - Mój przyjaciel Conde. Takie jest życie, bracie, dziś ty mnie, jutro ja ciebie, choć są ludzie, co to się boczą na naszą robotę, prawda? Pewnie, nikt nie lubi babrać się w gównie, ale ktoś to robić musi i w końcu do mnie przychodzą, nie mówię o tobie, ty jesteś kumpel, choć nie chciałeś ze mną pracować, człowiek się wszystkiego w końcu dowie. - I znów się zaśmiał, jego brzuch, piersi, podgardle i policzki zakołysały się od całej tej radości. Śmiał się łatwo, tak łatwo, że Conde zawsze myślał, iż Grubemu Contrerasowi śmiech przychodził chyba zbyt łatwo. - No dobra, pokaz. Wtedy porucznik podał mu zdjęcie. Kapitan Jesús Contreras przyglądał mu się kilka minut i Conde próbował sobie wyobrazić, jak też może działać przeładowane archiwum jego mózgu. Jeśli coś choćby raz pojawiło się przed oczami Grubego Contrerasa, zapisywało się w jego pamięci ze wszystkimi detalami i drobiazgami. To stanowiło jego największą dumę, pysznił się także tym, że jest bardzo potrzebny i wręcz konieczny, ponieważ Gruby zajmował się bezpośrednio handlem dewizami i nikt nie mógł twierdzić, że miał mało pracy. Jego ludzie, Grubasy Contrerasa, postanowili stać

się codziennym koszmarem cinkciarzy i nielegalnych handlarzy z Hawany i w ciągu ostatnich miesięcy utrzymywali godny podziwu rekord przyłapanych przestępców.

- Nie jest z branży - stwierdził, nie spuszczać oczu z fotografii. - Co wyszło z komputera?

- Nic, czysty jak dupcia niemowlęcia zaraz po kąpielu.

- Wiedziałem. A czego konkretnie oczekujesz?

- Żebyś sprawdził u swoich informatorów i takich, co to się trzymają w cieniu, czy go znają, czy kiedyś próbował opylić dolary. Obracał dużą ilością krajowej waluty i myślę, że właśnie tak ją zdobywał. Chciałbym też, żebyś mi zbadał jeszcze jednego, zaraz ci podeślę fotkę.

- Jak się nazywają ci dwaj?

- Ten to Rafael Morín, a drugi René Maciques, ale imionami się nie sugeruj, używają pseudonimów.

- Ty, Conde, a to nie jest ten typek, co zaginął?

- Gratulacje, Gruby.

- Odbiło ci? Ty, nie pakuj mnie w jakieś bagno, ten facet jest wysoko ustawiony... Jakiś minister codziennie wydzwania do Starego w jego sprawie. Masz jakiegokolwiek dowody, że zajmował się nielegalnym obrotem dewizami? - zapytał Contreras i odłożył zdjęcie na biurko, jakby go teraz nagle oparzyło.

- Gównu tam wiem, Gruby. To przecucie, coś jakby ból głowy. Skąd miał tak dużo kasy, jeśli nie robił lewych interesów?

- No, może, może. Ale pchasz łapy gdzie nie trzeba, Conde, i zaraz ci je przytną - stwierdził Gruby, wracając na swoje sfatygowane krzesło. - I na kiedy to chcesz?

- Na wczoraj. Stary się wkurwia, bo trzy dni za tym łążę. Zaraz zażąda krwi i podejrzewam, że chętnie przyjmie moją. Pomóż mi, Gruby.

Wtedy kapitan Contreras znów się zaśmiał. Condego bardzo dziwiło, że wszystko tak go śmieszy, bo tak naprawdę Gruby był najtwardszym gliniarzem, jakiego znał, bez dwóch zdań najlepszym w swojej działce, chociaż pod maską wesołego grubaska krył prawie trzysta funtów kompleksów. Towarzyszący mu nieodłącznie zapach przypalonego smalcu i szybki kres dwóch prób małżeńskich



stanowiły nazbyt ciężki balast. Ale bronił się śmiechem i przekonaniem, że urodził się na policjanta, i policjantem był dobrym.

- No dobra, dobra, skoro to o ciebie chodzi... Podesłaj mi tę drugą fotkę i daj znać, gdzie cię mogę namierzyć, jeśli zajdzie potrzeba.

Conde wyciągnął rękę nad biurkiem kapitana Contrerasa, gotów bez jednego jęku zdzierzyć uścisk tej dłoni zdolnej udusić konia.

- Dzięki, Gruby.

Opuścił gabinet odprowadzany śmiechem Contrerasa i poszedł do biura Starego. Maruchi przepisywała coś na maszynie i Conde był pełen podziwu, że dziewczyna potrafi mówić, nie przestając uderzać w klawisze.

- Spóźniłeś się, drogi Kondeuszu. Major wyszedł przed chwilą - oznajmiła. - Poszedł na zebranie do Zarządu Politycznego.

- A to może i lepiej - stwierdził porucznik, który wolał odwlec konfrontację z majorem Rangelem. - Zależałoby mi, żebyś mi przekazała, żeby poczekał na mnie do wpół do szóstej, bo sądzę, że dziś zamknę mu tę sprawę. Dobra?

- Nie ma problemu, poruczniku.

- Słuchaj, a możesz się na chwilę zatrzymać? - poprosił i sekretarka przerwała pracę, posyłając mu spojrzenie pełne rezygnacji. - Podarowałybyś mi ze dwie aspiryny, co?

- I co nowego? - zapytał Conde z uśmiechem.

Manolo, Patricia i specjaliści z Przestępstw Finansowych spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Ledwie godzinę wcześniej wyszedł z firmy, mówiąc, że wróci po południu, a teraz zjawiał się, oczekując nowin. Porucznik zrobił trochę miejsca na jednym z biurek w gabinecie dyrekcji od spraw ekonomicznych, którego im użyczono na potrzeby śledztwa, i usiadł, ale tylko jednym poślądkiem.

- Nic nowego, Mayo. - Patricia zamknęła teczkę z napisem ZLECENIA USŁUGI. - Uprzedzałam, że to nie będzie proste.

- Ja to nie rozumiem, po cholere tyle papierów - zaprotestował Manolo, rozkładając ramiona, jakby próbował objąć ogrom

gabinetu zalanego zapisem działań firmy. - A to wszystko to tylko rok osiemdziesiąty ósmy. Zaraz trzeba będzie założyć firmę, żeby się zajęła papierami tej firmy.

- No, ale wyobraź sobie, Mayo, tyle jest tych kontroli, wizytacji i audytów, a jednak wciąż pełno mamy kradzieży, malwersacji i załączania środków, aż trudno to sobie wyobrazić. Bez papierów nikt by tego nie opanował.

- I jest tu wszystko, co ma związek z wyjazdami Rafaela za granicę i interesami, jakie tam ubijał? - zapytał Conde, starając się opanować chęć na papierosa.

- Są umowy, czeki i szacunkowe kosztorysy. I oczywiście zawsze rachunki do tego. - Patricia Wong wskazała na dwa stosy papierów. - Musieliśmy zacząć od początku.

- A ile czasu trzeba, żeby to wszystko opanować, Patricio?

Pani porucznik zaśmiała się z tą jej azjatycką rezygnacją, od której zamykały się jej oczy. Na pewno nic nie widzi, nie byłaby w stanie.

- Przynajmniej dwa dni, Mayo.

- Nie, proszę! - krzyknął Conde i spojrzał na Manola. Sierżant błagał go spojrzeniem, wyciągnij mnie stąd, stary, i wydawał się jeszcze chudszy i bardziej zabiedzony niż zwykle.

- Nie jestem Chan Li Po, życie to nie książka. Tyle to trwa - zaprotestowała Patricia, zakładając jedną monumentalną nogę na drugą.

- Dobra, to zrobmy dwie rzeczy. Najszybciej jak się da zdołajcie mi teczkę osobową Maciquesa, bo potrzebuję jego zdjęcia. A druga sprawa, to żebyś potraktowała priorytetowo, no, patrz, priorytetowo, już zaczynam tak gadać, no dobra, żebyś przyjrzała się uważnie wszystkim rozliczeniom i rachunkom za diety Rafaela, Maciquesa i wicedyrektora od spraw ekonomicznych, który obecnie przebywa w Kanadzie. Szukaj też w kosztach reprezentacyjnych, na Kubie i za granicą, i rzuć też okiem na wygórowane premie za udane kontrakty. Jestem pewien, że nic z tego nie wyjdzie, ale muszę to wiedzieć. Przede wszystkim skup się na dwóch kierunkach, Patricio: tym, co Rafael robił w Hiszpanii, bo tam najczęściej jeździł, oraz sprawdź wszystkie

interesy, jakie od objęcia stanowiska dyrektora prowadził z tą japońską firmą... - Sięgnął po swój notes do tylnej kieszeni spodni i przeczytał: - Mitachi, bo ci Chińczycy przylatują na Kubę za kilka dni i coś może być na rzeczy.

- Wszystko bardzo dobrze, tylko nie nazywaj ich Chińczykami, dobrze? - zaprotestowała pani porucznik, a Condemu przypomniało się, że ostatnio Patricia przechodzi fazę azjatyckiej nostalgii, nawet się zapisała do Chińskiego Stowarzyszenia na Kubie, jako bezpośredni potomek.

- No, wiesz, Patricia, z grubsza na jedno wychodzi.

- Ach, Mayo, nie bądź uparty. Może to powiesz mojemu ojcu, zobaczymy, czy cię jeszcze kiedyś zaprosi na obiad.

- Dobra, zostawmy to, nie ma się co spierać.

- Wyglądasz mi coś na zadowolonego, Mayo. Coś tam zwąchałeś, co?

- Oby, Patricio, oby... Sęk w tym, że jedyne, co mam, to stare uprzedzenia oraz to, co mi teraz wyszperasz. Pomóż mi. Patrz, jest jedenasta trzydzieści. Możesz mi przyszykować na drugą to, o co cię prosiłem?

- Na czwartą, nie wcześniej.

- No to kompromis: o trzeciej tu będę. A teraz wypożycz mi proszę chłopaka.

Patricia spojrzała na Manola i wyczytała błaganie w jego rozpaczliwie zezujących oczach.

- W porządku, i tak jego wiedza z zakresu ekonomii i księgowości...

- Dzięki za komplement, pani porucznik - odparł Manolo, który już sobie wsuwał rewolwer za pasek i poprawiał koszulę, żeby zamaskować obecność broni.

- Dobra, to do trzeciej.

- W porządku, ale idź już sobie, Mayo, bo jak będziesz mi tu przesiadywał, to i do piątej się nie wyrobię. Rebeca - zwróciła się do jednej ze swoich specjalistek - zdobądź zdjęcie dla pana porucznika. Niech ci pójdzie na zdrowie, Manolo.

Po dziesięciu latach w zawodzie Mario Conde nauczył się już, że rutyna nie bierze się z braku wyobraźni. Ale Manolo był jeszcze za młody i wołał rozwiązywać każdą sprawę, uciekając się do kilku przesłuchań, jakiegoś tropu szukanego na czuja, żeby znaleźć drugi koniec nitki, i może czasem pomyśleć chwilę, i próbować naciągnąć teorie do granic sensu. W trakcie swojej krótkiej kariery odniósł zbyt wiele sukcesów i Conde, choć nie podzielał wielu z jego teorii, bardzo szanował tego chudego i zabiedzonego chłopaka. Porucznik wielokrotnie ulegał jednak policyjnej rutynie nakazującej mu szukać nieuniknionej dziury w całym. Dużo rutyny i te myśli, które czasem nachodziły go z jakiejś odległej podświadomości, choć nikt ich nie zapraszał, stanowiły jego dwa ulubione narzędzia pracy. Trzecim była zawsze znajomość ludzi: jeśli wiesz, jaki ktoś jest, wiesz, co może zrobić, a czego robić nigdy nie powinien, mawiał do Manola, bo czasami ludzie robią właśnie to, czego robić nie powinni, i powtarzał mu też, że: jak długo będę policjantem, nie przestanę palić ani myśleć, że któregoś dnia napiszę powieść, bardzo elegancką, bardzo romantyczną i bardzo słodką, a także będę opierał się w śledztwach na rutynie. Kiedy już przestanę być policjantem i napiszę tę moją powieść, chętnie bym pracował z wariatami, bo uwielbiam wariatów.

Z czystej rutyny i chcąc się upewnić, czy wie już wszystko o charakterze Rafaela Morína, Conde postanowił przesłuchać Salvadora Gonzáleza, sekretarza Partii, aktywistę organizacji skierowanego do firmy ledwie trzy miesiące wcześniej.

- Nie wiem, na ile będę dla panów przydatny - oznajmił Salvador, odmawiając papierosa podsuwanego mu przez porucznika. Zamiast tego nabił sobie fajkę i skorzystał z zapalki. Był to mężczyzna powyżej pięćdziesiątki i sprawiał wrażenie prostego i zmęczonego. - Ledwie znałem towarzysza Morína, więc jeśli o niego chodzi, zarówno jako człowieka jak i działacza, mogę mieć tylko wrażenia, a nie lubię kierować się wrażeniami.

- Proszę się nimi z nami podzielić - poprosił porucznik.

- No cóż, na zebraniu podsumowującym wypadł bardzo dobrze, naprawdę. Jego raport był jednym z lepszych, jakie kiedykolwiek

słyszałem. Sądzę, że to człowiek, który zrozumiał ducha naszych czasów, domagał się wydajności i jakości pracy, bo ta firma ma wielkie znaczenie dla rozwoju kraju. I złożył samokrytykę, że ma nazbyt centralistyczny styl sprawowania władzy, i poprosił innych towarzyszy, by pomogli w koniecznym rozdystrybuowaniu odpowiedzialności i zadań.

- Proszę dalej.

Sekretarz generalny uśmiechnął się.

- Nawet jeśli naprawdę będę mówił tylko o ulotnych wrażeniach?

- Tak jest.

- Dobrze, skoro pan nalega. Ale proszę pamiętać, to tylko wrażenia... Pan wie, co oznacza możliwość podróżowania, nie tylko w tej firmie, ale w ogóle w kraju. Ten, kto wyjeżdża, czuje się innym, wybrańcem, jakby przekraczał barierę dźwięku... Mam wrażenie, że towarzysz Morin wykorzystywał podróże do zjednywania sobie sympatii. Mówiąc to, opieram się na tym, co widziałem i o czym rozmawialiśmy.

- O czym panowie rozmawialiście? Co pan widział?

- Nic takiego, gdy przygotowywałem zebranie, zapytał mnie, czy lubię podróże.

- I co się stało?

- Opowiedziałem mu, że kiedy byłem mały, czytałem komiks o Kaczorze Donaldzie, w którym Donald wyrusza ze swoimi siostrzeńcami szukać złota na Alasce, i przez dłuższy czas skręcało mnie z zazdrości, że te kaczki miały wujka, który zabiera je na Alaskę. Potem dorosłem i nigdy na Alaskę nie pojechałem ani nigdzie indziej, i uznałem, że - proszę wybaczyć wyrażenie - Alaskę diabli wzięli.

- I nie ma pan innych wrażeń?

- Wolę o nich nie mówić, wie pan?

- Dlaczego?

- Bo nie jestem już zwykłym robotnikiem, ani nawet zwykłym działaczem. Jestem sekretarzem generalnym tej firmy i moje wrażenia mogą zostać odczytane przez pryzmat mojego stanowiska, a nie jako opinie osobiste.

- A jeśli ja o tym zapomnę? I pan też na chwilę zawiesi swoje stanowisko?

- To bardzo trudne dla nas obu, panie poruczniku, ale skoro pan tak nalega, to coś panu powiem, i obym nie popełniał tym samym błędu. - Przerwał na dłuższą chwilę, by wystukać popiół z fajki do popielniczki. Niby nie chciał powiedzieć, pomyślał Conde, ale też bardzo się nie bronił. - Mówią, że ostrożny człowiek wart jest dwóch, a Rafael Morin zawsze wydawał mi się ostrożny w szerokim tego słowa znaczeniu. Ale w każdym są dwie różne osoby i nawet jeśli obie ostrożne, to mimo wszystko jedna zawsze mniej: i właśnie ta zaginęła.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo jestem prawie pewien, że ta wasza współpracownica, skośnooka Mulatka, coś znajdzie. To czuć w powietrzu. To oczywiście tylko wrażenie, więc mogę się mylić, prawda? Już zdarzały mi się pomyłki względem innych towarzyszy. Obym się mylił i teraz, bo w przeciwnym razie będzie to pomyłka nie tylko osobista, rozumie pan?

- Czysta rutyna, co?

- Szlag by go trafił - stwierdził Manolo, opierając się o bagażnik auta. Było trochę po dwunastej i okrągłe południowe słońce próbowało uporać się z chłodem, przyjemnie było się wygrzać, Manolo ściągnął kurtkę, założył sobie okulary przeciwsłoneczne i powiedział ochoczo: - Musimy jeszcze raz przyszpilić Maciquesa, Conde, ale nie tu, tylko w centrali. Do roboty.

Conde wytarł szkła okularów o połą koszuli, przyjrzał się im pod światło i podkasał rękawy dwa, trzy razy, asymetrycznie i zrolował je aż do wysokości łokci.

- Poczekamy. Jest dopiero dwunasta i nasza Chinka powiedziała, że o trzeciej, a Gruby zaczął pewnie dopiero chwilę temu. Chyba zasłużyliśmy na lunch, co? Bo dziś to naprawdę nie wiem, o której skończymy.

Manolo pogładził się po brzuchu i zatarł ręce. Starania słońca były jednak niewystarczające, bo od morza ciągnęła silna, pachnąca i uporzczywa bryza, bez trudu wypierająca ciepłe powietrze.

- Sądzisz, że starczy mi czasu, żebym teraz podskoczył do Wilmy? - zapytał, nie patrząc w stronę swojego współnika.

- No to w końcu wykopała cię czy nie?

- Nie, chłopie, no tylko zazdrosna jest jak cholera.

- Albo jak interesy z wielką kasą.

- Mniej więcej.

- Ale podoba ci się, co?

Manolo próbował kopnąć rozjechaną przez auto puszkę i znów zatarł dłonie.

- No, chyba tak, bracie. W łóżku ona mnie po prostu rozwała.

- Uważaj na siebie, chłopaku - przestrzegł go Conde z uśmiechem. - Miałem taką jedną i prawie mnie wykończyła. Najgorsze jest to, że potem żadna ci nie pasuje. Ale umierać na własne życzenie... No dobra, podrzuc mnie pod dom Chudego, zabierzesz mnie o drugiej, drugiej piętnaście. Wyrobisz się?

- No, a czemu, jak myślisz, jestem lepszy od Fangio? - rzucił i już otwierał drzwi samochodu.

Conde wołał nie rozmawiać w trakcie jazdy. Pędzenie po Hawanie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę wydawało mu się pożałowania godnym szaleństwem, więc uznał, że lepiej, żeby Manolo zajął się kierownicą i swoją szaloną miłością do Wilmy, bo w ten sposób może dojadą żywi. Najgorsze w tym rajdzie było to, że on też nie mógł się skupić, choć ostatecznie to go ucieszyło: nie ma już wiele do rozmyślenia, teraz pozostało czekać, a potem może przyjdzie jeszcze czas na wysilanie mózgowicy.

- O drugiej tutaj - przypomniał Manolowi przed domem Chudego, i o mały włos się nie przeżegnał, widząc, jak chwilę później Manolo wchodzi w zakręt. Dwa cyce lepiej ciągną niż para wołów, pomyślał, przechodząc przez malutki ogródek, który Josefina utrzymywała w równie pięknym stanie, jak wszystko, co tylko wpadło jej w ręce i oko. Róże, słoneczniki, fiołki, pnąca jakota i bardzo stara ozdobna struktura z drewna układały się w kombinację kolorów i zapachów na czystej i ciemnej ziemi, grzechem śmiertelnym byłoby rzucić tu niedopałek, nawet gdyby zrobił to Chudy Carlos. Drzwi domu były jak zawsze otwarte, już na progu poczuł zapach doskonałego sosu - na patelni spotkały się sok z gorzkich

pomarańczy, luskany czosnek, cebula, pieprz i oliwa - w którym skąpać się miało mięso szykowane tego dnia przez Josefinę dla jej syna, o nieliczne dostępne mu przyjemności dbała jeszcze bardziej niż o ogród. Od kiedy Chudy wrócił jako nieuleczalny inwalida, kobieta ta, z której twarzy nigdy nie znikł promienny uśmiech, poświęciła mu swoje życie, nie tracąc pogody ducha i godząc się z losem, a trwało to już dziewięć lat, zaś codzienne szykowanie synowi jedzenia stanowiło rytuał być może najpełniej wyrażający jej ból i czułość. Chudy odmówił stosowania się do rad lekarza, który przestrzegał go przed niebezpieczeństwami związanymi z tuszą, uznał, że odraczać śmierć może i tak tylko o krótkie terminy, i chciał żyć w pełni, jak czynił zawsze. Jeśli mamy pić, to pijmy, jeśli mamy jeść, to jedzmy, mawiał, a Josefina wychodziła ze skóry, żeby zaspokoić jego zachcianki.

- Dla mnie też nakryj - odezwał się Conde, wchodząc do kuchni, ucałował spocone czoło kobiety i nadstawił swoje do całusa, ale się go nie doczekał, bo doznał przyływu miłości i smutku, więc musiał chwycić ją mocno, jakby chciał udusić, i powiedział: - Uwielbiam cię, Josefino - i dopiero wtedy puścił, i powstrzymując napływające nieubłagane łzy, podszedł do stolika, na którym w termosie stała kawa.

- A co ty robisz, Condeczku, skończyłeś już robotę na dziś?

- Dobrze by było, Josefino - pociągnął łyk kawy - ale wpadłem tylko spałaszować to, coś tutaj naszykowałem.

- Słuchaj no, chłopcze - odezwała się, przerywając na chwilę prace kulinarne. - W jaką ty się wpakowałeś kabałę?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, kobieto, takie tam moje typowe bagienko.

- Coś z tą dziewczyną, która chodziła z wami do klasy?

- Zaraz, zaraz, a co ci naopowiadał ten łotr, twój syn?

- Nie udawaj głupiego, w całej dzielnicy było słyhać, jak wczoraj gadaliście na cały głos.

Conde wrzucił ramionami i uśmiechnął się. Bo co on właściwie powiedział?

- Iy, a co ty się tak wystroiłaś? - Zmienił nagle temat, lustrując ją od stóp do głów.



- Wystroiliam? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja wyglądam, jak się naprawdę porządnie odstrzele... Nic specjalnego, właśnie wróciłam od lekarza i nie zdążyłam się przebrać.

- A co ci jest, Josefino? - zapytał, pochylając się lekko, żeby zobaczyć jej twarz, skierowaną w stronę pieca.

- Nie wiem, chłopcze. Taki ból od dawna, tylko że ostatnio daje popalić. Jakby palenie tu, pod żołądkiem, ale czasami boli, jakby mi kto tam nożem wiercił.

- I co na to lekarz?

- No jak na razie nic. Kazał mi zrobić badania, prześwietlenie i taki test, co trzeba połykać jakąś rurkę.

- No, ale co, nic ci nie powiedział, tylko tyle?

- A czegoś byś jeszcze chciał, Condeczku?

- A bo ja wiem. Nic mi nie mówiłaś. Pogadałbym z Andresem, tym, co chodził z nami do szkoły. Jest świetnym lekarzem.

- Nie przejmuj się tak, ten mój lekarz też jest dobry.

- Jak ja mam się nie przejmować, kobieto, skoro ty nigdy nic nie powiesz. Słuchaj, jutro rano pogadam z Andresem o tych wszystkich badaniach i niech Chudy zadzwoni...

Josefina odstawiła garnek i spojrzała na przyjaciela swego syna.

- Niech on nigdzie nie dzwoni. Nie mów mu nic, dobrze?

Wtedy Conde poczuł, że musi nalać sobie jeszcze jedną kawę i zapalić jeszcze jednego papierosa, żeby nie objąć Josefiny i nie powiedzieć jej, jak bardzo się boi.

- Nie przejmuj się. Ja zadzwonię. Nieźle pachnie ten *sanco cho*. - I wyszedł z kuchni.

Wspomnienia Maria Conde zawsze prowadziły go do melancholii. Kiedy przekroczył granicę trzydziestu lat i związek z Haydée dobiegi kresu w namiętnych konwulsjach seksualnego rozpasania, odkrył, że lubi oddawać się wspomnieniom w nadziei na poprawę swojego życia, i traktował swój los jak żywą i ponoszącą winę istotę, której można stawiać zarzuty, rościć pretensje, obnosić się ze swoim niezadowoleniem i wątpliwościami. Przy takich okazjach wątpił także i w swoją pracę, bo choć wiedział, że nie jest jakiś

specjalnie srogi ani strasznie rzutki, ani nie stanowi żadnego tam wzorca zachowań, acz mimo to niektórzy jego koledzy mają go za dobrego policjanta, to jednak myślał, że w innym zawodzie okazałby się bardziej pożyteczny, tyle że w takich razach przekuwał swoje zwątpienie w skuteczność, dzięki której zyskiwał prestiż, przez niego samego uważany za trudne do wyjaśnienia i pojęcia oszustwo. I powrót Tamary komplikował mu teraz ten ciężki spokój, odzyskany po zdradzie Haydée, dzięki nocom spędzonym na baseballu, picciu, słuchaniu nostalgicznej muzyki i pochłanianiu wykwintnych dań, wszystko to przy akompaniamencie rozmów z Chudym; choć i tak nie przestawał marzyć, żeby to wszystko okazało się nieprawdą, żeby Chudy znów był chudy, żeby nigdy nie umarł i nie wyglądał jak kula mięsa i tłuszczu, która właśnie siedzi bez koszuli i chłonie południowe słońce przed domem. Conde widział wałeczki na jego brzuchu i czerwone kropeczki pokrywające mu plecy, szyję i pierś, jak ukąszenia bardzo zajadłych insektów.

- O czym myślisz, draniu? - zapytał, gładząc go po włosach.

- O niczym, cwaniaku. Myślałem sobie o tej całej aferze z Rafaelem i nagle tak mi się zrobiło pusto w głowie - odpowiedział jego przyjaciel i zerknął na zegarek. - O której po ciebie przyjadą?

- Już się zbieram, Manolo powinien tu zaraz być. Jeśli nie będę mógł wpaść wieczorem, zadzwonię i dam ci znać.

- Ale nie rozmyślaj za dużo, źle ci robi na trawienie.

- Nic na to nie poradzę, Chudy.

- E tam, gadasz. Przestań zaśmiewać sobie głowę, kolego, bo jak coś się spieprzyło, to się nie naprawi tylko dlatego, że będziesz sobie nad tym cały dzień łeb łamał. To, jak zresztą wszystko, jest takie jak w baseballu: żeby wygrać, trzeba mieć jaja. A my mamy jaja jak berety. I to dlatego we dwóch prawie rozwaliliśmy wtedy tych cieniasów z liceum La Habana, pamiętasz?

- Jakby to było dziś - odpowiedział Conde i wstał gotów do odbicia, po czym wziął rozmach. Obaj widzieli, jak piłka leci tak daleko, aż uderzyła w ogrodzenie, pod tablicą z wynikami, na samym końcu pola.

- *Surprise!* - wykrzyknęła porucznik Patricia Wong, a jej oczy zniknęły w uśmiechu, gdy potrząsała prawą ręką, w której dzierżyła zszyte formularze, stanowiące najwyraźniej źródło całej jej radości. Conde czuł w piersi, że poruszenie Chinki jest niczym transfuzja: wdzierало się w jego ciało i zaczynało je ogarniać, w takim tempie, że cały wibrował, a serce biło mu szybciej.

- Mamy go? - Gorączkowo szukał papierosa w kieszeni kurtki, i niemal krzyknął, widząc, jak oczy znów znikają z twarzy jego współpracowniczki, kiwającej twierdząco głową.

- Wreszcie coś, cholera - sapnął Manolo i przechwycił w powietrzu papierosa, którego Conde wsadzał sobie do ust. Porucznik, który nienawidził tego sporadycznego acz powtarzającego się żarciku kolegi, odpuścił sobie zwyczajowe wyzwiska, przysunął tylko krzesło w stronę porucznik Patricii Wong.

- No, kochana, co jest grane?

- Tak jak mówiłeś, Mayo, tak jak mówiłeś, tyle że bardziej zagmatwane. Patrz, tutaj pewnie mamy początek wszystkiego, choć zostało nam do przejrzania jeszcze pełno papierów, cały stos - podkreśliła i zaczęła szukać czegoś między kartkami. - Ale tutaj zaczyna się coś dziać, Mayo, właśnie tu. W drugim półroczu osiemdziesiątego ósmego, bo tylko to przejrzelśmy, Rafael Morin dwa razy wyjechał do Hiszpanii i raz do Japonii. Ma więcej godzin lotów niż kosmonauta... Popatrz, do Japonii poleciał w związku z interesami z Mitachi, ale o tym potem.

- No, mów, mów - poganiał ją Conde.

- Więc patrz, wyjazdy trwały po szesnaście i osiemnaście dni w Hiszpanii i dziewięć w Japonii, za każdym razem miał do sfinalizowania po cztery umowy, z wyjątkiem pierwszej wyprawy, kiedy były tylko trzy. Koszty reprezentacyjne to prawdziwa fura dolarów (nigdy sobie nie wyobrażałam, że to aż tyle... potem ci dokładnie wyliczę), są tu spisane zasady, jaka kwota przypada na dany kontakt handlowy, ale on zawsze sobie przyznawał podwójną kwotę, jakby miał pracować więcej albo być tam dłużej. To już przegięcie, ale tak naprawdę trudno zrozumieć, o co chodzi z dietami, Mayo. Nie ma tu rozliczeń, które powinien wypełnić po powrocie z tych trzech delegacji, ale i tak najdziwniejsze jest to, że mamy tu diety

za wyjazd do Panamy, który został odwołany, a on pobranych kwot nie zwrócił. Nie rozumiem tego, każdy audyt by to wylapał.

- Tak, to dziwne, ale jest coś jeszcze, co? - zapytał porucznik, kiedy Patricia położyła stos papierów na biurku. Jego radość zaczynała się rozmywać, takie partactwo nie miało w sobie nic z Morina.

- Oj, Mayo, trochę cierpliwości. Daj mi dokończyć.

- No, Patricio, możesz teraz udowodnić, że jesteś lepsza od Chan Li Po.

- Udowodnię. Patrz, tu mamy lont prowadzący nas do prawdziwej bomby: nasza firma eksportowo-importowa ma konto w Banku Bilbao Vizcaya, którego nominalnym właścicielem jest jakaś spółka zarejestrowana w Panamie i posiadająca rzekomo filię na Kubie. To coś jakby korporacja i nazywa się Rosal, wygląda na to, że stworzono ją, żeby uniknąć amerykańskiej blokady. Rachunek Rosal można uruchomić trzema podpisami: wiceministra Fernández-Lorei, naszego przyjaciela Maciquesa i oczywiście Rafaela Morina, tyle że zawsze potrzebne są przynajmniej dwa z tych podpisów... Rozumiesz?

- Dokładam wszelkich i najszczerzych starań.

- No to teraz chwyć się mocno, chłopie: o ile te papiery nie wprowadzają mnie w błąd, bo też powinny być jeszcze inne, których tu nie widać, ale nie chcę być przesadnie podejrzliwa, o ile mnie nie wprowadzają w błąd, w grudniu dokonano dużej wypłaty, która nijak nie pasuje do żadnych zobowiązań finansowych przypadających na ten okres.

- I kto jej dokonał?

- Nie bądź naiwny, Mayo, to wie tylko bank.

- Jestem naiwny... No to teraz mnie zaskocz: ile to jest duża wypłata, Patricio?

- Parę tysięcy. Więcej niż sto, więcej niż dwieście, więcej niż...

- Kurde! - wykrzyknął Manolo, szukając następnego papierosa. - I na co mu to?

- Wolnego, Manolo, jakbym była wróżką, tobym tu nie siedziała w zakurzonych papierach.

- Nie przejmuj się nim, Patricia, proszę, mów dalej... - poprosił Conde, w głowie miał obraz Tamary, przemowę Rafaela

z pierwszego dnia w szkole, dzwonek, w który uderzał kierownik obozu, posesję na Dziesiątego Października, niezawodny i pewny uśmiech człowieka, który teraz gdzieś zaginał, i wydało mu się to wszystko śmieszne, takie śmieszne.

- Wydaje mi się, że to wszystko ma związek z Mitachi. Mayo, Japończycy mieli pojawić się dopiero w lutym, a wcześniej Rafael miał polecieć do Barcelony, jakiś zakup od hiszpańskiej spółki, jeszcze tego nie sprawdziłam, ale mogę się założyć, że z japońskim kapitałem. I jeśli to się potwierdzi, to mogę się założyć o podwójną stawkę, że ten kapitał pochodzi od Mitachi.

- Wolnego, kochana, wolnego i mów do mnie po ludzku.

- Boże, Mayo, ale ty wolno kapujesz. - Ciężko westchnęła Patricia, ale jej uśmiech znów pochłonął oczy. - To proste jak drut: Rafael Morin musiał robić interesy z Mitachi, jakby prowadził własną działalność, obracając przy tym pieniędzmi firmy albo jeszcze lepiej - środkami Rosal. Teraz chwytasz?

- W mig - odparował kompletnie zaskoczony Manolo i spróbował się uśmiechnąć.

- I mówisz, że brakuje niektórych papierów?

- Brakuje.

- Będą w innych archiwach?

- Możliwe, Mayo, ale ja w to nie wierzę. Gdyby to o jeden tylko chodziło...

- Więc je wyniesiono?

- Też możliwe, ale najdziwniejsze jest to, że nie zabrali wszystkich od razu, łącznie z dietami, bo to i sam Morin mógł sfałszować.

- Czyli jednych jest za dużo, a innych brakuje?

- Mniej więcej, Mayo.

- Hmm, ja chyba wiem, dlaczego niektórych jest za dużo i gdzie są te brakujące.

Kiedy major Rangel powiedział mi: tutaj możesz przychodzić bez munduru, pracować w cywilu, i widziałem go w tej oliwkowej marynarce, z wyhaftowanym stopniem na pagonach, a prezentował

się imponująco, to wtedy pomyślałem, to jakiś żart, chyba już mogę zrezygnować, bo to tak, jakbym w zasadzie przestał być policjantem, a przecież tak naprawdę właśnie się nim stałem. Pierwszy raz, kiedy wyszedłem w mundurze na ulicę, po ukończeniu akademii, czułem się w połowie zawstydzony, ludzie tak się na mnie gapili, a w połowie miałem wrażenie, że teraz jestem kimś, ubiór scalał mi się z ciałem, czynił mnie pełniejszym, kimś innym niż reszta, byłem świadomy, że ludzie już zawsze będą na mnie patrzeć, choćbym wcale nie chciał, bo nie jestem już taki, jak inni, i to mi się podobało i nie podobało zarazem, bardzo dziwne. Już od dziecka często się przebierałem; ponieważ był ze mnie taki chudzina, nigdy nie zakładałem tak jak inni chłopcy, że zostanę policjantem, generałem czy kosmonautą, tylko przebierałem się przez jakiś czas za Zorro, kiedy indziej za Robin Hooda albo za pirata z opaską na oku, może powinienem być aktorem, a nie policjantem. Ale zostałem policjantem i wydaje mi się, że od początku cieszyłem się, że będę nosił mundur, naprawdę, i to tak na serio, bawiłem się w policjanta, aż do chwili, kiedy przyjechałem wozem patrolowym akademii do rudery w El Moro. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, było tam pełno ludzi, mam wrażenie, że cała dzielnica, i wszyscy patrzyli na nas, poprawiłem sobie czapkę, nie była zbyt nowa ani moja, poprawiłem spodnie i nałożyłem sobie ciemne okulary, miałem publiczność i byłem kimś ważnym, nie? Kobietę, która miała atak, zabrano już do szpitala, panowała tam sakramencka cisza, bo przyjechaliśmy, wiesz, a taki jeden mocno starszy Murzyn, siwiuteńki, musiał być bardzo leciwy i pełnił funkcję przewodniczącego komitetu osiedlowego, powiedział nam: Tędy, towarzysze, i weszliśmy do małego domku - miał dach z blachy falistej, a ściany częściowo z nieotynkowanej cegły, jedną z kartonu, a jedną też z blachy - a jak się tylko weszło, to się człowiek od razu czuł jak surowy chleb wsadzony do pieca, i nie wyobrażałeś sobie, że ludzie jeszcze mogą tak żyć, i była tam na łóżku, prawie zemdląłem, nie lubię tego nawet wspominać, bo pamiętam to i widzę, jakbym tam teraz był, i nawet czuję to gorąco jak z pieca: całe prześcieradło było we krwi, krew rozlała się po podłodze, zachlapała ścianę, a ona wciąż leżała skulona i bez ruchu, bo nie żyła;

zabił ją ojczym podczas próby gwałtu, a potem się dowiedziałem, że miała ledwie siedem lat, i przeklinałem godzinę, w której zapi-  
sałem się do policji, bo ja naprawdę wierzyłem, że takie rzeczy się  
nie zdarzają, a jak człowiek zostaje policjantem, to się dowiaduje,  
że się zdarzają, takie i jeszcze gorsze, i że na tym polega twoja  
praca, i wtedy zaczynasz wątpić, czy powinieneś robić to wszystko,  
czego cię uczyli w akademii, czy wziąć rewolwer i na miejscu  
wpakować sześć kulek temu, kto to zrobił. O mało nie złożyłem  
wymówienia, ale nie, zostałem i krótko potem skierowali mnie do  
centrali, a major powiedział mi właśnie to: powinieneś przychodzić  
bez munduru i będziesz pracował z Condem, i mam wrażenie, że  
coraz bardziej podoba mi się bycie policjantem. Nie rozumiesz  
mnie, co? Choćbym wyszedł na ulicę bez munduru i ludzie nie będą  
wiedzieć, kim jestem, już mnie to nie obchodzi, i ty mi pomogłeś  
w tym, żeby mnie nie obchodziło, choć bardziej niż ty pomagają  
mi tacy ludzie jak Rafael Morin. Niezły typek, co? Jakim prawem  
ktoś sobie pogrywa tym, co jest moje i twoje, i tamtego starego, co  
sprzedaje gazety, i tej kobiety, co przechodzi przez ulicę i może  
umrze ze starości, nie mając pojęcia, jak to jest jeździć własnym  
samochodem, mieszkać w ładnym domu, spacerować sobie po  
Barcelonie albo spryskać się perfumami za sto dolarów, i może  
właśnie zaraz stanie w trzygodzinnej kolejce po siatkę ziemniaków,  
Conde. No, jakim prawem?

- To wy? Jak się masz, Mario? Proszę wejść, sierzancie. - Uśmie-  
cha się zmieszana, Conde całuje ją w policzek jak za dawnych  
czasów, a Manolo podaje jej rękę, wymieniają powitania i idą do  
salonu. - Coś się stało, Mario? - pyta wreszcie.

- Dzieje się, dzieje, Tamaro. W firmie brakuje trochę papierów,  
które mogą dostarczyć dowodów przeciwko Rafaelowi.

Ona zapomina o niepokornym kosmyku i pociera dłonie. Nagle  
staje się malutka, bezbronna i niepewna.

- Jakich dowodów?

- W sprawie kradzieży, Tamaro. Dlatego przyszliśmy.

- Ale co on ukradł, Mario?

- Pieniądze. Dużo pieniędzy.
  - O mój Boże - ona wydaje okrzyk i oczy jej wilgotnieją; a Conde myśli, że teraz rzeczywiście ma powód do płaczu. To w końcu jej mąż, nie? Ojciec jej dziecka, nie? Jej narzeczony jeszcze z liceum, nie?
  - Chciałbym zajrzeć do sejfu w bibliotece, Tamaro.
  - Do sejfu? - Kolejne zdziwienie, a on oddycha z ulgą. Nie będzie płakać.
  - Tak, pewnie znasz szyfr, prawda?
  - No, ale od lat stoi pusty. Znaczący nie ma tam pieniędzy ani takich rzeczy. Z tego, co pamiętam, leży tam tylko akt własności domu i papiery dotyczące grobów rodzinnych.
  - Ale zna pani szyfr, tak? - tym razem dopytuje się Manolo, znów niczym kot, chudy, sprężysty i najeżony.
  - Tak, jest w tym notesie z telefonami Rafaela, jako jeden z numerów.
  - Może pani otworzyć sejf, towarzyszeko? - Nalega sierżant, a ona przygląda się Condemu.
  - Proszę, Tamaro.
  - O co chodzi, Mario? - pyta go, choć tak naprawdę pyta samą siebie, i rusza w stronę biblioteki.
- Kłękając przez fałszywym kominkiem, otwiera ochronną kratę, a Condemu przypomina się, że jutro Trzech Króli, a Królowie zawsze chętnie dostawali się z prezentami do środka przez kominy. Może tam w środku czeka już na niego podarunek, wyjątkowo wczesny w tym roku. Tamara odczytuje sześć cyfr i zaczyna manipulować pokrętłem, a Conde próbuje dojrzeć coś ponad plecami Manola, który zajął pierwszy rząd. Ona po raz szósty obraca pokrętłem, w lewo, wreszcie pociąga za metaliczne drzwi i wstaje.
- Obyś się mylił, Mario.
  - Obym - odpowiada i dopiero Kidy Tamara odsuwa się, podchodzi do kominka, klęka i z zimnych metalowych wnętrzości wyciąga białą kopertę. Wstaje i patrzy na nią. Nie umie tego powstrzymać: czuje namacalne współczucie dla tej kobiety, która się dla niego rozebrała i przyprawiła go o frustrację i której, coraz bardziej się o tym przekonuje, wolałby już więcej nie spotkać. Ale



otwiera kopertę, wyciąga kilka kartek i czyta, podczas gdy Manola aż nosi z niecierpliwości. - Lepiej niż sądziliśmy. - Podnosi wzrok i wkłada papiery do koperty, Tamara wciąż pociera nerwowo ręce, a Manolo nie może ustać spokojnie. - Maciques ma konto w banku Hispanoamericano i własny samochód w Hiszpanii. Tu mamy kserokopie.

Major Rangel przygląda się bolesnej agonii swojego cygara Rey del Mundo tak, jak patrzy się na śmierć ukochanego psa. Dlatego, odkładając końcówkę na popielniczkę, żałuje, że nie traktował go lepiej, to było kompletnie nieudane palenie, w trakcie wysłuchiwania wyjaśnień porucznika Maria Conde.

- Trudno uwierzyć - wygłosił werdykt i starał się nie patrzeć na wypalające się cygaro, może w to też nie mógł uwierzyć. - I jak to możliwe, te wszystkie numery naraz?

- Takie numery są teraz modne, Stary... Przecież to był pracownik obdarzony pełnią zaufania. Człowiek o świetlanej przyszłości. Był czystszy i świętszy niż woda święcona.

- Nie bądź taki sarkastyczny, to niczego nie tłumaczy.

- Stary, nie wiem, dlaczego tak cię dziwi brak kontroli w tej firmie. Za każdym razem, kiedy przeprowadza się naprawdę niespodziewany audyt, wszędzie wyłażą na jaw takie przekręty, które trudno sobie wyobrazić, trudno wyjaśnić, ale jakoś zawsze się znajdują. Zapomniałeś już o administratorze-milionerze od piekarni Ward i o tym drugim od barów Pío-Pío, i jeszcze...

- Dobra, dobra, Mario, ale pozwól mi się trochę dziwić, co? Człowiek ma skłonność do tego, by wierzyć, że ludzie się tak łatwo nie deprawują, a, jak sam mówisz, Rafael Morin cieszył się pełnym zaufaniem, a patrz, na co sobie pozwalał... Ale o tym jeszcze pogadamy, chciałbym się teraz dowiedzieć, gdzie ten facet jest. Muszę to wiedzieć, żeby podać sprawę na tacy ministrowi przemysłu.

Conde przyjrzał się suchemu i wymęczonemu papierosowi „popularnemu”, z zamazanym napisem, tytoniem wysypującym się obficie z obu stron, z niechlujnie sklejonego pudełka, no ale to był

już ostatni, więc kiedy go zapalił, z przyjemnością posmakował skrytą moc tego dymu.

- Nie potrzebujesz więcej ludzi?

- Nie, dokończę to. Widzisz, wszystko wskazuje na to, że Rafael Morin planował zrobić wszystkim niespodziankę podczas wyjazdu do Barcelony, teraz w styczniu. Miał zniknąć z całą kasą i sporą kwotą już zabezpieczoną i zainwestowaną, a ponieważ wiedział, że na razie nie będą mu grzebać w papierach, poczuł się zbyt pewny i zaczął kombinować z tymi dietami i kosztami reprezentacyjnymi, żeby jeszcze coś urwać, nie? Jeden z informatorów Grubego Contrerasa, znaczny kapitań Contrerasa, niejaki Yayo el Yuma, mówi, że zdjęcie kogoś mu przypomina, ale musiałby osobiście zobaczyć, żeby się upewnić. Możliwe więc, że wymieniał też dolary na kubańskie pesos, by mieć na miejscowe wydatki, które, jak mówi Zoila, małe nie były.

- A straż graniczna dalej nic?

- Nic, przynajmniej na razie, i podejrzewam, że nigdy niczego nie znajdują, choć teraz wydaje się logiczne, że się wplątał w jakąś aferę i wysłali go na tamten świat... Ale jestem pewien, że za tym stoi Maciques... Bo jeśli nie, to dlaczego Rafael trzymał te wszystkie papiery Maciquesa u siebie w domu? W każdym razie sprawy się pokomplikowały, kiedy Rafael dowiedział się, że ludzie z Mitachi przyjeżdżają na Kubę wcześniej, popatrz, tu jest teleks, przyszedł trzydziestego rano, wygląda na to, że bardzo im zależało na tym interesie, bo jak jest dobry biznes, to ci Azjaci mają w nosie i koniec roku, i choinkę. A Rafael wiedział, że w spotkaniach będzie uczestniczył wiceminister, a może i minister, i jeszcze ludzie z innych firm. Zdał sobie sprawę, jak mówię, że go przyłapią, i się schował albo go schowali siłą. Tak więc nielegalny wyjazd z kraju to możliwość całkiem realna, tyle że nie mógł wyjechać, bo już byśmy o tym wiedzieli. Pomyśl, Stary, to wielki magnat kubańskiej ekonomii. I jeśli czegoś jestem pewien, ale tak na sto procent, to że Rafael nie próbował wypłynąć na tratwie z dwóch dętek od ciężarówki, ryzykując życiem. On poszukałby bezpieczniejszego środka i dotarłby już do Miami... Rafael Morin jest na Kubie.

- A jeśli chciał uniknąć skandalu, żeby nie zablokowali mu rachunku w Hiszpanii? - Major Rangel przetarł oczy, a Conde zauważył, że porusza się bardzo niespokojnie jak na swój temperament.

- Podejrzewam, że nawet, jakby nie chciał, w Miami i tak zrobiłoby się o tym głośno. A poza tym czas działał na jego korzyść. Przecież był zaufanym pracownikiem, tak?

- Tak mówileś.

- No i cóż, wiedział, że nikt nie będzie go o to podejrzewał, a gdyby tylko dotarł do jakiegoś banku w Miami, w pół godziny miałby te pieniądze w rękę. Wykalkulował, że przez parę dni niczego nie będzie się podejrzewać i nikt nie założy, że facet, który osiem czy dziesięć razy w roku wyjeżdża za granicę, mógł zdecydować się na ucieczkę łodzią.

- Tak, tak, tak musiało być... Ale nie zabrał papierów z dietami. Chinka je znalazła.

- No i tu mi właśnie coś nie pasuje. Myślałem, że Maciques zostawił je tam trzydziestego pierwszego w południe, ale wtedy Rafael musiał mieć te papiery w rękę.

- Ale co w tym wszystkim robi Maciques?

- Też bym się chciał tego dowiedzieć, ale jestem pewien, że jest unurzany w gównie po uszy. On wie o wszystkim, w każdym razie o najważniejszych sprawach, bo trzeciego, kiedy Manolo go przesłuchiwał, wyraźnie się denerwował, i ciągle coś tam pomijał czy zmieniał temat, byle tylko szybko skończyć rozmowę. A dziś był już innym człowiekiem. Bardzo pewny siebie, jakby w ogóle nie było sprawy, bo już był przekonany, że nie będzie miał żadnych problemów, nawet jeśli wyjdą te kanty Rafaela z dietami, kosztami reprezentacyjnymi i tak dalej, o których się dowiemy, bo i tak byśmy się dowiedzieli. Ale nie dziś, tylko jutro albo pojutrze. Wygląda na to, że przez te dni od zniknięcia szefa zdołał się uspokoić, bo nie podejrzewał, że Rafael trzyma te dokumenty w sejfie.

- Czyli jest współnikiem Rafaela Morina?

- Nie, co najwyżej pomagierem. Zwróć uwagę na to, że miał w banku jakieś cztery tysiące z kawałkiem, no a Rafael operował

kwotami rzędu setek tysięcy. Coś w tym jest dziwnego. Tak czy inaczej pojedę go teraz przesłuchać z Manolem, może wyciągniemy z niego coś nowego.

Major wstał i podszedł do szerokiego okna. Była dopiero szósta, a nad Hawanę już się ściemniało. Z tej wysokości wawrzyny widać było z perspektywy, która nie interesowała Condego, on wolał widok ze swojego małego okienka, więc nadal siedział.

- Musisz znaleźć tego sukinsyna, choćby siedział pod ziemią - odezwał się Stary swoim najpoważniejszym i najgłębszym głosem, nie cierpiał takich sytuacji, czuł się oszukany i złościło go, że takie oszustwa trafiają do niego dopiero wtedy, kiedy się już dokonają. - Zadzwońię do ministra przemysłu, żeby załatwił tę sprawę z pie niedźmi w Hiszpanii i żeby to sobie przemyślał, bo to bardziej ich problem niż nasz. Ale teraz powiedz mi jedną rzecz, Mario, dla czego taki człowiek jak Rafael Morin zrobił coś takiego?

- Mamy gościa i chyba trzeba będzie zacząć jeszcze raz.

- Ale co ja mam panu powiedzieć, sierżancie? - René Maciques odpowiedział pytaniem i popatrzył na Condego, który wszedł i usiadł na krześle pod oknem. Porucznik zapalił papierosa i wymienił spojrzenia z sierżantem. No, ciśnij go.

- O czym rozmawiał pan z Morinem trzydziestego pierwszego?

- Mówiłem już, o normalnych sprawach związanych z pracą, że rok dobrze nam się zamknął i o raportach, które mieliśmy przedstawić.

- I więcej go pan nie widział?

- Nie, wyszedłem z imprezy chwilę przed nim.

- A co pan wiedział o tych przekrętach?

- Mówiłem już, że nic, sierżancie, nie miałem pojęcia, że dzieje się coś takiego. I w sumie dalej w to nie wierzę, nie rozumiem, dlaczego miałby zrobić coś takiego.

- Jaką ponosi pan odpowiedzialność w tej sprawie?

- Odpowiedzialność? Ja? Żadną, sierżancie, jestem tylko kierownikiem biura, ja nie podejmuję żadnych decyzji.

Conde zgasił papierosa i wstał. Podszedł do biurka.

- Wzrusza mnie pańska naiwność, Maciques.
- No, aleja...
- Proszę się już nie wysilać. Przypomina to panu coś? Conde wyjął z koperty dwie kserokopie i położył je na biurku przed Maciquesem. Kierownik biura popatrzył na policjantów i wreszcie pochylił się, i siedział tak przez chwilę, która zdawała się wieczna: jakby nagle stracił umiejętność czytania.
- Porucznik zadał panu pytanie - przypomniał Manolo i zabrał kopie. - Co to panu przypomina?
- Gdzie były te papiery?
- Ciągle mnie pan zmusza, żebym przypomniiał, że to my tu zadajemy pytania... Ale sprawię panu przyjemność. Były dobrze schowane, w sejfie, w domu Rafaela Morina. Co oznaczają te dokumenty, Maciques? - nalegał Manolo i stanął między przesłuchiwanym i biurkiem.
- René Maciques podniósł wzrok na przesłuchującego. Stał się teraz zagubionym człowieczkiem, melancholijnym i podstarzałym bibliotekarzem. Sierżant Manuel Palacios dał mu trochę czasu, wiedział, że doszli do kluczowego momentu przesłuchania, kiedy przesłuchiwany musi zdecydować, czy wyznać prawdę, czy trzymać się z nadzieją kłamstwa. Ale Maciques nie miał wyboru.
- To pułapka zastawiona przez Rafaela - powiedział jednak. - Nie wiem nic o tych papierach. Nigdy w życiu ich nie widziałem. Sami panowie mówiliście, że używał mojego nazwiska do swoich spraw. No i to najwyraźniej jedna z nich.
- Więc Rafael Morin chciał panu zaszkodzić?
- Na to wygląda.
- Maciques, co znajdziemy w pańskim domu, kiedy zrobimy rewizję?
- U mnie w domu? Nic. Normalne rzeczy. Człowiek trochę podróżuje, robi zakupy.
- Za co, za środki na koszty reprezentacyjne?
- Tłumaczyłem już, że oszczędza się na dietach.
- A jak się zamyka grubszy interes, nie ma jakichś premii? Samochód na przykład?
- Ale ja nie zamykałem grubszych spraw.

- Maciques, potrafiłby pan zabić człowieka?

Kierownik biura znów podniósł wzrok, ale jego oczy już nie błyszczały.

- Co to ma znaczyć?

- Potrafiłby pan czy nie?

- Nie, oczywiście, że nie.

I wciąż przecząco kręcił głową.

- Po co pan poszedł do biura trzydziestego pierwszego? I niech pan nie opowiada już o klimatyzacji.

- A co mam powiedzieć?

Wtedy Conde podszedł ponownie do biurka i stanął przed Maciquesem.

- Posłuchaj, Maciques, ja nie mam takiej cierpliwości jak sierżant. Powiem teraz wszystko, co o panu myślę, i wiem, że w ten czy inny sposób pan to potwierdzi, dziś, jutro, pojutrze... Z pana jest kawał gnoja i złodziej, tak jak z pańskiego szefa, tyle że ostrożniejszy i z mniejszą władzą. Sprawdzają już w Hiszpanii te papiery i może bank odmówi informacji, ale sprawa z samochodem jest prostsza, niż się panu wydaje. Z jakiegoś, jeszcze mi nieznanego powodu, Rafael dobrze schował te dokumenty, może żeby się przed panem bronić, bo wiedział, że mógłby pan wyciągnąć na światło dzienne tę jego nieuregulowaną dietę i podwojone koszty reprezentacyjne. I Rafael się pojawi, nie wiem, czy żywy, czy martwy, w Hiszpanii czy na Grenlandii, ale pojawi się, i pan zacznie mówić, ale choćby się pan zarzekał, toś pan jest umoczony w gównie, Maciques. Proszę o tym pamiętać. I żeby to sobie lepiej przemyśleć, posiedzi pan trochę sam i od dziś zamieszka tu, w centrali... Sierżancie, proszę przygotować papiery i zwrócić się do prokuratury o areszt śledczy dla obywatela Renegó Maciquesa. Z możliwością przedłużenia. Jeszcze się zobaczymy, Maciques.

Mario Conde patrzył na inne wawrzyny, te które zdobiły Paseo del Prado, bardzo blisko morza, i powtórzył sobie to pytanie. Od strony zatoki podnosił się przenikliwy wiatr, który zmuszał

go do chowania dłoni w kieszeniach kurtki, ale chciał pomyśleć i pospacerować, wmieszać się w tłum ludzi i zamaskować swoją pyrrusową radość oraz frustrację policjanta zadowolonego z tego, że znów odkrył ludzką podłość. Dlaczego Rafael Morin zrobił coś takiego? Dlaczego chciał więcej, więcej, coraz więcej? Conde przyglądał się Pałacowi Ślubów i chryslerowi 57, błyszcząca czerń, przyozdobiony balonikami i kwiatami, czekał na ślubne wyjście pary czterdziestolatków, którzy się zdecydowali i teraz uśmiechali się do obowiązkowego zdjęcia na schodach. Przyglądał się wytrwałym, którzy stali w kolejce po pizzę na Prado, nie bacząc na ziąb, i zobaczył kartki przymocowane do pnia wawrzynu, że ktoś potrzebuje mieszkania i w ten czy inny sposób chciałby skombinować sobie kilka metrów pod dachem. Przyglądał się dwóm fatalistycznym i zagubionym homoseksualistom, którzy dygocząc z zimna, minęli go, posyłając mu prostoduszne i pozbawione złych intencji spojrzenie. Przyglądał się spokojnemu Mulatowi, opierającemu się o latarnię, wyglądał jak rastafarianin bez powołania, z idealnymi dreadami schowanymi pod czarnym beretem, czekał zapewne na pierwszego rozmownego cudzoziemca, żeby zaproponować mu rozpaczliwe pięć za jednego, sześć, *mister*, siedem za jednego, *broder*, mam też trawkę, wszystko, co trzeba, żeby otworzyć bramy zakazanego świata dostatku. Przyjrzał się latarni po drugiej stronie ulicy, gdzie jakaś prowokująco wymalowana blondyna telepała się z zimna, zdecydowana, by sugerować za wszelką cenę, że choćby śnieg sypał, ona będzie gorąca, wykrzywiła przy tym usta z grymasem doświadczonej obciążaczki; blondyna, dla której śmiertelnik krajowej produkcji jak Mario Conde wart był mniej niż splunięcie pijaka, czekała na takie same dolary jak jej kolega Mulat rastafarianin i gotowa była zaoferować jeden za trzydzieści: swoją młodzieńczą, wyćwiconą, uperfumowaną i zabezpieczoną przed wścieklizną czy innymi chorobskami szparkę za wyśnione dolary, obciążanko płatne ekstra, *ofcourse*. Przyglądał się jeżdżącemu na wrotkach dziecku, skakało nad kartonowym pudełkiem, i dalej mknęło w ciemność. Doszedł do parku Centralnego i był bliski włączenia się w odwieczną

dyskusję baseballową, która toczy się codziennie, niezależnie od chłodu i skwaru, a jej celem jest ustalenie przyczyn kolejnej porażki tych palantów z Industriales; jaj, jaj brakuje tym facetom, miał ochotę wykrzyknąć w imieniu Chudego, który nie jest już ani chudy, ani sprawny, żeby stać tam samemu i wykrzykiwać te słowa. Przyglądał się światłom hotelu Inglaterra i półmrokowi spowijającemu Teatr Garcii Lorki, kolejce do kina Payret, smrodliwemu smutkowi portali Centrum Asturyjskiego i agresywnej i odrapanej brzydocie Domu Towarowego Gómeza. Czuł nieustające pulsowanie tego miasta, w którym próbował zrobić trochę porządku, i pomyślał o Tamarze, ona na niego czekała, i zamierzał do niej przyjść, być może żeby zadać jej to samo pytanie, nic więcej.

Kilka miesięcy później, kiedy sprawa Rafaela Morina była już zamknięta i René Maciques odsiadywał swoją karę, a Tamara, zawsze piękna, patrzyła na niego swoimi nieustająco wilgotnymi oczami, wciąż zadawał sobie to samo pytanie i wyobrażał sobie smutek Rafaela Morina, małego magnata w Miami, którego całe bogactwo, te pięćset tysięcy dolarów, stanowiłoby raptem wygraną na loterii niewystarczającą na kupienie tego wszystkiego, co zdobył jako zaufany i błyskotliwie awansujący pracownik firmy. Tej nocy zatrzymał się tylko obok grupki fanatycznych kibiców i zapalił papierosa. Wszyscy wykrzykiwali, by sobie ulżyć, że menedżer grupy to debil, że główny miotacz to cienias, tylko ci, co byli wcześniej, naprawdę potrafili grać, jakbyśmy wciąż mieli Cháveza i Urbana, La Guaguę i Laza, wołali, i wtedy on wyobraził sobie, że wpycha się między dwóch potężnych i rozsierzdzonych Murzynów, którzy spojrzeliby na niego z przyganą, a ten to skąd się wziął, i krzyczy w ich stronę, jaj, brakuje im jaj, i ucieka, zostawiając tych zawodowych dyskutantów pogrążonych w osłupieniu, przebiega przez ulicę i wpada pod owiane wonią gazu, wysuszonego moczu i prekolumbijskich wymiotów portyki Centrum Asturyjskiego, gdzie jakaś para za kolumną próbuje skosztować swoje żarliwe potrzeby, i natyka się na zamurowane drzwi restauracji Floridita, ZAMKNIĘTE Z POWODU REMONTU, i traci nadzieję na podwójny rum, bez lodu,



popijany w kącie należącym wyłącznie do starego Hemingwaya, gdzie rozparłby się chętnie za barem z nieśmiertelnego drewna, gdzie Ernest i Ava Gardner pocałowali się skandalicznie i gdzie wiele lat temu ulokował się, żeby napisać powieść o elegancji, i gdzie kolejny raz zadałby sobie to pytanie, by udzielić jedynej przynoszącej spokój odpowiedzi: bo zawsze był skurwysynem. Bo co jeszcze?

- Mogę puścić muzykę?

- Nie, nie teraz - odpowiada i kładzie głowę na oparciu wytartej sofy, patrzy na sufit, krzyżuje ręce na piersi, wydaje się, że znowu jest jej bardzo zimno, choć wcześniej spuściła rękawy swetra. On zapala papierosa i rzuca zapałkę do popielniczki Murano.

- O czym myślisz? - Przyjmuje taką samą pozę jak ona. Sufit to sufit.

- O tym, co się dzieje, o wszystkim, co mi powiedziałaś, a o czym mogłabym myśleć?

- Nie przeczuwałaś tego? Naprawdę?

- No przecież ci mówiłam, Mario.

- Ale może coś zauważyłaś, podejrzewałaś?

- Ale co miało mi się niby wydać podejrzanę? Że kupił sprzęt muzyczny, że przynosił whisky albo rower dla dziecka? Sukienka za sto pięćdziesiąt dolarów, to jest podejrzanę?

On myśli: to wszystko jest normalne. Dla niej to wszystko zawsze było normalne, urodziła się w tym domu i z tym poczuciem normalności, które każe patrzeć na świat z innej perspektywy, wydaje się on ładniejszy i nie tak skomplikowany, i Mario zastanawia się, czy to nie z winy tego świata Tamary Rafaelowi poprzestawiało się w głowie. Choć wie, że nie.

- Co teraz będzie, Mario? - To ona zadaje pytanie, przestała już patrzeć w sufit i przerwała ciszę, i kładzie ramię na oparciu, chowa stopę pod udo i przegania niestrudzony kosmyk włosów. Chce mu się przyjrzeć.

- Muszą się jeszcze zdarzyć dwie rzeczy. Po pierwsze, musi się pojawić Rafael, żywy albo martwy, na Kubie czy gdzie tam teraz

jest. A po drugie Maciques opowie nam, co wie. Może to też nam pomoże w znalezieniu Rafaela.

- To jakieś trzęsienie ziemi.

- Tak, to jak trzęsienie ziemi - przyznaje on. - Wszystko, co nie jest zamocowane, pada, i podejrzewam, że tak się właśnie czujesz. Ale sędzę, że i tak potoczyło się to nienajgorzej. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby Rafael dotarł do Barcelony i wyjął te wszystkie pieniądze, i nawiał?

- Mogłoby być miło. Zamieszkalibyśmy w Genewie, w domku z dachówkami, na wzgórzu.

Podnosi się z sofy, po czym znika w jadalni. On nie może temu zaradzić, patrzy na nią jak zawsze, tyle że już widział te pośladki, zapamiętał dokładnie to nienadające się do baletu ciało i przemierzył je swoimi dłońmi i wargami, ale to wspomnienie boli go jak wbita drzazga, że lepiej nie tykać. Dom w Genewie, dlaczego w Genewie? Przygląda sobie włosy koniuszkami palców i stwierdza, że tak, że zaczyna łysieć. Zapomniałem, on też wstaje z kanapy, zostawia w spokoju łysinę, Genewę i pośladki Tamary i szuka wśród płyt czegoś, co by pomogło mu poczuć się lepiej. To jest to, myśli na widok płyty Sarah Vaughan, *Walkman Jazz* się nazywa, kładzie na adapter i nastawia bardzo cicho muzykę, żeby ta cudowna Murzynka zaśpiewała mu *Cheek to Cheek*. Tamara powraca wraz z ciemnym i ciepłym głosem Sarah Vaughan, niesie dwie szklanki.

- Wyczerpiemy do końca zapasy: kończy się whisky w piwnicach Rafaela Morina. - Podaje mu jedną, wraca na kanapę i jak wprawny marynarz upija pierwszy łyk.

- Wiem, jak się czujesz. To nie jest łatwe ani dla ciebie, ani dla nikogo, ale ty nie jesteś winna, a ja tym bardziej. Oby to się nigdy nie zdarzyło i Rafael był taki, za jakiego wszyscy go uważali, i nie wplątał się w taką aferę.

- Żałujesz czegoś? - Ona przystępuje do ataku, znów jest jej ciepło, więc podkasuje rękawy swetra. Znów upija łyk.

- Niczego nie żałuję, myślałem o tobie.

- Więc lepiej za mnie się nie wypowiadaj. Jeśli Rafael ukradł te pieniądze, niech za to zapłaci, nikt mu nie kazał. Nigdy o nic

go nie prosiłam, wiesz o tym dobrze, Mario Conde. Sądziłam, że lepiej mnie znasz. Nie czuję się winna, a jeśli z czegoś miałam przyjemność, to taką jaką każdy by miał. Nie spodziewaj się, że zacznę się tu spowiadać i bić w piersi.

- No, widzę, że nie znam cię aż tak dobrze.

Sarah Vaughan śpiewa *Lullaby of Birdland*, to najlepsza piosenka, jaką on zna, kiedy trzeba uciec do magicznej krainy Oz, ale Tamara nie przestaje i on wie, że lepiej, żeby wyrzuciła to wszystko z siebie, niech mówi i mówi...

- No i w dodatku uważasz, że jestem niewdzięcznicą i sama nie wiem, co tam jeszcze, i pewnie powinnam powiedzieć, że nie, że to wszystko oszczerstwa, że mój mąż nie jest zdolny do czegoś takiego, a potem się rozplakać, co? Tak się należy zachowywać w takich przypadkach, prawda? Ale ja nie mam aktorskiego powołania ani nie jestem egocentryczną cierpiętnicą jak ty. Nie mam z tym nic wspólnego... Chciałabym, żeby to wszystko się nie zdarzyło, serio, ale czy ty wiesz, co to znaczy mieć czyste sumienie?

- Nie pamiętam już.

- A ja tak, jakbyś nie wiedział albo wyobrażał sobie coś innego. Już ci to wcześniej mówiłam: Rafael miał tyle, ile mu pozwalali mieć albo ile mu się należało, sama nie wiem, i wszyscy wiedzieli, że jak wracał z delegacji, to przywoził różne rzeczy i wszystko było normalnie, a on był bardzo dobry. Wszyscy wiedzieli i... Dobra, nie chcę o tym więcej gadać, chyba że zechcesz mnie przesłuchać, ale wtedy słowem się nie odezwę, w każdym razie nie do ciebie.

On się uśmiecha i wraca na kanapę. Siada bardzo blisko niej, dotyka jej kolana swoim, zastanawia się, a potem zbiera się na odwagę: powoli kładzie dłoń na jej udzie, boi się, że może mu uciec, ale udo wciąż tam jest, pod jego dłonią, a on mocno ściska to jędrne i żywe ciało i czuje delikatne drżenie, głęboko pod skórą. Patrzy jej w oczy i widzi błyszczącą wilgoć, która zmienia się w łzę, coraz grubsza, wreszcie ścieka po ramię i ześlizguje się po nosie Tamary, i on pojmuję, że gotów jest na wszystko, byle tylko nie widzieć, jak ona płacze. Kładzie głowę na jego ramieniu, on wie,

że ona wciąż płacze, cichym i zmęczonym płaczem, i słyszy, jak mówi już bez złości:

- Prawdę mówiąc, spodziewałam się tego. Tego albo czegoś podobnego, bo jemu już nic nie wystarczało i marzył, żeby mieć więcej, bawił się w potężnego biznesmena, pewnie sobie wyobrażał, że jest pierwszym kubańskim *yuppie* czy coś w tym guście... Ale ja też się przyzwyczaiłam do łatwego życia, że wszystko mam i wszystko jest wygodne, że on pogada z jakimś znajomym i nie będę musiała odrabiać stażu w Las Tunas, że wakacje spędzamy w Varadero i tak dalej; i w końcu zaczynałam się bać, że moje życie może się zmienić, choć chyba od dłuższego czasu już go nie kochałam, i kiedy wyjeżdżał, lubiłam zostawać sama z małym, tutaj, w domu, nie myśląc o tym, że wróci późno, powie, że jest zmęczony, i położy się spać albo zamknie w bibliotece, żeby pisać te swoje raporty, albo będzie mi mówił, jak to się wszystko komplikuje. Wiem też, że od jakiegoś czasu kręcił z innymi kobietami, tego nie potrafił przede mną ukryć, ale tak ja ci mówiłam, bałam się, że stracę ten spokój, który tak mi odpowiadał. A to, co zrobiłam z tobą, nie przydarzyło mi się z nikim innym, nie myśl sobie.

On nie widzi jej oczu ukrytych za niepoprawnym kosmykiem, ale wie, że ona już nie płacze. Widzi, jak dopija whisky, i robi to samo. Ona wstaje, Boże, mówi i idzie do kuchni, a on czuje na wewnętrznej części dłoni ciepło, które ukradł Tamarze. Teraz wie, że może iść do łóżka z tą kobietą, która nie dawała mu spokoju przez siedemnaście lat, i odstawia swoją szklanekę na kryształowy stolik, zapomina o papierosie dymiącym na popielnicze, zostawia swój rewolwer na poduszce od kanapy. Czuje siłę i idzie za nią do kuchni. Ona stoi do niego plecami, ponownie napełnia szklanekę whisky, a on łapie ją w pasie, zmusza, by dalej tak stała przy blacie. Zaczyna gładzić jej biodra niespełnionej tancerki, znany mu już brzuch i zmierza w stronę najczęściej omawianych piersi w liceum La Víbora, a ona pozwala mu na te pieszczoty, aż w końcu nie wytrzymuje i obraca się, i ofiarowuje mu swoje usta, język, zęby, ślinę o smaku szkockiej whisky *finest quality*, a on ciągnie za suwak od swetra, ona nie używa już staników jak kiedyś, i pochyla głowę, żeby kąsać te ciemne sutki, żeby aż podskoczyła z bólu,

i zsuwa jej spodnie, trochę niezręcznie próbuje poradzić sobie z majteczkami i klęka jak skruszony grzesznik, żeby wessać całą kobiecość Tamary, a potem ją pocałować, a potem zacząć pożerać, niesiony bardzo starym i nigdy niezaspokojonym głodem.

I z zapomnianą wręcz siłą podnosi ją i podchodzi do stołu, czuje tak, jak nigdy nie czuł żadnej kobiety. Podwajają tę ich miłość na kanapie w salonie. Potrają ją i poddają się wreszcie na łóżku w sypialni.

Podnosi klapkę ekspresu i widzi kawę, bardzo czarną, która zaczyna wytryskiwać z gorących wnętrzości aparatu. Światło przedziera się przez korony drzew i przenika do kuchennych okien, a Mario dosypuje do filiżanki cztery łyżeczki cukru. Ranek zapowiada się słonecznie i przeczuwa, że już nie będzie tak zimno. Miesza kawę, aż cukier się rozpuszcza, i wlewa ją z powrotem do ekspresu, żeby się zrobiła żółta i gęsta pianka. Wtedy wypija pół filiżanki i wreszcie może myśleć. Ona śpi na górze, jest za dziesięć siódma, a o siódmej ona wstanie, ocenia on, zapalając pierwszego papierosa. To ciągle powtarzający się rytuał, bez którego nie mógłby zacząć dnia; myśli o Rufinie i o tym, co się stanie, jeśli zakocha się w Tamarze. Nie umie sobie tego wyobrazić, stwierdza, i nawet kręci przecząco głową, wciąż w to nie wierzę, powtarza i patrzy na ubrania swoje i Tamary leżące na krześle, przełożył je tu przed zrobieniem kawy. Próżność zadowolonego mężczyzny po pamiętnych dokonaniach erotycznych ledwie pozwala mu zebrać myśli, wie, że pokonał Rafaela Morína, i żałuje, że nie mógł dzielić z Chudym ostatniej części tej historii, tej z udanym podbojem i kolonizacją, wie, że nie powinien, no ale przecież muszę mu opowiedzieć.

- Dzień dobry, poruczniku - mówi ona, a on prawie podskakuje na krześle i w tej właśnie chwili wie już, że jeśli nie ucieknie, to się zakocha.

Lubi słyszeć kobiecego głos, kiedy zaczyna się dzień, i jeszcze zdaje sobie sprawę, że taka Tamara jest piękniejsza, w domowym szlafroku niedbale zapiętym na guzik, usta bez szminki, a jedna strona twarzy ma ślady po poduszce, wszystkie kosmyki jej włosów są teraz niepokorne, uparte, niepokonane i buntownicze, zakrywają jej czoło i oczy, zaczerwienione z niewyspania, ale widać, że porusza się jak kobieta spełniona i pewna siebie, z tych, co to nawet mogą zaśpiewać w trakcie czyszczenia okopconego kotła, a teraz podchodzi do niego, całuje go w usta i po tym, dopiero po tym, pyta o kawę, a on właśnie już zrozumiał: albo ucieknie, albo będzie po nim.

- Szkoda, że na tym świecie trzeba pracować, nie? - odzywa się, chowając uśmiech w filiżance.

- Co by się stało, gdyby przez te drzwi wkroczył teraz twój mąż? - Conde nastawił się na kolejne zwierzenie.

- Poczęstowałabym go kawą i musiałby przyznać, że jest doskonała, prawda?

Jechał przepelnionym autobusem, nie gubiąc ani na chwilę uśmiechu; potem przeszedł sześć przecznic i wciąż się uśmiechał; wszedł do centrali i wszyscy widzieli, że jest uśmiechnięty, i nie przestawał się śmiać na schodach, i nawet kiedy już znalazł się w gabinecie, gdzie czekał na niego sierżant Manuel Palacios z nogami na biurku i gazetą w rękach.

- Co z tobą? - zapytał Manolo i też się uśmiechnął, przeczuwając dobre wiadomości.

- A nic, dzisiaj jest Trzech Króli i spodziewam się prezentu... Co tam nowego, współniku?

- E, ja myślałem, że to ty masz dobre wieści. Nowego to nic... Co robimy z Maciquesem?

- Zaczniemy od początku. Aż się zmęczy. Kiedyś w końcu będzie mieć dość. Widziałeś się dziś z Patricia?

- Nie, ale zostawiła strażnikowi wiadomość, że jedzie prosto do tej ich firmy. Wczoraj skończyła o ósmej wieczorem, a dzisiejszy poranek chyba witała już tam.

- Widziałeś raporty?

- Jeszcze nie, dopiero przyszedłem i zacząłem czytać o AIDS, w gazecie piszą. Przejebane, bracie, nawet bzykać już nie można spokojnie.

Conde uśmiechnął się, wciąż się uśmiechał, i powiedział:

- No, przeczytaj to sobie uważnie. Ja przejrzę te raporty, żeby się dobrać do Maciquesa.

- Dzięki, szefuniu. Obyś zawsze był rano taki radosny - rzucił sierżant i znów wywalił nogi na biurko.

Conde uznał, że pójdzie schodami, i idąc tak, stwierdził, że jest w formie i że mógłby teraz pisać. Napisałby bardzo ascetyczne opowiadanie o trójkącie miłosnym, w którym bohaterowie przeżywaliby taką samą historię jak kiedyś, tylko tym razem w innych rolach. Byłaby to historia o miłości i melancholii, bez gwałtowności i nienawiści, ze zwykłymi ludźmi o zwykłych historiach, takich jak te, które przydarzają się znajomym, bo powinno się pisać o tym, co się zna, orzekł i przypomniał sobie Hemingwaya, on pisał o tym, co znał, Miki też zajmował się tym, co mu było wygodne.

Na korytarzu skręcił w stronę Departamentu Informacji, z którego właśnie wychodził kapitan Jorin, sprawiający wrażenie wyczerpanego i skołowanego, jak jakiś rekonwalescent.

- Dzień dobry, mistrzu. Co słychać? - Uścisnęli sobie dłonie.

- Już mamy jednego, Conde.

- A, to dobrze.

- Nie tak dobrze. Przesłuchaliśmy go wczoraj wieczorem i mówi, że był sam. Chciałbym, żebyś go zobaczył, uparty jest i silny, gnojek, reaguje, jakby go to niespecjalnie obchodziło. A wiesz, ile ma lat? Szesnaście, Conde, szesnaście. Ja, który trzydzieści lat w policji robię, wciąż dziwię się takim rzeczom. Ale na mnie nie ma rady... Widzisz, on się przyznaje, że rzucił się na chłopaka, żeby mu zabrać rower, a mówi to, jakby gadał o meczu, z takim samym spokojem, z jakim twierdzi, że był sam.

- Ale to już nie jest dzieciak, kapitanie. Jak go złapaliście?

Jorin uśmiechnął się, pokiwał głową i przejechał sobie ręką po twarzy, jakby próbował rozprostować zmarszczki znaczące jego skórę.



- Dlatego, że jechał na rowerze zamordowanego, cały szczęśliwy i spokojny, i dzięki portretowi pamięciowemu świadka. Wiedziałeś, że są ludzie, którzy robią takie rzeczy tylko z jakiejś wewnętrznej potrzeby?

- Tak czytałem.

- Zapomnij o książkach. Jeśli chciałbyś to zobaczyć na własne oczy, zobacz sobie tego typka. Ta sprawa... Nie wiem, Conde, ale naprawdę wydaje mi się, że powinienem to zostawić. Coraz bardziej mnie to dotyka i...

Jorin podniósł tylko rękę na znak pożegnania i skierował się w stronę windy. Conde patrzył, jak odchodzi, i pomyślał, że być może ten stary wyga ma rację. Trzydzieści lat to dużo jak na ten zawód, stwierdził i pchnął drzwi do Departamentu Informacji. Mijane dziewczyny obdarzał uśmiechami i ustawił się przed biurkiem pani sierżant Dalii Acosty: była oficerem straży departamentu i zawsze się zastanawiał, jak to możliwe, że *na* głowie jednej kobiety mieści się tyle włosów.

- I co tam ze strażą morską?

- Niewiele. Przy takim północnym wietrze niewielu ludzi się wypuszcza, ale zobacz, to właśnie przyszło z Hawany Wschód. Przeczytaj sobie...

Conde wziął wydruk z komputera i rozpoczął lekturę:

„Zwłoki niezidentyfikowane. Ślady zabójstwa i walki. Sprawa otwarta. Wstępne orzeczenie lekarza: między 72 a 96 godzinami od śmierci. Znaleziony w pustym mieszkaniu, osiedle Brisas del Mar. Styczeń 5/89, 23:00”.

Odłożył kartkę na blat biurka.

- Kiedy to przyszło, Dalio?

- Dziesięć minut temu, poruczniku.

- To dlaczego nie dzwoniłaś?

- Zadzwoniłam, jak tylko przyszło, ale Manolo powiedział mi, że pan już tu idzie.

- Są jeszcze jakieś inne informacje?
- Jest jeszcze papier z Medycyny Sądowej.
- Pokaż, zaraz ci oddam. Dzięki.

Wciąż jeszcze chodziłem w mundurze, zawsze miałem przy sobie walizeczkę i ciągle pracowałem w archiwach na tym starym komputerze, Felicia, wyglądał jak wystawa sklepowa, tajemniczy i aż nazbyt wydajny. Nosilem rewolwer za paskiem, ale czapki zdzierzyć nie mogłem i starałem się nigdy jej nie zakładać po tym, jak przeczytałem w jakimś czasopiśmie, że czapka jest podstawową przyczyną łysienia, i tego dnia zrobiła się już prawie dziewiąta wieczorem i jedyne, o czym marzyłem, to rzucić się na łóżko, myślałem o łóżku, wlekąc się na przystanek autobusowy, kiedy nagle usłyszałem uporczywy klakson, zakląłem, bo zawsze przeklinam pod adresem ludzi, którzy tak trąbią, i obejrzałem się, żeby zobaczyć facjatę tego typu, pewnie będzie miał dwa rogi i jeszcze widły w ręku, i zobaczyłem rękę w pozdrawiającym geście wyciągniętą nad dachem samochodu. Do mnie to? Tak, do mnie, blask świateł na szybie nie pozwalał mi zobaczyć wyraźnie, a poza tym ciemno było, ale podszedłem w nadziei, że może ten ktoś mnie podwiezie. Nie widziałem go jakieś pięć lat, ale choćby i sto minęło, też bym go poznał.

- Kurde, chłopie, aż mnie ręka rozboleła od tego trąbienia - powiedział, uśmiechając się jak zawsze, ja się też uśmiechnąłem, sam nie wiem dlaczego.

- No, cześć, Rafael - przywitałem go i sięgnąłem ręką przez okno auta, on mocno uściśnął mi dłoń. - Dawno się nie widzieliśmy. A co u Tamary?

- Jedziesz do domu?

- Tak, właśnie skończyłem robotę i wracam...

- Wsiadaj, podrzucę cię do La Víbora. - I wsiadłem do jego łady, pachniała skórą, smarem i nowością, i Rafael ruszył, ostatni raz wtedy rozmawialiśmy.

- Czym się teraz zajmujesz? - zapytałem go, tak jak pytam każdego znajomego.

- Wciąż to samo, Ministerstwo Przemysłu, jakoś to pcham do przodu - wyjaśnił swobodnym tonem, mówił nadal z takim samym luzem i równie przekonująco, jak zawsze, kiedy gadał z kumplami, zupełnie inaczej niż podczas mocnych i jeszcze bardziej przekonujących wystąpień na trybunach.

- I już ci auto dali, co?

- Nie, nie, to służbowe, w sumie używam jak swoje, no bo sam wiesz, właśnie wracam z zebrania w Izbie Handlowej, i tak przez cały czas. To ciężka praca...

- A Tamara? - Nalegałem i powiedział tylko, że w porządku, właśnie skończyła staż tu niedaleko, w Bejucal, a teraz pracuje w nowej klinice, otwarli ją niedawno w Lawton. Nie, nie mamy jeszcze dzieci, ale niedługo się tym zajmiemy, powiedział.

- A tobie jak leci?

Próbowałem dojrzeć, jaki film puszczały w kinie Florida, kiedy jechaliśmy przez Agua Dulce, i myślałem, żeby mu powiedzieć, że u mnie nie tak dobrze, że jestem biurokratą przetwarzającym dane, a w zeszłym miesiącu znów operowali Chudego, że nie wiem, dlaczego ożeniłem się z Martizą, ale nie miałem ochoty.

- W porządku, bracie, w porządku.

- Słuchaj, wpadnij no kiedyś do nas, napijemy się - zaproponował na wysokości Dziesiątego Października i Dolores i pomyślałem, że Rafael nigdy wcześniej nie powiedział mi niczego takiego, ani Chudemu, ani Królikowi, ani Andresowi, żadnemu z nas, więc kiedy zatrzymał się na światłach przy Santa Catalina, żeby móc wysiąść, zdołałem tylko powiedzieć:

- Zgadamy się któregoś dnia. Pozdrów Tamarę.

I znów podaliśmy sobie ręce, i zobaczyłem, jak skręca za Santa Catalina, migacz zamigał, a on zatrąbił dwa razy na pożegnanie i odjechał tym pachnącym nowością samochodem. Wtedy pomyślałem sobie: gnojku ty, chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, bo jestem w policji, co? I aż się zaśmiałem, ten ostatni raz, kiedy widziałem Rafaela Morina.

Teraz w jego oczach nie było już tego błysku i nie rozbrzmiewał głos, którym hipnotyzował tłum. Nie było już tej aury czystości na jego świeżo ogolonej, wykąpanej i wyspanej twarzy. Wydawało się, że przytył, nabrał fioletowawej i chorobliwej tuszy, i powinien natychmiast uczesać swoje kasztanowe włosy.

- To on - powiedział Conde i lekarz znów nakrył go przeście radłem, jakby spuszczał kurtynę po ostatnim akcie pozbawionej uroku czy emocji sztuki.

- No proszę, przecież to mój przyjaciel Conde - powiedział, a Conde pomyślał: ten to jest czarniejszy niż noc.

Porucznik Raúl Booz uśmiechał się, a białe zęby godne młodego konia rozjaśniały nieco atramentową czerń jego twarzy. Nikt by nie powiedział, że człowiek ten liczy więcej niż siedem stóp i waży trzysta funtów, ale już na sam jego widok Conde robił się nerwowym. Jak on może być taki duży i taki czarny, zastanawiał się, wstając i ściskając rękę porucznika śledczego Raula Booza.

- Znasz już sierżanta Manuela Palaciosą, prawda?

- Tak, tak - odparł Booz i też się uśmiechnął do Manola, po czym usiadł na kanapie ustawionej pod jedną ścianą gabinetu. - Więc to ty szukałeś tego faceta.

Conde przytaknął i streścił mu historię zaginięcia Rafaela Morína Rodrígueza.

- No to ja ci go podam na tacy, bracie. To będzie najłatwiejsza sprawa twojego życia. Popatrz. - Podał Condemu teczkę leżącą do-  
tąd na kanapie. - Pod jednym paznokciem miał ludzki włos z głowy. Oczywiście, będzie należał do człowieka, który go zamordował.

- A co autopsja, poruczniku?

- Wszystko jasne jak słońce. Umarł pierwszego w nocy, albo drugiego nad ranem. Lekarz nie jest całkiem pewny, bo z powodu chłodu rozkład się spowolnił, dlatego nikt nie poczuł ciała. Ma złamany drugi i trzeci kręgosłup, które nacisnęły na rdzeń kręgowy i to spowodowało śmierć, miał też poważny, acz nie śmiertelny uraz mózgu.

- Ale jak to się stało, poruczniku, jak to mogło wyglądać? - wy-  
skoczy! Manolo, nie patrząc do teczki, którą podawał mu Conde.

Porucznik Raúl Booz, kierownik grupy kryminalistycznej na Hawanę Wschód, popatrzył na swoje paznokcie i dopiero po chwili się odezwał:

- Wczoraj, tak koło dziesiątej wieczorem, mieliśmy telefon do stacji w Guanabo, że z jednego z pustych domów w Brisas del Mar rozchodzi się dziwny zapach, a tylne drzwi mają rozwalony zamek. Na tym odcinku ulicy stoją tylko dwa domy, ten, który zimą jest głównie pusty, i drugi, należący do kobiety, która dzwoniła, jakieś dwadzieścia metrów dalej. Nasi ludzie z Guanabo tam pojechali i znaleźli w łazience trupa. Wszystko zdaje się wskazywać, że umarł, upadając na wannę, ale uderzenie było tak potężne, że nie może chodzić o poślizgnięcie, Palacios. Pchnięto go, a wcześniej odbyła się walka, może nawet bardzo krótka, podczas której denat podrapał napastnika i wyrwał mu włos, który teraz badamy. Należał do mężczyzny rasy białej, jakieś czterdzieści lat, pięć stóp i cztery może osiem cali wzrostu, włosy oczywiście czarne... Od tego trzeba będzie zacząć.

- Chyba raczej skończyć, poruczniku - stwierdził Conde.

- Jest jednak coś, co komplikuje sprawę. Choć może zabójstwo nie było zaplanowane, potem stało się coś bardzo dziwnego. Zabójca rozebrał ofiarę i zabrał ubranie, nie ma też walizki albo skórzanej torby, którą zamordowany musiał trzymać w rękach krótko przed walką, bo ma resztki skóry na dłoniach. Musiała sporo ważyć, bo przekładał to sobie z ręki do ręki.

- A jakieś inne ślady, samochody albo coś takiego?

- Nie, nic. Świeże ślady należą do zmarłego i widać je na rozwalonych drzwiach, w kuchni, na fotelu w salonie i w łazience. Wygląda na to, że na kogoś tam czekał, prawie na pewno na zabójcę. Przeczesujemy okolicę, jednak nie ma ani walizki, ani ubrań zamordowanego. No ale sprawa jest ładniutka, co?

- A co ty na to, Booz, jeśli w ciągu dwóch godzin zadzwonię do ciebie i potwierdzę, że nazwisko zabójcy brzmi René Maciques? - zapytał Conde, wstając i poprawiając rewolwer, który z uporem uciekał mu zza paska.

Conde chciał zapalić papierosa, ale się powstrzymał. Zamiast tego wyjął długopis i zaczął nim pstrykać. W ciszy panującej w klitce monotonny dźwięk rozbrzmiewał agresywnym echem.

- I co, Maciques? - zapytał wreszcie Manolo, a Maciques podniósł głowę.

To kameleon, pomyślał Conde. Nie wyglądał już na dziarskiego działacza z pierwszego spotkania ani na wyciszonego bibliotekarza z nagrania. Ledwie jeden dzień bez golenia wystarczył, by z kierownika biura zrobił się modelowy włóczęga, a dygot jego rąk przywodził na myśl straszną i wyniszczającą zimę.

- To jego wina. - Maciques próbował wyprostować się na krześle. - To on wykombinował ten cały przekręt, kiedy dowiedział się, że go przyłapią. Co do reszty nie wiem, jak to się stało.

- A ja myślę, że jednak pan wie. - Upierał się Manolo.

- Tak się tylko wyraziłem. Chodzi mi o to, że nie pojmuję tego... Przyszedł do mnie trzydziestego wieczorem i powiedział, że ludzie z Mitachi przyspieszyli przyjazd i że to oznacza dla niego kłopoty. Ja nie wiedziałem, co to za afera, choć mogłem się domyślać, zapewne jakieś problemy finansowe, a on powiedział, że musi wyjechać z kraju. Tłumaczyłem mu, że to wariactwo, że to nie takie proste, a on na to, że proste, że łódką można, a on ma dziesięć tysięcy kubańskich pesos i jakieś tysiąc pięćset dolarów, żeby opłacić kurs, i że ja mam mu kogoś znaleźć. Wtedy mnie zaszantażował kontem bankowym i tym samochodem. Wciąż nie wiem, jak mu się udało skserować te papiery, no ale miał je. Nie, nie, z tym samochodem to on sobie chyba wcześniej zaplanował: dali mu go w prezencie, a on dał go mnie i oczywiście od razu sprzedałem, ryzykowne było, więc sprzedałem... No więc ja mu powtarzałem, że to wariactwo i że gra ze mną nie fair, a on na to, żeby szukał łodzi i zapomniał o reszcie. Prawdę mówiąc, nawet nie próbowałem szukać dla niego transportu, myślałem, że jakoś mi się uda odzyskać te papiery.

- Zabijając go, Maciques?

Mężczyzna pokręcił głową. To był mechaniczny i gwałtowny gest, tak jak dygot jego rąk.

- Nie, sierzancie, w jakiś inny sposób... Ale żeby zyskać na cza sie, powiedziałem mu, że znalazłem łódź na pierwszego, o świcie,

po zabawie sylwestrowej, powiedziałem mu, że tak będzie najłatwiej wypłynąć, a ten od łodzi ma pozwolenie na połów ryb, więc o czwartej mamy być w Guanabo, a ja chciałem, żeby go widziano na zabawie. Już mu się wydawało, że jest poza Kubą, był jeszcze pewniejszy siebie i dumniejszy niż zwykle, kawał bydlaka, niech mnie szlag, cieszcie się, panowie, że go nie znacie... Teraz jak o tym myślę, to mi się wydaje, że trzeba to było zatrzymać na początku. Ale czy wy, panowie, wiecie, co to jest strach? Strach przed utratą wszystkiego, może przed wylądowaniem w więzieniu, przed tym, że się przestanie być człowiekiem. Dlatego to zrobiłem, zabrałem go z domu po imprezie i zawiozłem do Guanabo. Zaparkowałem tam, koło Veneciana, przy rzece, i powiedziałem, że idę po tego gościa, a tymczasem przeszedłem się do plaży i posiedziałem tam chwilę. Kiedy wróciłem i powiedziałem mu, że to musi być nocą, wściekł się kompletnie, nigdy go nie widziałem w takim stanie, obraził mnie, powiedział mi, że jestem gównem wart i nie wiem co tam jeszcze, i żebym się cieszył, że on wyjeżdża, bo w przeciwnym razie, to by mi pokazał, i takie tam rzeczy. Wtedy go zawiozłem do tego domu. Wiedziałem, że zimą zawsze stoi pusty, bo mój znajomy wynajmuje go od września od właścicieli, weszliśmy, ja mu powiedziałem, żeby poczekał tam do nocy, że wypłynie wcześniej, tak mówił facet od łodzi, i wtedy wróciłem do Hawany.

- I o czym pan wtedy myślał, Maciques?

- Myślałem... o niczym. Może o tym, co zrobię nocą. Że pojadę i oznajmię, że wszystko gotowe. Wtedy zamierzałem odebrać mu walizkę, w której miał papiery, i powiedzieć mu, żeby sam sobie poszukał łodzi. Wiecie, panowie, czym mi zagroził, jak tylko mnie zobaczył? Że napisze do mnie z Miami i powie, gdzie schował kopie, że dobrze je ukrył i nikt ich nie znajdzie. Wtedy to ja się wściekłem i wykrzyczałem, co o nim myślę, od dawna już, i on mnie uderzył, ale to mięczak był, trzepnął mnie ot tak, otwartą dłońią, tu mnie trafił, nad uchem, i to wtedy go odepchnąłem, a on upadł na wannę... Tak to było - zakończył i ukrył twarz w dłoniach.

- To pan wsadził tę jego dietę z Panamy i inne rzeczy do papierów w firmie, prawda?

- Musiałem się przecież bronić, nie? Bo podejrzewałem, że on szykuje mi jakiś numer, i musiałem się bronić. Co za sukin syn - stwierdził ostatkiem sił.

- I sądził pan, że się z tego wywinie, Maciques? - zapytał Conde, wstając. Przez chwilę myślał, że ten postarzały i pokonany człowiek zasługuje na współczucie, ale to była tylko przelotna myśl. Obraz porażki nie przysłał uczucia obrzydzenia, jakie wzbudzała cała ta historia. - No to źle pan myślał, źle myślał, bo jest pan taki sam jak pański zmarły szef. Takie same gówno z tej samej latryny. I niech pan zachowa ten swój strach, Maciques, niech pan zachowa, bo ta historia dopiero się zaczęła - powiedział, spojrzawszy na Manuela Palaciosą i wyszedł z gabinetu. Ból głowy rodził mu się za oczami i przechodził w stronę czoła, złośliwy i uparty.

Nie ma tego wróbla, pomyślał. Wczoraj widział go w gnieździe, a teraz zostało tylko kilka piórek i sucha trawa okręcona wokół gałęzi wawrzynu. Latać jeszcze nie umie, jeśli wypadł, nie przeżył, z kotami kręcącymi się przy kuchni nie ma szans, więc uznał, że może jednak wróbel poleciał. Chłód ustąpił, czerwone słońce schowało się za budynkami od strony morza, to będzie doskonały wieczór na naukę latania.

- Po ilu dniach wróble umieją latać, Manolo?

Sierżant odłożył teczkę, w której trzymał ostatnie raporty i zeznanie podpisane przez Maciquesa, i spojrzawszy na porucznika.

- Ty, ale co z tobą dziś jest, Conde? Skąd niby mam to wiedzieć? Przecież wróblem nie jestem.

- Spokojnie, chłopie - Conde wymierzył w niego palcem. - Nie ma się co unosić. Ty też czasami zadajesz pytania, że głowa mała. Dobra, dokończ to i idziemy do Starego.

- A skoro o wilku mowa, myślisz, że pozwoli nam odebrać te dni przepracowane w weekend?

Conde zasiadł na krześle za biurkiem i przetarł sobie oczy. Ból głowy był już tylko wspomnieniem, ale chciało mu się spać i zaczynał czuć głód. A przede wszystkim miał ochotę skończyć z Rafaelem



Morínem. Irytowało go, że nie zdawał sobie sprawy z tak wielu cech tego człowieka, który bez zająknięcia zmieniał się z państwowego dyrektora w prywatnego biznesmena, z chodzącego ideału w grzesznika, i umierał od jednego ciosu, zostawiając go z tymi wszystkimi pytaniami, które chciałby zadać.

- Poczekamy, aż nasza Chinka Patricia skończy robotę w firmie. Mówiła, że jutro rano wręczy mi podsumowanie, a potem przedstawimy razem raport Staremu, i sądzę, że da nam parę dni wolnego. Ja tego potrzebuję. I ty chyba też. Jak tam sprawy z Vilma?

- Dobrze, dobrze, już po burzy.

- No to całe szczęście, bo wytrzymać z tobą, jak cię jakaś kobieta kaniem puszcza, nie jest łatwo. No nic, teraz to już wszystko jedno, bo sprawa dobiega końca, więc może sobie wezmę miesiąc wolnego, żeby nie oglądać twojej twarzy... Ty, a kto w końcu przekazał wiadomość matce Rafaela i Tamarze?

- Major dzwonił do ministra przemysłu.

- Żal mi matki.

- A żony nie? Nie będziesz jej pocieszał?

- Spadaj, Manolo - burknął, ale z uśmiechem.

- Conde, a jak ty się czujesz, kiedy zamykasz taką sprawę, co? Porucznik położył ręce na biurku. Dłonie miał otwarte, wnętrzem do góry.

- Właśnie tak, Manolo, jakbym miał puste ręce. Całe zło już się stało.

Wspólnicy wymienili spojrzenia i porucznik zaproponował koledze papierosa, gdy nagle otworzyły się drzwi i zobaczyli, że do środka wkracza cygaro, a za nim człowiek.

- Dobra robota z tym Maciquesem, sierżancie - odezwał się major Rangel i oparł się plecami o drzwi. - A ty jak zwykle przebiłeś sam siebie, Mario... Co to był za facet, ten Rafael Morin?

Conde znów spojrział na Manola. Nie wiedział, czy major Rangel oczekuje odpowiedzi, czy po prostu tak się głośno zastanawia. Bardzo rzadko się zdarzało, by Stary wychodził z biura i to jeszcze przemawiał tak emocjonalnie, więc uznali, że lepiej siedzieć cicho.

- O której będę miał jutro pełne akta sprawy?

- O dziesiątej?

- O dziewiątej lepiej. Patricia skończy dziś po południu i zostawia firmę w rękach Policji Gospodarczej. Sporo tam jeszcze może wyjść na jaw. Więc jutro o dziewiątej. Potem obaj znikacie i nie pojawiaacie się tutaj aż do piątku, chyba że wcześniej do was zadzwonię. A jutro zrobię wokół tej historii z Rafaelem Morinem aferę, że nawet sobie nie wyobrażacie. Starczy już tych przegięć i korupcji, bo potem to my musimy się w tym babrać. - I jego głos wydawał się należeć do znacznie większego i młodszego mężczyzny, taki głos nawykły do żądań i protestów. Popatrzył na nieskalaną czystość popiołu swego cygara, a potem na swoich dwóch podwładnych. - Potem się gada o przestępcach. Wszystko to niewinne dzieci w porównaniu z kimś takim jak ten albo z takim Maciquesem, i nie wiem, jakie to będzie miało konsekwencje na górze czy na dole, ale będę żądał krwi... Szanowany dyrektor firmy obracający tysiącami dolarów. Nie rozumiem, nie rozumiem, na moją matkę, nie rozumiem - i otworzył drzwi, po czym wyszedł za swoim cygarem - ale jutro o dziewiątej wyruszę z kompletnym raportem pod pachą...

- Nie, nie wymyślaj. Przecież już nawet nie jest zimno, a poza tym rano mamy tu być wcześniej, żeby sfinalizować raport, więc sprawa nie jest zamknięta - błagał Manolo, zapalając silnik auta, podczas gdy Conde mruknął: Jeśli wszedłeś między wrony...

- Co ci zrobiła ta kobieta, Manolo? Przecież ty się jej boisz jak cholera.

Samochód ruszył z parkingu pod centralą, a Manolo kręcił przecząco głową.

- Nie w mówisz we mnie żadnych kompleksów, daruj sobie. Żadne tam dwie kolejczki, jadę prosto do Vilmy, ty robisz, na co tylko masz ochotę, a rano zabieram cię o szóstej. Gdzie mam cię podrzucić? Zresztą jak wypijam dwie kolejki, to nie mogę już przestać i robi się problem...

Conde uśmiechnął się i pomyślał: ten to jest spisany na straty, i zakręcił szybę w aucie. Chłód zdecydowanie ustępował i zaczynał

się przyjemny wieczór, dobry na wszystko. On miał ochotę na dwa głębsze, a Manolo miał ochotę na Vilme. Dwie dobre opcje. W końcu sprawa Rafaela Morina dobiegła końca, przynajmniej dla policji, i Conde zaczynał odczuwać pustkę. Czekają go dwa dni odpoczynku, z którymi ostatecznie nigdy nie wiedział, co zrobić, od dawna nie ośmielał się zasiąść za maszyną do pisania, może już nigdy tego nie robi, żeby zabrać się do jednej z tych powieści planowanych już od lat, a pustka w jego domu zmieniała się w niemiły spokój doprowadzający go do rozpaczy. Historia z Tamarą, jak przeczuwał, to coś bardzo ulotnego, co bardzo szybko rozbija się o codzienność dwóch zupełnie odmiennych egzystencji, dwóch światów, które są w stanie współistnieć, ale dopasować się do siebie już nie bardzo. Może w bibliotece starego Valdemira dałbym radę napisać tę powieść?

- Przejedźmy przez zakład pogrzebowy na Santa Catalina. Zwłoki Rafaela Morina już tam pewnie są.

- Ale po co, Conde? - Manolo aż podskoczył, nie cierpiał czuwania przy zwłokach i nie miał ochoty na uczestniczenie w takiej ceremonii.

- Nie wiem po co. Nie wszystko musi mieć swoje „po co”, nie? Chciałbym tylko na chwilę zajrzeć na to czuwanie.

- W porządku, bracie - zgodził się sierżant. - Ale to nie jest w ramach obowiązków służbowych, prawda? No to cię tu zostawię. I jutro o szóstej.

Auto jechało aleją Santa Catalina i Conde zobaczył kolejkę do sklepu z napojami; niedawno wyremontowany hotel na godziny z neonem wyobrażającym dwa czerwone serca przebite strzałą zieloną jak nadzieja i bardzo młoda para wchodząca do środka i szukająca recepcji; widział przystanek autobusowy pełen niespokojnych, śpieszących się ludzi; plakaty filmowe i kierowcę wyzywającego od skurwysynów innego, który wyprzedził go od prawej, i przyszło mu do głowy, że nikt nie myśli o śmierci, dlatego ludzie mogą żyć, kochać, biec, pracować, wyzywać, jeść, nawet zabijać i myśleć, i wtedy zobaczył dom bliźniaczek - ciemny, w otoczeniu krotonów i rzeźb, szyby błyszcząły w przestronnych oknach, ściany białe - dotknięty nagłą zmianą przeznaczenia. To stamtąd

wyszedł Rafael Morin, żeby zagrać o wszystko i stracić na zawsze jasny i pewny siebie uśmiech.

- Czyli o szóstej - powtórzył przed zakładem pogrzebowym, przy wejściu nie było nikogo i pomyślał, że może jeszcze nie przywieziono z kostnicy ciała jego dawnego szkolnego kolegi. - I uważaj, nie zrób jej dziecka.

- Nie, nie, wypłuj to, nie chcę sobie życia komplikować - uśmiechnął się Manolo i uściśnął rękę przełożonego.

- Dobra, dobra, nie zgrywaj twardziela, bo Vilma trzyma cię, że nawet nie piśniesz.

- No to co? - sierżant Manuel Palacios znów się zaśmiał i dodał gazu, Conde pomyślał, że któregoś dnia się zabije.

Wszedł po niskich schodkach zakładu i przeczytał na tablicy jedyne widoczne tam nazwisko: Rafael Morin Rodríguez, sala D. To nie był dobry dzień na umieranie, więc zakład świecił pustkami. Podeszedł do sali D, ale nie odważył się wejść. Dobywający się ze ścian słodkawy zapach kwiatów towarzyszących zmarłym uderzył go w żołądek, toteż Conde wołał usiąść na jednym z foteli na korytarzu, obok stojącej popielniczki i aparatu telefonicznego. Zapalił papierosa, ale smakował jak zmoczone zielisko. Tam w środku leżał martwy i gotów na zapomnienie Rafael Morin, to będzie bardzo smutny pogrzeb: nie przyjdzie żaden z jego przyjaciół z sylwestra, rad nadzorczych czy zagranicznych wyjazdów. Ten człowiek stał się zadżumionym, i to na wiele sposobów, może nawet jego żona nie miała ochoty tam przychodzić. Jego dawni koledzy z liceum zostali po drodze tak daleko za nim, że dowiedzą się o tym wszystkim po kilku miesiącach, może będą wątpić, nie uwierzą. Wyobrażał sobie, jak by to wszystko wyglądało w innej sytuacji, wieńce kwiatów wypełniające całą salę, ubolewania po stracie tak wyjątkowego pracownika, tak młodego, uroczyste przemówienie nad grobem, bardzo poruszające i pełne hojnych, opływających cierpieniem przymiotników. Rzucił papierosa do popielniczki i podeszedł pod salę D. Jak kłusownik przysunął ostrożnie twarz do szyby w drzwiach i zobaczył niemal puste wnętrze, tak jak się spodziewał: matka Rafaela, z chustką przy nosie, płakała otoczona gromadką sąsiadek;

były tam te dwie, które prały w ten niedzielny poranek, jedna z nich trzymała matkę za rękę i mówiła jej coś do ucha: dla nich wszystkich porażka Rafaela była na swój sposób ich własną porażką i zakończeniem tragicznego losu, któremu Morin próbował się wywinąć. Tamara stała przed teściową i Conde ledwie widział połowę jej pleców i niepokorne loki jej czupryny. Stała spokojnie, może uroniła kilka cichych łez. Dwa krzesła dalej, także plecami do drzwi, siedziała inna kobieta, którą Conde próbował zidentyfikować. Wyglądała młodo, fryzura odsłaniała kark, wysokie barki, skóra na widocznym ramieniu zdawała się gładka, i wtedy kobieta obejrzała się w stronę Tamary i odsłoniła swój profil: Zaida, rozpoznał, i był pod wrażeniem tej ewidentnej wierności. Siedem kobiet, tylko jedna koleżanka z pracy. A w głębi trumna z litego drewna, wybita szarym płótnem, nieskończenie samotna, oczekująca na pojawienie się kwiatów, zawsze spóźnionych na takich otwartych czuwaniach. To będzie bardzo smutny pogrzeb, pomyślał ponownie i wyszedł na ulicę.

W kieszeni kurtki znalazł papierosa, bardzo chciało mu się pić, a na przeciwległym chodniku, kiedy czekał na możliwość przebiegnięcia przez ulicę, zobaczył Mikięgo Śliczną Bużkę, zaciekawilo go, po co przyszedł. Poczul jednak, że za duzo juz tego wszystkiego, wiec przyśpieszył, skrecając w boczną ulicę, śpiewając jednocześnie, jakby mimo woli, *Strawberry fields, forever, ta, ta, ta...*

Chudy Carlos popatrzył na szklanke, jakby nie rozumiejąc, dlaczego jest pusta. Po czwartej czy piątej kolejce czasami mu się zdarzało, wiec Conde tylko się uśmiechnął. Obalili już pół flaszki rumu i nie potrafili przegnać smutku. Chudy chciał iść na czuwanie, ale Conde odmówił, czego chcesz tam szukać, nie pakuj się w grobowe klimaty, zaatakował go, a wtedy Carlos zabronił mu puszczania muzyki. Chudy z szacunkiem odnosil się do śmierci, w sposób charakterystyczny dla tych, którzy wiedzą, że niedługo umrą, i postanowili utopić w rumie złe wspomnienia, fatalne myśli i ponure przeczucia. Ale te cholery nieżle potrafią pływać, pomyślał Conde.

- I co zamierzasz zrobić z Tamarą? - zapytał Chudy, kiedy szklanka ponownie odzyskała prawidłową wagę.

- Nie wiem, chłopie, nie wiem. To nie wypali, a boję się zakochać.

- No ale dlaczego, dlaczego?

- Chodzi mi o to, co zdarzy się potem. Nie mam ochoty na cierpienia miłosne, więc cierpię już teraz na wszelki wypadek.

- Zawsze ci to mówiłem, cierpiętnik z siebie.

- To nie takie proste, naprawdę - powiedział i dopił do dna. Odstawił szklankę na stolik. - Muszę iść, rano czeka mnie raport.

- I zostawisz mnie tak w połowie flaszki? Nie zjesz u nas? Chcesz, żeby stara Josefina źle się przez ciebie poczuła? Nie, kolego, nie, potem muszę wysłuchiwać, że się źle odżywasz, że strasznie jesteś chudy i że to ja jestem tym złym, który skłania cię do picia rumu, i że masz bardziej o siebie dbać, i kiedy się wreszcie ożenisz z jakąś porządną dziewczyną, słuchaj dobrze, i będziesz miał dziecko. Dziś nie jestem w nastroju, wiesz, już mam dostatecznie schrzaniony dzień.

Conde uśmiechnął się, choć miał ochotę się rozplakać. Popatrzył ponad głowę kolegi, zobaczył ścianę i wiszący na niej wyblakły plakat z Rolling Stonesami i Mickiem Jaggerem z tymi jego końskimi zębami; zdjęcie zrobione na piętnastych urodzinach siostry Królika, Pancho roześmiany, Królik próbuje się nie śmiać i Chudy uczesany specjalnie na imprezę, grzywka, którą ukrywał w szkole, zwisająca nad brwiami i prawie zamknięte oczy, obejmuje ramieniem Maria Conde, z tą jego wystraszoną twarzą, bracia od zawsze; medale lekkie i w fałszywych kolorach, które Chudy zebrał, kiedy był bardzo chudy i ciągle grał; już niemal niewidoczna etykieta z butelki Havana Club, którą ktoś lata temu przykleił do lustra w trakcie jednej z szalonych popijaw i którą Chudy postanowił już na zawsze zostawić w tym miejscu. Ta ściana też była smutna.

- Zastanawiałeś się kiedyś, Chudy, dlaczego zostaliśmy kumplami...?

- Bo kiedyś w liceum pożyczyłem ci scyzoryk. Ty, nie rozmyślaj teraz nad życiem, jest, jakie jest, i szlus.

- Ale mogłoby też być inne.
- Nieprawda, bracie, nieprawda. To takie gadanie o różnych drogach. Nie prowokuj mnie już do wywodów, kurde, ale jedno ci powiem: kto się w czepku rodzi, temu różę z nieba lecą, a kula z karabinu jest po to, żeby przeciąć życie na pół. Nie próbuj zmieniać tego, czego zmienić się nie da. I nie zwracaj mi więcej głowy. Polej no jeszcze rumu, co?
- Kiedyś o tym napiszę, słowo - obiecał Conde i nalał hojnie do szklanki przyjaciela.
- To właśnie powinieneś zrobić, bierz się do pisania i więcej mi tu nie chrzań. Następnym razem, jak ci się zachce poruszyć ten temat, daj mi to na piśmie, jasne?
- Jeszcze kiedyś pożałujesz, Chudy.
- Zaraz, zaraz, a co to za gadka?
- Mario Conde zajrzał do swojej szklanki i zrobił minę jak Chudy, że dłaczego to jest puste, ale zaraz zmienił wyraz twarzy.
- Nie, nic, nie przejmuj się mną. - Pomyślał sobie, że kiedyś nie będzie już mógł gawędzić sobie z Chudym, mówić do niego: bracie, chłopie, daj spokój, i komentować fakt, że życie to najtrudniejszy zawód świata.
- Ty, a gdzie w końcu ten drugi facet schował tę walizkę z kasą?
- Przestraszył się i wyrzucił do morza.
- Z tą całą forszą?
- Tak mówi.
- Co za palant, nie?
- No, palant, racja. Dziwnie się czuję. Chciałem znaleźć Rafaela, właściwie było mi obojętne żywego czy martwego, a teraz, jak się pojawił, chciałbym, żeby znów zniknął. Nie chcę o nim myśleć, ale nie mogę wyrzucić go sobie z głowy i boję się, że to potrwa. Ciekawe, jak tam Tamara...
- Nastaw muzykę, co? - zaproponował Chudy. - Nastaw, jeśli chcesz.
- Na co miałbyś ochotę?
- The Beatles?
- Chicago?
- Fórmula V?

- Los Pisos?
- Credence?
- O, Credence - doszli do porozumienia i usłyszeli mocny głos Toma Fogerty'ego i gitary Creedence Clearwater Revival.
- To wciąż najlepsza wersja *Proud Mary*.
- Bez dyskusji.
- Śpiewa, jakby był czarny, nie?
- Śpiewa jak Bóg, to prawda.
- No, chłopaki, nie samą muzyką żyje człowiek. Idziemy jeść - zawołała Josefina w drzwiach, zdejmowała fartuch i Conde zastanawiał się, ile razy usłyszy jeszcze w życiu ten okrzyk bojowy jednoczący ich trójkę za niesamowicie zastawionym stołem, o którego splendor Josefina walczyła dzień w dzień. Świat bez niej będzie trudny, pomyślał.
- Proszę podać menu - odezwał się Conde, stając za wózkiem Chudego.
- Dorsz po biskajsku, biały ryż, polska zupa z pieczarek podrasowana moją boćwinką, siekany kurczak i sos pomidorowy, dojrzale smażone banany i sałatka z rukwi, sałaty i rzodkiewki.
- Skąd ty to wszystko bierzesz, Josefino?
- Lepiej żebyś nie wiedział, Conde. Ej, zostawcie mi kapkę rumu. Dziś taka jestem, no nie wiem, zadowolona.
- Wszystko dla ciebie. - Mario podał jej butelkę i pomyślał: kurde, jak ja ją kocham.

Ten pokój jest pusty, stwierdził, oddychając głęboką i gęstą wonią samotności. Tu jest puste łóżko, pomyślał, patrząc na zagadkowe kształty rozkopanej pościeli, której nikt nie próbował wygładzać. Zapalił światło i samotność uderzyła go po oczach. Rufino kręcił się jak na karuzeli dookoła okrągłego akwarium. Nie męcz się tak, Rufino, powiedział i zaczął się rozbierać. Zostawił kurtkę na krześle, koszulę rzucił na łóżko, rewolwer położył na kurtce, a kiedy już zdjął sobie stopami buty, spuścił dzinsy na podłogę.

Poszedł do kuchni i nasypał do ekspresu resztę kawowego pyłu, jaką znalazł w opakowaniu. Umył termos, wylawszy wcześniej



białą i podsmierdzącą już kawę stojącą tu od wczorajszego ranka, który wydawał się tak strasznie odległy. Wykorzystał chwilę, w której jego twarz odbiła się w szybie, żeby kolejny raz sprawdzić swoją rzekomą łysinę, a potem otworzył okno na nocną ciszę dzielnicy i stwierdził, że to może być doskonała noc na to, żeby sięść sobie pod latarnią i pograć w domino, zabezpieczając się przed chłodem flaszeczką czegoś mocniejszego. Tyle że od dawna nikt tam już nie siadywał, nawet w taką noc jak ta, żeby grać w domino i sączyć tani alkohol. Nie jesteśmy już podobni nawet do siebie samych, bo my, z wtedy, nigdy już nie będziemy tacy sami, stwierdził i zaczął się zastanawiać, kiedy zadzwoni Tamara. Samotność mnie zabija, posłodził sobie kawę i nalał potężną filiżankę, zapalając jednocześnie nieuniknionego papierosa.

Wrócił do pokoju i siedząc na łóżku, przyjrzał się Rufinowi. Bojowa ryba zatrzymała się, tak jakby też go obserwowała.

- Jutro nasypię ci karmy - obiecał.

Odstawił pustą filiżankę na nocny stolik zastawiony innymi samotnymi filiżankami i podszedł do stosu książek, które na półce czekały na swoją kolej do czytania. Przejechał palcem po grzbietach, szukając tytułu albo autora, który go zafascynuje, ale w połowie drogi zrezygnował. Wyciągnął rękę w stronę regału i wybrał jedyną książkę, która nigdy nie pokrywała się kurzem. „Żeby była bardzo elegancka i wzruszająca”, powtórzył na głos i zaczął czytać opowieść o mężczyźnie, który poznał wszystkie sekrety ryby bananówki i może właśnie dlatego się zabił, i zasypiał, myśląc, że dzięki spokojnej genialności tego samobójstwa ta historia to czysta elegancja.

*Mantilla, lipiec 1990 - styczeń 1991*